

Gerald Durrell

Różowe gołębie i złote nietoperze

(Golden bats and pink pigeons)

Przełożyła Ewa Horodyska

Faridzie i Wahabowi, których życzliwość i gościnność w pełni oddają urok Mauritiusa

Słowo wstępne

Niniejsza książka wymaga, jak sędzę, krótkiego objaśnienia. Opisałem w niej dwie wyprawy, które odbyłem wraz z moim asystentem Johnem Hartleyem i sekretarką Ann Peters na uroczą wyspę Mauritius. Wybrałem się tam z dwóch przyczyn.

Kilka lat wcześniej założyłem Jersey Wildlife Preservation Trust, organizację niosącą pomoc zagrożonym gatunkom zwierząt poprzez rozmnażanie ich w niewoli. Odnieśliśmy w tej dziedzinie ogromny sukces, lecz stało się dla mnie jasne, że zwierzęta, o których mowa, powinny być hodowane w krajach swego pochodzenia. Problem polegał na tym, że w większości owych krajów nie było personelu wyszkolonego w subtelnej sztuce hodowli dzikich zwierząt. Nasza organizacja stworzyła zatem program stypendialny w celu zapewnienia środków finansowych studentom, którzy przybywaliby do nas na szkolenie, a następnie wracali do swoich krajów, żeby tam wcielić w życie plany rozmnażania dzikich zwierząt w niewoli. Ponieważ naszym symbolem jest ptak dodo, wydawało się rzeczą właściwą, aby pierwszy skorzystał ze stypendium student z Mauritiusa. Postanowiłem zatem omówić całą sprawę z tamtejszymi władzami. Jednocześnie pragnąłem przyjrzeć się zagrożonym gatunkom ptaków, ssaków i gadów i sprawdzić na miejscu, w jaki sposób możemy pomóc władzom Mauritiusa w ratowaniu tych zwierząt. Moja książka opowiada o tym, jak staraliśmy się wykonać owo zadanie.

I

Makabi i drzewo dodo

Gdy zapuszczasz się po raz pierwszy w nowy rejon świata, powinieneś – zwłaszcza jeżeli jesteś łowcą zwierząt – zadbać o dwie podstawowe sprawy. Po pierwsze, zawrzeć znajomość z jak największą liczbą osób z danego kraju; po drugie, zgromadzić jak najwięcej informacji, choćby nawet wydawały się ezoteryczne bądź nieprzydatne, o miejscu, do którego się wybierasz. Jednym ze sposobów ich uzyskania jest zwrócenie się do ambasady lub przedstawicielstwa kraju, o który chodzi. W wielu wypadkach daje to doskonałe rezultaty i wręcz toniesz w mapach oraz barwnych folderach zawierających mnóstwo ciekawych faktów i sporo mylnych informacji. Zdarzają się jednak reakcje mniej podnoszące na duchu. Do dziś czekam na materiały, które obiecał mi przesłać pewien uroczy Malajczyk, kiedy wybierałem się do jego kraju. Moja wyprawa miała miejsce przed ośmiu laty. Mimo to odpowiedź ambasady czy przedstawicielstwa stanowi przeważnie jakąś wskazówkę co do postawy wobec życia, dominującej w danym kraju.

Gdy zatem zapadła ostateczna decyzja o wyjeździe na Mauritius, pełen nadziei zadzwoniłem do jego przedstawicielstwa w Londynie. Słuchawkę podniosła czarująca młoda dama, której głos miał rozkoszny azjatycki akcent.

– Halo – odezwała się z zainteresowaniem, lecz ostrożnie, nie ujawniając swej tożsamości ani numeru telefonu.

– Czy to przedstawicielstwo wyspy Mauritius? – zapytałem.

– Owszem – przyznała, ociągając się nieco. – Tak.

– Przedstawicielstwo wyspy Mauritius? – powtórzyłem, chcąc się upewnić.

– Tak – odparła pewniejszym tonem. – Wyspy Mauritius.

– To dobrze – oznajmiłem. – Pragnąłbym zasięgnąć pewnych informacji, ponieważ mam nadzieję wkrótce tam polecieć.

– Polecieć *dokąd*? – spytała po chwili.

Wiedziałem, że Mauritius leży dość daleko, ale to już wydało mi się lekką przesadą. Tak wyglądało moje pierwsze zetknięcie z uroczym, typowym dla tej wyspy brakiem logiki w postępowaniu. W końcu otrzymałem od przedstawicielstwa broszurkę, która zawierała między innymi nieco zamazane zdjęcia wylegującej się na plażach Miss Mauritius 1967. Plaże owe mogły się znajdować gdziekolwiek, choćby w Bognor lub Bournemouth. Niechętnie powróciłem do książek dawnych przyrodników oraz bardziej aktualnych dzieł zoologicznych i geograficznych.

Mauritius jest drugą co do wielkości wyspą archipelagu Maskarenów, leżącego na Oceanie Indyjskim, na wschód od Madagaskaru. Wyspa ta, o powierzchni siedmiuset dwudziestu mil kwadratowych, skrzy się niezliczonymi odcieniami tropikalnej zieleni: od barwy szmaragdowej,

godnej smoczych skrzydeł, po delikatny seledyn nieba o świcie i mleczną zieleń pędów bambusa. Wokół rozpościerają się, niczym tęcza, kwiaty na gałęziach olbrzymich drzew, kruche karmazynowe pąki o kształcie fiołków, płonące jak czarodziejskie ognie i zaścielające setkami płatków podobnych do motyli skrzydeł trawę, która bywa zielona, lecz także żółta albo różowa jak chmury o zachodzie słońca.

Mauritius powstał w zaraniu dziejów, gdy ogromne wulkaniczne pęcherze wciąż pękały, wyrzucając z siebie ogień i lawę. Konwulsyjne wstrząsy oderwały wyspę od morskiego dna i wypchnęły na powierzchnię, gdzie rozżarzoną i stopioną skałę kształtowały i żłobiły cyklony i fale, gorące wichry i ulewne deszcze. Potężne ruchy tektoniczne wstrząsały nią i zmuszały do piętrzenia górskich łańcuchów, mieszając skalne masy niczym pianę z białek, które kucharz ubija widelcem, dopóki nie utworzą sztywnych i dziwacznych kształtów. W ten sposób rosły osobliwe góry Mauritusa: skromne wzniesienia, poniżej trzech tysięcy stóp, lecz malownicze, unikalne i niezwykle, niemal przywodzące na myśl dekoracje teatralne. Oplotły je zewsząd macki koralu, tworząc ochronną kopułę i zagarniając lagunę, która otoczyła wyspę jak fosa warowny zamek.

Stopniowo, w miarę jak Ziemia nabierała kształtu, pojawiły się nasiona – przybyłe drogą morską bądź lądową – i zapuściły korzenie w wulkanicznej glebie, miękkiej i żyznej, nawodnionej przez liczne wartkie rzeki. Następnie z podmuchem wiatru pojawiły się ptaki i nietoperze, a także żółwie i jaszczurki – niczym rozbitkowie z odległych krain, trzymający się kurczowo tratw skleconych naprędce z pni i pnączy. Stworzenia te osiedliły się i rozmnożyły na wyspie – a milion lat później ich potomkowie osiągnęli swój własny stopień rozwoju, nieznanym nigdzie indziej poza tą wyspą.

W ten sposób powstał ptak dodo, a także duża, czarna, nielotna papuga. Żółwie osiągały coraz większe rozmiary, aż wreszcie dorównały wielkością fotelom i ważyły ponad dwa tysiące funtów; jaszczurki zaś prześcigały się w przybieraniu najrozmaitszych kształtów i kolorów. Stworzenia te nie miały żadnych wrogów z wyjątkiem sowy i niedużej pustułki. Dodo i czarna papuga zagnieździły się bezpiecznie na lądzie, tracąc zdolność lotu i obrastając w tłuszcz. Nic nie mąciło spokojnego żywota przedpotopowych żółwi; jedynie zwinne, połyskliwe jaszczurki i złotoogie gekony obawiały się drapieżnych ptaków. Na tym spłachetku wulkanicznej gleby pośrodku rozległego oceanu powstał stopniowo doskonały, spokojny, wyjątkowy świat. Świat ten doczekał się po upływie setek tysięcy lat niespodziewanej, niszczącej inwazji żarłocznych zwierząt; a na czele tej zachłannej hordy stał najokrutniejszy ziemski drapieżca: *homo sapiens*. Wraz z człowiekiem przybyli, rzecz jasna, wszyscy jego najbliżsi przyjaciele: pies, szczur, świnia oraz – w tym wypadku – drugi w kolejności drapieżca, czyli małpa.

W niewiarygodnie krótkim czasie kilka unikalnych gatunków zwierząt zniknęło z powierzchni ziemi: dodo, wielka, czarna, nielotna papuga, olbrzymi żółw oraz dziwaczny ptak,

którego nazwano *solitaire*. Wyginęły diugonie, od których niegdyś aż się roiło wśród raf; i z całej tej wyjątkowej, nieszkodliwej fauny pozostała jedynie garstka ptaków i jaszczurek. Tym zaś, wraz z resztkami pierwotnej puszczy, którą zamieszkują, zagraża poważne niebezpieczeństwo. Mauritius należy do najgęściej zaludnionych obszarów świata, a ponadto – oprócz psów, kotów, szczurów i małp – człowiek wprowadził na tę wyspę, w typowy dla siebie, bezmyślny i groźny sposób, inne zwierzęta, na przykład dwadzieścia gatunków ptaków, między innymi wszechobecnego wróbla i buńczuczego, panoszącego się szpaka. Pojawiła się również gładka, śmiercionośna mangusta oraz mniej szkodliwy, lecz mimo to obcy na wyspie, podobny do jeża tenrek z Madagaskaru. Do tego dochodzą nowe rośliny i drzewa: miejscową roślinność wypiera i przytłacza guajawa, maliny, krzewy ligustru – i cała rzesza innych. W obliczu tych wszystkich zagrożeń endemiczna flora i fauna Mauritiusa trzyma się życia dosłownie resztkami sił.

Wbrew obawom, które wzbudziła we mnie rozmowa z oficjalną przedstawicielką Mauritiusa, wyspa – choć istotnie daleka – nie była ani zupełnie nieznana, ani nieosiągalna. W ciągu kilku dni linie lotnicze Air France nadały naszej podróży wspaniałą oprawę, przenosząc nas na drugą półkulę w oparach luksusu i pod opieką zmysłowych stewardes. Obydwaj z Johnem niechętnie myśleliśmy o opuszczeniu samolotu i stawieniu czoła światu. Gdy jednak ujrzelśmy wyspę, ogarnęło nas podniecenie, w które zawsze wprawia człowieka nowa, niezbadana kraina. Zielona i migotliwa, pożyłkowana błękitnymi i fioletowymi pasmami gór, przypominała olbrzymi klejnot, wprawiony w szafirową emalię, okolony białą pianą rafy i ułożony – niczym na aksamicie – na ciemnoniebieskiej powierzchni Oceanu Indyjskiego. Gdy nasz gruboskóry aeroplan ociężale schodził do lądowania, dostrzegliśmy zielone wysepki wewnątrz rafy, olśniewająco białe plaże i kwadratowe poletka trzciny cukrowej, pokrywające – jak się wydawało – każdą dostępną piędź ziemi niczym kraciasty, zielonkawy obrus i dochodzące aż do podnóża gór o dziwacznych kształtach. Była w tym pewna ironia, że my – nietolne ssaki – lądowaliśmy w jednej z największych machin latających świata na skrawku ziemi kryjącym szczątki jednego z najosobliwszych ptaków nietolnych; gdyż cmentarzysko, z którego wydobyto kości stanowiące podstawę naszej skąpej wiedzy o dodo, znajduje się pod płytą lotniska Plaisance.

Gdy otwarto drzwi samolotu, owiało nas ciepłe, wonne powietrze i oślepiła orgia kolorów, jaką widuje się jedynie w tropikach. Byliśmy grubo ubrani – w Anglii padał śnieg – i czuliśmy, jak nasza skóra pokrywa się potem, który spływa nam po plecach i torsach nieprzyjemnymi strumyczkami. Przeszliśmy przez odprawę celną dość gładko dzięki pewnemu czarującemu dżentelmenowi o melodyjnym nazwisku Lee Espitalier Noel – jak się później okazało, jego rodzina liczyła ponad dwieście osób, przez co jej członkowie zmuszeni byli zrezygnować z wręczania prezentów bożonarodzeniowych – posługującemu się wykwinną francuszczyzną,

przy której wymowa Maurice'a Chevaliera brzmiałaby jak argot.

Była to jedna z wielu nielogiczności, z którymi zetknęliśmy się na Mauritiusie. Wszyscy mieszkańcy tej wyspy – będącej od ponad stu pięćdziesięciu lat kolonią angielską i należącej do Wspólnoty, gdzie uczono angielskiego w szkołach jako języka oficjalnego – radośnie i ze swadą mówili po francusku. Odkryliśmy także osobliwy zlepek dwóch kultur: angielskiej i galijskiej. Obowiązywał wprawdzie ruch lewostronny, a ręczna sygnalizacja była prawidłowa i odznaczała się baletowym wdziękiem, lecz samobójcze popisy kierowców mocno się kojarzyły z narodową rozrywką Francuzów.

Nasz kreolski szofer mknął z zawrotną szybkością między plantacjami trzciny cukrowej o delikatnych różowawo-błękitnych łodygach i jaskrawozielonych liściach oraz wiejskimi domkami z blachy i drewna, przed którymi stały grupy kobiet w barwnych sari, upodabniających je do kolorowych motyli, a wokół kłębiły się psy, kury, kozy, bydlę o grzbietach wygiętych w kabłąk i gromady kotłującej się dzieciarni. W każdej wiosce pachniało owocami i kwiatami, wszędzie płóły się jaskrawe sploty bugenwilli i rosły potężne figowce, podobne do gigantycznych, nadtopionych czarnych świec z zielonymi płomieniami liści, złączonych w jedną olbrzymią, migotliwą masę.

Oczarowały mnie mijane znaki: „Pan Tin Win Wank”, posiadający licencję na sprzedaż tytoniu i alkoholu „w granicach i poza” (co dotyczyło zapewne lokalu, nie zaś poczytalności właściciela); tajemnicza tablica wśród nieskończonych pól trzciny cukrowej, głosząca prosto i niedwuznacznie: „Wkraczać” – co mogło stanowić zarówno ostrzeżenie, jak i zaproszenie. Kiedy zwolniliśmy, aby przepuścić stado chrząkających świń, otoczonych rojami much, zauważyłem z zachwytem, że w wiosce rezyduje zegarmistrz pod szyldem „Pan Ja Tak” oraz niejaki „Pan Gungadin” – ni mniej, ni więcej – który, osiedliwszy się na rozdrożu, z właściwą Azjatom oryginalnością nazwał swój sklepik „Kącikiem Gungadina”. Bładły przy tym schludne tabliczki, umieszczone co krok pod figowcami na tle trzciniowych poletek i oznajmiające: „Przystanek autobusowy”, albo zaklinające: „Zwolnij. Przejazd szkoły”. W tej atmosferze rodem z „Alicji w krainie czarów” człowiek wyobrażał sobie duży drewniany budynek na kółkach, pełen uroczych milusińskich, ciągnący tam i z powrotem w poprzek drogi. Studiując przed wyjazdem mapę Mauritiusa, znalazłem wiele fascynujących nazw – i teraz miałem niektóre z owych miejsc.

W końcu, otumanieni upałem, zmianą strefy czasowej i bogactwem tropikalnych aromatów, oślepieni słońcem i barwami i przerażeni jazdą, podczas której kierowca wykazał imponującą umiejętność unikania śmierci o włos, dotarliśmy do niejednolitego architektonicznie, przestronnego hotelu nad spokojną, błękitną laguną, otoczonego gąszczem hibiskusów, bugenwilli i drzew kazuaryny. W tle majaczyła góra Le Morne niczym dziwaczny, miniaturowy Matterhorn. Powitano nas z łagodnym, omdlewającym wdziękiem i zaprowadzono do pokoi,

oddalonych o trzydzieści jardów od białej plaży i kuszących szeptów błękitnego morza.

Nazajutrz wybraliśmy się do McKelveyów z Black River, gdzie zaczęto realizować programy hodowlane, sponsorowane przez Międzynarodową Radę Ochrony Ptaków, Światową Fundację na rzecz Przyrody i Nowojorskie Towarzystwo Zoologiczne. David i jego przystojna małżonka Linda przyjęli nas ciepło i opowiedzieli o niektórych utrapieniach, towarzyszących próbom wyśledzenia i schwytania kilku spośród trzydziestu trzech różowych gołębi i ośmiu pustulek – należących do najrzadszych ptaków na świecie – na gęsto zalesionym obszarze wielkości Hampshire. To, że Dave'owi w ogóle się udało, graniczyło z cudem. Dave był przystojnym, trzydziestoparoletnim mężczyzną o ciemnych włosach i żarliwych niebieskich oczach. Jego głos o lekko nosowym brzmieniu wydawał się nieco zbyt donośny, jak gdyby miał za zadanie dotrzeć do słuchaczy w najdalszym końcu sali. Prócz tego Dave odznaczał się giętkim umysłem i pełnym swady sposobem mówienia, dzięki którym wypowiedzi jowialnych Amerykanów należą do najzabawniejszych i najżywszych na świecie. Szybkiej, dowcipnej przemowie, usianej superlatywami niczym dalmatyńczyk kropkami, towarzyszyły w przypadku Dave'a niezwykle zdolności imitatorskie: nie tylko opowiadał, jak gołębie latają, przysiadają i gruchają, lecz naśladował je tak obrazowo, że człowiek niemal czuł się świadkiem owych wydarzeń.

– Chodziłem po tym cholernym lesie i szukałem gniazd, aż w końcu przemokłem do nitki, bo bez przerwy lało. Pomyślałem, że chyba założę hodowlę pieczarek w butach i będę sobie dorabiał na boku. Zaczęło mi się wydawać, że równie dobrze mógłbym tropić ptaka dodo. Przesiadywałem tam do nocy, a powiadam ci, na tych wzgórzach po zmierzchu jest ciemniej niż w brzuchu martwego piźmowoła. I nagle, pewnego dnia, bum: zleciały się wszystkie naraz, prosto do Cyprysowej Doliny. Najpierw usłyszałem to „szuu, szuu, szuu” ich skrzydeł, a potem, kiedy przysiadły, zaczęły się giąć w ukłonach i gruchać: „Kaniu, kuu, kuu, karuu, kuu, kuu”.

Snując tę opowieść, Dave prowadził nas w stronę otoczonego murem ogrodu niedaleko domu. Pewien miejscowy hodowca ptaków przekazał w porywie entuzjazmu swoją ptaszarnię na cele badawcze.

– A teraz – podjął Dave, zbliżając się do pierwszej ptaszarni – zobaczycie jednego z najrzadszych ptaków świata, w dodatku przepięknego i łagodnego jak mała świnka morska. Od początku takie były. Oto one!

Ujrzeliśmy trzy niewątpliwie ładne gołębie. Były znacznie większe, niż przypuszczałem, i miały bardziej opływowe kształty, co zawdzięczały niezwykle wydłużonym ogonom i szyjom. Dzięki swemu rdzawobrunatnemu ubarwieniu i delikatnym, ciemnoróżowym plamom wokół karku wyglądały bardzo okazale i wytwornie. Drobne główki, osadzone na długich, gładkich szyjach, nadawały im wygląd pierzastych antylop. Gdy podeszliśmy do klatki, zerknęły na nas z typowym dla gołębi głupkowatym, acz nie pozbawionym zainteresowania wyrazem,

a następnie zapadły w drzemkę, wyrzucając nas poza obręb tego, co w braku lepszego określenia można by nazwać umysłem. Miałem wrażenie, że choć z uwagi na rzadkość występowania stanowią wyjątkowe okazy zoologiczne, nie należą do szczególnie inspirujących, jeśli chodzi o osobowość.

– Przypominają pomalowane turkawki – palnąłem bezmyślnie, a Dave rzucił mi urażone spojrzenie.

– Pozostało ich zaledwie trzydzieści trzy – oznajmił tonem sugerującym, iż są dzięki temu znacznie piękniejsze i bardziej pożądane, niż gdyby ich liczba wynosiła, powiedzmy, dwadzieścia pięć milionów.

Przeszliśmy do pomieszczenia, w którym siedziały dwie maurytyjskie pustułki. Były to nieduże, krępe ptaki o dzikim, drapieżnym spojrzeniu, tak bardzo podobne do swych europejskich i północnoamerykańskich krewniaków, że jedynie specjalista potrafiłby je rozróżnić; a osobie niewtajemniczonej bez trudu można by wybaczyć odruch zdumienia, o co właściwie cała ta wrzawa. Sam się zastanawiałem, czy aby nie krzywdzę pustułki z Mauritiusa, ponieważ wygląda tak samo jak znany mi od dzieciństwa ptak, którego hodowałem i puszczałem na wróble. Czy przez to nie zachwyciłem się nią tak, jak zachwyciłbym się dziwadłem w rodzaju dodo? Po dojrzałym, przynajmniej półminutowym namyśle, doszedłem do wniosku, że nie o to chodzi. Hutia z Wysp Karaibskich do znudzenia przypominała świnkę morską, a mimo to pokochałem tego gryzonia, którego przyszłość rysowała się w równie czarnych barwach jak przyszłość pustułki. Nie; po prostu ssaki zawsze interesowały mnie bardziej niż ptaki i dlatego mały, nieciekawy ssak zawsze frapował mnie bardziej niż mały, nieciekawy jastrząb. Zaprzysiągłem, że wkrótce naprawię to karygodne niedbalstwo. Dave tymczasem uraczył mnie opowieścią o losie pary pustulek, które okazały się na tyle nierozsądne, by założyć gniazdo na nie do końca niedostępnej skale.

– Mały – wyjaśnił dramatycznym tonem. – Lasy są pełne tych przeklętych bydlaków. Niektóre samce dorównują wzrostem sześciolletniemu dziecku. Wędrują w dużych grupach. Najpierw słyszysz starego samca: „Aaach, aaach, aaach, iik, iik, iik, jaa, jaa”, a potem maluchy: „Łiik, liik, liik, iik, iik, iik, jaa, jaa, jaa”.

Potok dźwięków płynących ze strun głosowych Dave’a wyczarował całą gromadę nieprzyjaznych małą, od dziadków po noworodki. Te bezużyteczne, pomysłowe i wszystkożerne szkodniki opanowały wyspę, nekając gniazda nie tylko pustulek, ale także różowych gołębi.

Gdy nazachwycaliśmy się już gołębiami i pustułkami, pojechaliśmy do Curepipe, gdzie mieściła się główna siedziba zarządu lasów. Powitał nas tam Wahab Owadally, konserwator leśny. Był to młody Azjata o chłopięcej urodzie i zaraźliwym uśmiechu, pełen jeszcze bardziej zaraźliwego entuzjazmu. Po wymianie grzecznościowych mruknięć w biurze, Wahab i jego europejski zastępca, Tony Gardner, pokazali nam uroczy ogród botaniczny, przylegający do

urzędowego budynku. Tu, pod wpływem entuzjazmu Wahaba, całkowicie zmienił się mój stosunek do palm. Drzewa te, ocieniające zakurzoną, wyleniałym szeregiem drogi w krajach tropikalnych lub dygoczące w pełni tak zwanego angielskiego lata w miejscowościach typu Bournemouth czy Torquay, nigdy nie frapowały mnie jako okazy dendrologiczne; ale tutaj, w rozległym i pięknie położonym ogrodzie botanicznym w Curepipe, objawiły się w całej krasie. Były wśród nich roste, wytworne wachlarzowce, palmy królewskie o pniach podobnych do kolumn Akropolu, słynne *coco de mer* (czyli „orzechy cudowne”) z Seszeli, a także drzewa, które podbiły moje serce – palmy „butelkowe”. Wahab zaznajomił nas (używam tego określenia celowo) z niewielką plantacją tych uroczych drzew. Każdy z młodziutkich pni miał kształt butelki chianti, a na czubku obfitą, rozczochraną grzywę, tryskającą niczym zielona fontanna. Palmy te wyglądały jak dziwaczni, brzuchaci ludzie i gdy ich liście poruszały się na wietrze, mogło się wydawać, że machają do ciebie.

Wróciwszy do biura Wahaba, odbyliśmy rozmowę o tym, co powinniśmy zobaczyć i zrobić na Mauritiusie. Przede wszystkim pragnąłem odwiedzić Cyprysowy Gaj, w którym gnieździły się różowe gołębie, a następnie Las Makabi oraz Rezerwat Przyrody Przełomu Black River, będące ostatnią ostoją pustułki i papugi długoogoniastej. Wahab nalegał również, byśmy odwiedzili Kragłą Wyspę, jedną z wysepek leżących na północ od Mauritiusa.

– To maurytyjski odpowiednik wysp Galapagos – wyjaśnił z uśmiechem. – Zaledwie trzysta siedemdziesiąt pięć akrów, a można tam napotkać trzy gatunki drzew, trzy gatunki jaszczurek i dwa gatunki węży, które nie występują nigdzie indziej na świecie. Teraz wyspie zagraża poważne niebezpieczeństwo ze strony zawleczonych tam królików i kóz, zjadających całą roślinność. Sytuacja jest rozpacзлиwa. Opowiem wam więcej na miejscu. Dopóki nie rozwiążemy tego problemu, erozja wyspy będzie stopniowo postępowała, narażając gady na wyginiecie.

– Czy ktoś wie, jak liczna jest obecnie populacja tych gadów? – zapytałem.

– No cóż – Wahab ściągnął usta – trochę trudno uzyskać dokładną liczbę, ale przypuszczamy, że pozostało około pięciuset ślig Telfaira oraz gekonów nocnych i Gunthera. Jednego z węży, ryjącego boa, widziano w ostatnich dwudziestu latach zaledwie kilka razy, więc niewykluczone, że wymarł. Drugi gatunek, jak się wydaje, liczy nie więcej niż siedemdziesiąt osobników.

– Powinniście schwytać kilka na wszelki wypadek – doradziłem.

Oczy Wahaba rozbłysły.

– Była mowa o rozmnażaniu ich w niewoli. Taka sugestia padła nawet w raporcie Proctora, ale na razie nikt nie chce się tego podjąć.

– Ja się podejmę, jeśli dostanę pozwolenie – powiedziałem. – Mamy nowy, wspaniały kompleks terrariów, przeznaczony do tych właśnie celów.

– To byłoby znakomicie – ucieszył się Wahab, jak gdyby podobny pomysł nigdy przedtem

nie przyszedł mu do głowy. – Jak by się pan do tego zabrał?

– No cóż, krok po kroku. Możemy najpierw zdobyć okazy któregoś z silniejszych gatunków, a jeśli nam się z nimi powiedzie, spróbujemy z następnym gatunkiem za rok, kiedy przyjadę oceniać kandydatów do stypendium. Powinniśmy chyba zacząć od ślig i gekona Gunthera, który jest, jak mi się zdaje, dużym i dość wytrzymałym stworzeniem.

– Dobra – zgodził się radośnie Wahab. – Załatwię panu przejazd na Krągłą Wyspę, gdy tylko pogoda się poprawi. A tymczasem Dave może panu pokazać Las Makabi.

– Jasne – włączył się Dave. – Będę próbował schwytać następną pustułkę, więc spędzimy tam cały dzień. Zabierzemy sieci i moją amerykańską pustułkę jako przynętę i spróbujemy szczęścia. Warto zobaczyć to miejsce, nawet jeśli niczego nie złapiemy. Możemy się tam wybrać choćby jutro.

– I pokaż mu drzewo dodo – przypomniał Wahab.

– Co to takiego? – spytałem.

– Zobacz pan – odparł Wahab tajemniczym tonem.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy zatem na cały dzień do lasu Makabi.

Aby dotrzeć do tego lasu, trzeba przemierzyć równinę Champagne – kolejna pobudzająca wyobraźnię nazwa. Tu zatrzymaliśmy się na chwilę, aby zerknąć na nieliczne ocalałe splachetki wrzośca rosnącego na Mauritiusie; niewielkiej, wytrwałej rośliny, tworzącej unikalną niszę ekologiczną. Szkoda byłoby ją utracić. Z niewiarygodną rozrzutnością niszczymy lasy i roślinność na całym świecie, a przy obecnym stanie naszej wiedzy z pewnością unicestwiamy gatunki niezmiernie ważne dla medycyny.

Za równiną Champagne, gdzie szkarłatne i czarne *fodys* tkwiły wśród wrzośca niczym strażnicy lub przelatowały jak iskry przez drogę, wjechaliśmy w końcu na nierówny trakt, przypominający konną dróżkę z angielskich lasów. Były to obrzeża Makabi. Po chwili Dave zatrzymał samochód i wysiedliśmy na polanie, skąd droga rozchodziła się na cztery strony świata. W nieruchomym, ciepłym powietrzu wisiały niczym helikoptery małe muchy o złotozielonych odwłokach i wielkich, zielonkawoniebieskich oczach. Od czasu do czasu przemykał z trzepotem skrzydeł czekoladowy motyl, podobny do starszej pani, spóźniającej się na umówione spotkanie. Do pni hebanowców przywarły kępki kremowych orchidei, a wszędzie wokół rosły wysokie, smukłe, złotobrazowe i srebrzystozielone guajawy oraz splachetki ligustru. Delikatne, bladozielone, młode listki marszczyły się na brzegach jak spódniczka baletnicy. Była to ciepła, spokojna, przyjazna okolica. Nic w tych lasach nie mogło wyrządzić człowiekowi krzywdy. Jedyнным ich jadowitym mieszkańcem był skorpion, na którego jednak nie zdarzyło mi się natrafić, choć w czasie prawie czteromiesięcznego pobytu na Mauritiusie zaglądałem pod kamienie, grzebałem w spróchniałych drzewach i węszyłem niczym pies gończy wśród opadłych liści. Las Makabi był przyjaznym miejscem, w którym człowiek bez wahania siadał lub kładł się

na ziemi, mając pewność, że jedynym kłopotliwym przedstawicielem miejscowej fauny jest komar.

– Spójrz – odezwał się Dave – to coś dla ciebie. Phelsuma na drzewie dodo.

Wskazał wysoki, srebrzysty pień na skraju drogi. Drzewo było stare, tu i ówdzie zbutwiałe, z popękkanymi korzeniami. Miało około pięćdziesięciu stóp wysokości i wieńczyła je płatanina gałęzi, pokrytych ciemnozielonymi liśćmi. Około sześciu stóp od ziemi przywarła do pnia oszołamiająco piękna jaszczurka. Mierzyła mniej więcej pięć cali, a jej podstawową barwę stanowiła jaskrawa, soczysta zieleń, przechodząca w okolicach głowy i szyi w żywy błękit, poznaczony szkarłatnymi i pąsowymi cętkami. Jaszczurka miała duże, inteligentne, czarne oczy, a jej palce kończyły się spłaszczonymi poduszczkami, które działały jak przyssawki i umożliwiały stworzeniu wędrówkę po gładkiej korze. Ponieważ pragnęliśmy schwytać kilka okazów tego pięknego gekona, John przygotował specjalną wędkę do łowienia jaszczurek. Był to długi, cienki bambus, zakończony pętlą z nylonowej żyłki. Uzbrojony w to narzędzie, zbliżył się do phelsumy, która wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma niewiniątka. Pozwoliła Johnowi podejść na odległość sześciu stóp, po czym zaczęła sunąć w górę po pniu, gładkim, ślizgowym ruchem, niczym kamyk po lodzie. Zanim John zbliżył się do drzewa, jaszczurka była już poza zasięgiem, na wysokości dwudziestu stóp, a w dodatku po drugiej stronie pnia.

– Tutaj są trochę płochliwe – wyjaśnił Dave. – Chyba dlatego, że to dość uczęszczana droga. W lesie zachowują się spokojniej. Powinniśmy tam złapać kilka sztuk.

– Skąd ta nazwa: „drzewo dodo”? – spytałem.

– Ano cóż – odparł Dave – właściwie jest to tak zwane drzewo kogucie, jedno z najstarszych na Mauritiusie. Zostało ich zaledwie dwadzieścia, może trzydzieści. A tak wygląda jego owoc.

Wydobył z kieszeni dziwaczne nasiono wielkości kasztana. Miało beżowy kolor i z jednej strony było gładkie, trochę podobne do pestki brzoskwini, z drugiej zaś przypominało rozpoczętą i porzuconą w połowie rzeźbę, która miała przedstawiać twarz o orientalnych rysach. Robiło wrażenie masywnego i twardego.

– Jest taka teoria – podjął Dave – i Bóg jeden wie, kto ją wymyślił, ale brzmi nieźle. Otóż w różnych ogrodach botanicznych i w szkółce leśnej próbowano wyhodować coś z tych nasion, ale one za cholerę nie chcą kiełkować, nie wiadomo dlaczego. Drzewa kogucie występowały powszechnie za czasów dodo i według tej teorii, o której mówię, dodo chętnie jadały ich owoce. Po strawieniu miększu soki żołądkowe ptaków oddziaływały na twarde pestki i kiedy dodo wydalają pestkę, była już wystarczająco miękka, by wykiełkować.

– To bardzo ładna teoria – przyznałem, urzeczony myślą o więzi między ptakiem i drzewem, tak silnej, że wytrzebiecie jednego stało się przyczyną zaniku drugiego – ale obawiam się, że dziurawa jak sito.

– No tak – zgodził się niechętnie Dave – ale to dobra historia dla turystów, a drzewo kogucie

naprawdę już niemal wyginęło.

Ruszyliśmy w głąb lasu, dostrzegając prawie na każdym pniu jaskrawo ubarwione phelsumy. Wszędzie wokół unosiły się małe złociste muchówki, za którymi goniły duże bladezielone ważki o kruchych, przejrzystych skrzydłach, a w pewnej chwili przeciął ścieżkę spory, mniej więcej ośmioletni, buraczkowo-czarny patyczak. Kilkakrotnie przemknęły przed nami mangusty, zwinne i śmiercionośne jak strzały, a raz natknęliśmy się za zakrętem na stado małp, które niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wtopiły się w gąszcz drzewek guajawy, tak szybko, że człowiek nie był pewien, czy je naprawdę widział. Chwilę później nad ścieżką przefrunęło stadko długoogonowych papug obroźnych, kierując się w stronę lasu. Była to znaczna część ocalałej populacji tych ptaków, oszacowanej na pięćdziesiąt sztuk. Przystanęliśmy, aby podziwiać parę drozdów, których liczba również maleje w zastraszającym tempie. Te piękne ptaki, wydające melodyjne gruchanie, okazały niezwykle zaciekawienie, gdy Dave zaczął je naśladować, i podleciały bardzo blisko nas, zerkając spomiędzy gałęzi i wymieniając zdumione, świergotliwe okrzyki.

Niebawem skręciliśmy w wąską leśną ścieżynę, biegnącą wzdłuż ostrej grani. Po obu stronach piętrzyły się strome urwiska, a zza drzew połyskiwały widowiskowo przełomy Black River, okryte gęstwiną zieleni, czerwieni i złota. Rzeka spływała pierzastymi kaskadami ze stromych, malowniczych ścian skalnych. W wąwozach, przez które nurt toczył się czysty i lśniący albo huczał spieniony wśród omszałych głazów, przemykały i krążyły podzwrotnikowe ptaki o białych ogonach. Niebawem dotarliśmy do wielkiego powalonego drzewa, które wisiało nad odległą doliną. W tym właśnie miejscu Dave widział maurytyjskie sokoły, odpoczywające w trakcie łowów nad doliną rzeki.

Rozwinęliśmy sieci i rozpostarliśmy je z pewnym trudem, po czym Dave puścił na uwięzi amerykańską pustułkę, zaczepiwszy pęta o gałąź powalonego drzewa. Przez chwilę ptak trzepotał niecierpliwie skrzydłami, lecz w końcu przysiadł. Ustawiliśmy się wzdłuż ścieżki i czekaliśmy, schowani w poszyciu. Zapytałem Dave'a, który przycupnął w zaroślach tuż obok mnie, kto korzysta z tych wąskich, krętych leśnych ścieżynek. Musieliśmy trzymać się naszej dróżki, gdyż zboczenie z niej o trzy stopy w lewo lub w prawo oznaczało upadek w przepaść i nadzianie się na rosnące w dole drzewka guajawy.

– To są szlaki służby leśnej – odparł Dave – ale korzystają z nich także hodowcy marihuany.

– Jacy hodowcy marihuany? – spytała Ann Peters ze swego punktu obserwacyjnego.

– Hodowla marychy to świetny interes – wyjaśnił Dave. – Obsiewają poletka w głębi lasu, zbierają plony i sprzedają.

– Ale to chyba nielegalne? – wtrącił John.

– Oczywiście – odparł Dave. – Na Mauritiusie nie ma wojska, są za to tak zwane Lotne Brygady, coś w rodzaju oddziałów piechoty morskiej czy komandosów, i do ich obowiązków

należy tropienie plantacji marihuany. Używają do tego nawet helikopterów. Parę tygodni temu wykryłem sporą plantację i zawiadomiłem ich o niej. Dawno nie zgarnęli takiego łupu, więc chwilowo chyba jestem *persona non grata* dla chłopców od narkotyków.

Po długim poranku nadeszło rozprażone południe. Słońce buchało żarem niczym rozpalony do czerwoności piec, a zmorzony upałem las pogrążył się w ciszy. O tej porze dnia żadne rozumne stworzenie nie opuszczało kryjówek, więc i sokoły musiały odbywać sjęstę w sobie tylko znanym miejscu. Postanowiliśmy zjeść lunch; rozprostowaliśmy zatem zdrętwiałe kończyny i zebraliśmy się w pobliżu powalonego drzewa, gdzie ścieżka była nieco szersza. Tu wyłożyliśmy zabrany prowiant. Gdy po zjedzeniu kanapek napoczęliśmy przepyszne owoce mango, na ścieżce pojawili się dwaj smukli młodzieńcy w kolorowych koszulkach i szerokich spodniach. Czarne lśniące włosy opadały im na ramiona – zgodnie z najnowszą maurytyjską modą, której hołduje większość młodych mężczyzn – okalając niezwykle przystojne i łagodne twarze. Zatrzymali się przed przeszkodą, którą stanowiliśmy my i nasz piknik, i obdarzyli nas nieśmiało, zniewalającymi uśmiechami.

– Dzień dobry – odezwaliśmy się uprzejmie.

– Dzień dobry, sir – odparli łagodnie, unosząc słomiane kapelusze.

– Chcecie przejść? No to przejdźcie – powiedział Dave – tylko mnie nie podepczcie.

– O nie, sir – zaprotestowali, wstrząśnięci na samą myśl o czymś podobnym, i wyminęli nasze rozciągnięte ciała oraz piknikową zastawę ze zwinnością i subtelnością gazeli.

Dotarłszy na drugą stronę bez niestosownych incydentów, zawołali:

– Dziękujemy, sir, do widzenia! – po czym grzecznie uchyliłi kapeluszy i oddalili się ścieżką. Zauważyłem, że obydwaj dzierżą maczety.

– Któż to, u diabła, może być? – spytała Ann.

– No cóż, raczej nie służba leśna – odparł Dave – czyli muszą to być hodowcy marihuany, bo na pewno tylko oni i tacy wariaci jak my włóczą się o tej porze po lesie. Nie sądzę, żeby byli sami. Lada chwila zjawi się tu Pan Gruba Ryba.

Miał słuszność: nim upłynęło pięć minut, ujrzeliśmy kolejnego smukłego, przystojnego, zwinnego Azjatę. Miał w sobie *owo* nieuchwytnie coś, co wyróżnia mieszkańca wielkiego miasta. Jego garnitur był lepiej skrojony i z przyzwoitszego materiału, koszula wytworniejsza, a kapelusz bardziej zawadiacki. Na nasz widok mężczyzna przystanął niepewnie, lecz zaraz ruszył ku nam z ujmującym uśmiechem.

– Dzień dobry panu – przemówił, zdejmując kapelusz zamaszystym gestem. – Przepraszam, ale czy nie widział pan moich przyjaciół?

– Owszem, widziałem dwóch. Poszli w tamtą stronę – poinformował Dave, jak gdyby istniała jakakolwiek inna możliwość. – Chce pan przejść?

– A... nie, nie – odparł młody mężczyzna. – Muszę zawiadomić kolegę.

– O, to przyszedł pan z jeszcze jednym kolegą? – zagadnął Dave.

– Tak, czeka na mnie. Muszę zawrócić i powiedzieć mu, którędy poszli nasi przyjaciele. Do widzenia panu.

– Do widzenia – odpowiedzieliśmy chórem, spoglądając za nieznajomym, który oddalił się ścieżką zwinnie i ostrożnie niczym smagła antylopa.

– O co tu chodzi? – spytał zaintrygowany John.

– Wrócił, żeby ostrzec pozostałych – wyjaśnił Dave. – Dotrą do plantacji niżej położoną drogą. Jest dłuższa, ale znacznie bezpieczniejsza, skoro my tu siedzimy.

Popołudnie minęło i wkrótce stało się jasne, że mamy niewielkie szanse schwytania pustułki. Zwinęliśmy zatem siatkę i zjedliśmy podwieczorek, a Dave umieścił amerykańskiego sokoła na pniu drzewa. Niebawem ujrzeliśmy ze zdumieniem Pana Grubą Rybę we własnej osobie, nadchodzącego z przeciwnej niż poprzednio strony. Gdy do nas podszedł, zauważyliśmy od razu, że w trakcie tego popołudnia uległ radykalnej przemianie. Kapelusz miał zsunięty na tył głowy, kucze loki zmierzwiłone, a w oczach mętny, szklisty wyraz człowieka wyrwanego z nienacka z głębokiego snu i nie do końca odróżniającego senne marzenia od rzeczywistości. Nadal poruszał się z wdziękiem, aczkolwiek trochę niepewnie. Zbliżywszy się do nas, przystanął i oparł się niedbale o drzewo.

– Czołem – powiedział Dave. – Odbił pan miły spacer?

– Tak, ja spaceruję – odparł Pan Gruba Ryba z dobrotliwym uśmiechem. – Spaceruję po lesie.

– Przyjemnie spędził pan czas? – spytała Ann.

– Bardzo przyjemnie, proszę pani – odrzekł i dodał tytułem wyjaśnienia: – Spaceruję dla zdrowia.

Milczeliśmy, nieco skonfundowani, on zaś wpatrywał się rozmarzonym wzrokiem w odległy, dziki wąwóz, w którym wirowały niczym płatki śniegu tropikalne ptaki. Wydawało się, że zapomniał o naszym istnieniu. Na jego twarzy zagościł wyraz pustego, błogiego spokoju. Po chwili ocknął się raptownie.

– Pan jest Anglikiem? – zadał mi pytanie.

– Tak – odparłem.

– Z Londynu?

– Mniej więcej – powiedziałem, nie chcąc wdawać się w zawile tłumaczenia, gdzie leżą Wyspy Normandzkie.

– Mam wielu krewnych w Londynie – oznajmił – a także wielu rodziców.

– Naprawdę? – spytałem zafascynowany.

– Wielu, wielu – powtórzył. – Mam też wielu rodziców i krewnych w Birmingham.

– Birmingham to ładne miasto – zauważył John.

– Bardzo ładne, i Londyn także. Moi rodzice mówią, że tam jest bardzo ładnie i... – Zamknął oczy, a ja pomyślałem, że usnął w połowie zdania, jak Suseł z „Alicji w krainie czarów”. Po chwili jednak uniósł powieki, westchnął głęboko i podjął: – I kiedyś pojedę do moich wszystkich rodziców.

– Często spaceruje pan po lesie? – zagadnął Dave.

– Dla zdrowia często spaceruję po lesie – odparł Pan Gruba Ryba.

– Widuje pan jakieś ptaki? – spytał Dave.

– Ptaki? – powtórzył Pan Gruba Ryba, analizując pytanie. – Ptaki? Ma pan na myśli ptaki?

– Tak – potwierdził Dave. – Wie pan, takie jak gołębie lub *conde*.

– Ptaki? – zastanawiał się Pan Gruba Ryba. – Tak, czasami widuję ptaki i czasami też słyszę śpiew ptaków.

– Czy widział pan może takiego niewielkiego sokoła, pustułkę? – wypytywał dalej Dave. – Nazywają ją *Mangeur de Poule*.

Pan Gruba Ryba popatrzył na Dave’a, a następnie na amerykańską pustułkę, czyszczącą sobie pióra jakieś trzy stopy dalej. Zamknął na chwilę oczy, oblizał usta i ponownie spojrzął na Dave’a i pustułkę.

– Sokoła? – spytał niepewnym tonem.

– Tak, szukamy go – wyjaśnił prostodusznie Dave.

– Szukacie niewielkiego sokoła? – upewnił się Pan Gruba Ryba, pragnąc w pełni zrozumieć sytuację.

– Owszem – odparł Dave. – *Mangeur de Poule*.

Pan Gruba Ryba raz jeszcze przyjrzał się uważnie Dave’owi i siedzącemu w pobliżu ptakowi. Zamknął oczy i otworzył je z wyraźną nadzieją, że pustulka zniknęła. Niestety, doznał zawodu.

Znalazł się w kropce. Czy ptak stanowi wytwór jego rozpalonej marihuaną wyobraźni? A jeśli tak, czy należy zwracać na niego uwagę? Jeśli natomiast jest prawdziwy, dlaczego nie widzą go ludzie, którzy zapewne również mają rodziców w Londynie i Birmingham? Bardzo trudna sprawa, zbyt trudna, by sobie z nią poradzić. Pan Gruba Ryba rozejrzał się rozpaczliwie. Unikaliśmy nawzajem swoich oczu, w obawie, że rykniemy śmiechem. Wreszcie Pan Gruba Ryba znalazł wyjście z sytuacji.

– Do widzenia – powiedział, zdejmując kapelusz, ukłonił się, przestąpił nad naszymi rozciągniętymi ciałami i niepewnie oddalił się ścieżką.

Godzinę później, gdy zeszliśmy na główny trakt, natknęliśmy się nieoczekiwanie na naszego znajomego. Siedział na ziemi, oparty o pień drzewa, czytał książkę i spożywał okazałych rozmiarów kanapkę.

– Zakończyliście spacerowanie? – zagadnął jowialnie, dźwigając się na nogi i strzepując

okruszki z kolan.

– Tak, wracamy już do domu – odparł Dave.

– Do Londynu? – spytał Pan Gruba Ryba, zaskoczony.

– Nie, do Black River – wyjaśnił Dave.

– No to do widzenia – rzekł Pan Gruba Ryba. – Muszę czekać na moich przyjaciół.

Pomachał nam wesoło na pożegnanie, gdy wsiadaliśmy do samochodu.

– Widziałeś, co on czyta? – zapytała Ann.

– Nie, choć bardzo chciałem zerknąć – powiedziałem. – Co?

– „Otella” po angielsku – odparła.

Doszedłem do wniosku, że ogromnie polubię wyspę Mauritius.

II

Rozprawa o różowych gołębiach

Dzień, który wyznaczaliśmy jako datę polowania na różowe gołębie, wreszcie zaświtał (o ile można w ten sposób określić tak ponure zjawisko) – i cały Ocean Indyjski, od brzegu do brzegu, zdawał się pogrążony w złowrogiej, skłębionej masie gęstych chmur. W stosownym czasie chmury te rzygnęły strugami deszczu, których najbardziej wyrazistą cechą stanowiła wysoka temperatura. Spoglądaliśmy w niebo, miotając przekleństwa. Taka pogoda irytowała nas niezmiernie z dwóch przyczyn. Po pierwsze, tylko tego wieczoru mogliśmy uzyskać niezbędną pomoc maurytyjskich Lotnych Brygad, odpowiednika brytyjskich komandosów i amerykańskich *marines*, dzielnych chłopaków pod dowództwem angielskiego oficera, majora Glazebrooka, którzy mieli służyć nam pomocą w tropieniu ptaków, wspinaniu się na drzewa, ustawianiu reflektorów oraz – taką żywiliśmy nadzieję – odłowić różowych gołębi. Po drugie, przedłużający się potop udaremniłby całkowicie wyprawę do śliskiej i ociekającej wodą puszczy.

Ku naszej uldze, wczesnym popołudniem ciężki baldachim chmur zaczął się rozsuwać i w brudnej wełnistej zasłonie pojawiły się błękitne łatki, podobne do fragmentów układanki. O czwartej niebo nad rozgrzaną, parującą ziemią było już zupełnie czyste. Krople deszczu, uwiecznione w liściach i kwiatach, lśniły w blasku słońca niczym upadła galaktyka na tle zielonych krzewów i drzew. Gwałtowna ulewa dokonała spustoszenia wśród drzew królewskiej poincjany, ocieniających drogę do gołębiego lasu – i teraz każde z nich stało w rozległym kręgu szkarłatnych i pomarańczowych płatków niczym w kałuży własnej krwi.

W wyśmienitych humorach ruszyliśmy krętą drogą ku górskiemu pasmu. Była stroma, wijąca się, ukazywała nam wspaniałe widoki puszczy, obramowanej u podnóży poletkami trzciny, gładkimi i jaskrawymi niczym sukno na stole bilardowym, na przemian z rozległymi połaciami połyskliwego morza, nieruchomego i błękitnego, z rozrzuconymi niedbale wokół rafy girlandami białej piany. Stadka czarno-białych wróblowatych ptaszków o szkarłatnych policzkach i ostrych grzebieniach żerowały w połyskliwym gąszczu przydrożnych krzewów, pogwizdując melodyjnie; od czasu do czasu któryś zwracał się do towarzysza, unosił skrzydła niczym nagrobny anioł i poruszał nimi lekko, delikatnie i czule. Czasami przebiegała nam drogę mangusta – smukła, pręgowana i zwinna, z drapieżnym błyskiem mafiosa w małych ślepkach – węsząc tuż przy ziemi w poszukiwaniu sposobności do krwawej uczty. Za jednym z zakrętów natknęliśmy się niespodziewanie na stado ośmiu makaków, siedzących przy drodze. Ich świńskie oczka i zarozumiałe, niebudzące zaufania miny przywodziły na myśl członków zarządu któregoś z mniej rzetelnych londyńskich konsorcjów. Stary samiec wydał przeciągły, ostrzegawczy krzyk, samice przygarnęły do piersi wielkogłowe i chuderlawe dzieci, i całe stado w mgnieniu oka zniknęło w gąszczu guajawy rosnącej wzdłuż poboczy.

Wreszcie dotarliśmy do szkółki leśnej i skręciliśmy z głównej drogi w wyboisty, lecz nadający się do użytku trakt. Pół mili dalej zobaczyliśmy samochód Dave'a i wojskowego dżipa, zaparkowane na poboczu. Zahamowaliśmy obok, a Dave w podskokach wybiegł nam na spotkanie.

– Cześć – powiedział. – Widzieliście kiedy taką pogodę? Niebo czarne jak zadek kreta robi się nagle niebiesciutkie jak pośladki mandryla. Kiedy zaczęło lać, pomyślałem już, że trzeba będzie odwołać całą cholerną akcję. Teraz w dolinie jest pewnie mokro jak w studni, ale to nic, damy sobie radę. Chodźcie, poznacie naszych kolegów.

Wygramoliliśmy się wraz ze sprzętem z auta i ruszyliśmy za Davidem w stronę dżipa. Stała przy nim grupa żołnierzy w eleganckich zielonych mundurach i beretach; wszyscy błyszczeli niczym świeże czekoladki i odznaczeni budową godną Herkulesa. Ramiona i nogi mieli dwa razy grubsze niż normalny człowiek, ich klatki piersiowe przypominały beczki, ręce wydawały się zdolne do wrywania drzew z korzeniami, a usta rozciągnięte w szerokim uśmiechu ukazywały zęby lśniące niczym klawisze fortepianu. Pomimo owych nadnaturalnych rozmiarów ruchy tych mężczyzn, powolne i łagodne, przywodziły na myśl konie pociągowe; z dobrodusznymi minami spoglądali ze swych niebotycznych wyżyn na nas, drobniejszych śmiertelników. Gdy nasze wątle dłonie zniknęły w łagodnym uścisku olbrzymich łapsk, doszedłem do wniosku, że wolę ich mieć po swojej stronie. Dowódca, choć bynajmniej nie rachitycznej budowy, wydawał się przy nich jakiś cherlawy.

Nasz zbrojny oddział przywiózł z sobą – oprócz latarek, sieci i przenośnego reflektora – niebywałych rozmiarów baniak z herbatą, bez której, jak wiadomo z historii, żaden brytyjski czy szkolony przez Brytyjczyków żołnierz nie jest zdolny do płynnych i skutecznych działań w celu przechytrzenia i pokonania wroga. Upewniwszy się, że mamy przy sobie całe nasze osobliwe wyposażenie, ruszyliśmy gęsiego wąską ścieżką przez sięgające nam do pasa zarośla, tak nasiąknięte deszczem, że po stu jardach byliśmy przemoczeni do nitki. Wkrótce ścieżka poprowadziła nas w głąb doliny, przez gąszcz drzewek guajawy, przetykany tu i ówdzie skręconymi, czarnymi pniami hebanowców lub grupami palm podobnych do osiemnastowiecznych wachlarzy, których rączki wetknięto w ziemię. Dróżka biegła stromo w dół, poprzecinana węzlastymi korzeniami, przypominającymi żyłki na nodze. Po ulewie wszystko ociekało wodą i każdy ślad stopy w błocie migotał niczym rozbite lustro, a samo błoto, jasnobrunatne, kleiste i śliskie, mogło – w zмовie z korzeniami – złamać człowiekowi nogę w kostce równie łatwo, jak ludzka ręka łamie grafit w ołówku. Słońce chyliło się ku zachodowi i na ścieżce kładły się ukośne cienie, stwarzając dodatkowe ryzyko. Podczas niepewnego przemarszu w głąb wąwozu powietrze gęstniało i stawało się coraz cieplejsze, w związku z czym nasz pot zasilił obieg płynów w atmosferze. U stóp urwiska mieszany las ustąpił miejsca japońskim cyprysom, które na pierwszy rzut oka wydawały się kłującymi,

ciemnozielonymi sosnami, obwieszonymi ciężkimi kiściami igieł.

– Dolina różowych gołębi – obwieścił z dumą Dave. – Wieki minęły, zanim ją odkryłem. To tutaj najczęściej przesiadują.

W tej samej chwili zza gałęzi drzew po lewej stronie dobiegło chrapliwe, uwodzicielskie nawoływanie: „Karuu, karuu, karuu, kuu, kuu, kuu”.

– No! – wykrzyknął Dave. – Słyszycie go? Wcześniej przyleciały. W porywie entuzjazmu odrzucił głowę i zaczął wydawać odgłosy kojarzące się z całym stadem różowych gołębi w najrozmaitszych nastrojach, od gniewu po nieszczęśliwą miłość. Prawdziwe ptaki umilkły, wyraźnie zaskoczone nagłym potokiem kakofonicznych dźwięków, zupełnie jak ktoś, kto podśpiewuje sobie w łazience i nieoczekiwanie zaczynają mu wtórować połączone chóry rosyjskiej armii.

– Dziwne – odezwał się ze zdumieniem Dave. – Zwykle mi odpowiadają. No cóż, ustawmy się tyralierą i ruszajmy. Wkrótce zaczną siadać na gałęziach.

Posłuszni jego wskazówkom, wyruszyliśmy tyralierą przez cyprysowy gąszcz, wypatrując drzew, na które moglibyśmy się wspiać i z góry obserwować dolinę, lub polanek, z których byłoby widać nadlatujące gołębie. Wyszukałem na zboczu duże drzewo o gałęziach schodzących niemal do samej ziemi, tak że można było wdrapać się po nich jak po drabinie. Na wysokości mniej więcej czterdziestu stóp znalazłem wygodne rozwidlenie, w którym się usadowiłem i wydobylem lornetkę, oczekując przylotu różowych gołębi. Z mojego punktu obserwacyjnego mogłem ogarnąć wzrokiem sporą część cyprysowego gaju, dokąd – według zapewnień Dave’a – co wieczór zlatywały się gołębie.

W trakcie oczekiwania zastanawiałem się nad niezwykłą metodą odłowu, wymyśloną przez Davida. Trzeba było przybyć na miejsce tuż przed zachodem słońca i oczekiwać przylotu gołębi. Gdy nadchodził zmierzch, ptaki przefruwały ociężałe z gałęzi na gałąź. Zwykle przysiadły na jednym drzewie, na które należało zwrócić uwagę. Kiedy się już zupełnie ściemniło – bo księżyc absolutnie nie sprzyjał podobnym przedsięwzięciom – podchodziło się do drzewa z latarkami i przygważdżało śpiące gołębie wiązkami światła. Następnie człowiek wdrapywał się po pniu i rękoma bądź za pomocą sieci w kształcie szczypiec do cukru wyłapywał ptaki, głęboko uspione lub otumanione, jak to się zdarza tylko gołębiom. Metoda ta wydawała się z pozoru absurdalna, lecz zwiedziłem zbyt wiele krajów i poznałem zbyt wiele niedorzecznych sposobów chwytania zwierząt, aby ją pochopnie zlekceważyć.

Słońce osunęło się już nad horyzont, a metaliczny błękit nieba nabrał bledszego, bardziej rozcieńczonego odcienia. Dolinę zalewał złotozielony blask i wszędzie panowała cisza i spokój. Tuż nad moją głową pojawiło się nagle stadko zosteropsów, maleńkich, kruchych, zielonych ptaszków z bladymi, kremowymi obwódkami wokół oczu. Piskliwie wyśpiewywały i świergotały do siebie, wywijając w podnieceniu dziwaczne koziółki i łowiąc mikroskopijne

owady wśród sosnowych igieł. Ściągnąłem usta i posłałem im szczebiotliwy tryl. Skutek był wręcz groteskowy. Wszystkie ptaki zawiesiły głos i zaprzestały polowania, gromadząc się na gałęzi i mierząc mnie uważnym spojrzeniem zza białych binokli. Ponownie wydałem dźwięk. Po chwili zdumionego milczenia ptaki zaniósł się ożywionym świergotem i podfrunęły do mnie, zbliżając się stopniowo – aż znalazły się w zasięgu ręki. Dopóki wydawałem ptasie odgłosy, budziłem w nich niepokój – przechylały łebki, przysuwając się coraz bliżej, aż wreszcie zawisły głowami w dół o stopę ode mnie, zerkając niespokojnie i omawiając to niezwykle zjawisko cichymi, przenikliwymi gwizdami. Zacząłem się właśnie zastanawiać, czy potrafię je skłonić do tego, by na mnie przysiadły, gdy para różowych gołębi przefrunęła nad zboczem i wylądowała na drzewie pięćdziesiąt stóp ode mnie. Uniosłem lornetkę, co poderwało zosteropsy do lotu.

– Właśnie przyleciały dwa! – zakrzyknął Dave z koryta strumienia na dnie doliny. – Czy ktoś je zauważył?

Wspominał mi wcześniej, jak mało płochliwe są te gołębie, lecz mimo to zaskoczyło mnie zachowanie owych dwóch ptaków, które gruchały sobie w najlepsze, nie bacząc na wołanie Dave'a.

– Ja zauważyłem! – odkrzyknąłem i ponownie poczułem się nieco zaskoczony tym, że gołębie, znajdujące się bardzo blisko mnie, nie odfrunęły przerażone. Siedziały obok siebie na gałęzi, od czasu do czasu trącąc się dziobkami w namiętym – jak na gołębie obyczaj – pocałunku, a ich gorsy połyskiwały cyklamenowym różem w promieniach zachodzącego słońca. Niekiedy ten, który wydawał mi się samczykiem, składał samiczce ukłon, wywodząc donośne, chrapliwe trele. Samiczka zaś – co typowe dla gołębic – robiła wrażenie bezmyślnej, urażonej i histerycznej jednocześnie, niczym dziewczę z okresu regencji, skłonne do waporów. Wkrótce nadleciały cztery inne ptaki, a przybycie każdego z nich witały okrzyki któregoś członka naszej drużyny. W pewnej chwili, gdy obserwowałem przez lornetkę mozolną wspinaczkę majora Glazebrooka na najwyższe gałęzie drzewa po drugiej stronie doliny, para gołębi przyfrunęła i usadowiła się o sześć stóp od niego. Następny ptak wylądował w podobnej odległości ode mnie i przez kilka minut przyglądał mi się z powagą, póki nie doszedł do wniosku, że mogę stanowić zagrożenie, i odleciał. Zważywszy ich łagodność – a może raczej zwykłą głupotę? – dziwiłem się, że ten gatunek, będący tak łatwym celem dla pozbawionego skrupułów myśliwego, w ogóle jeszcze istnieje.

Każdy z nas obserwował wybrane okazy, które przefruwały o ciężale z drzewa na drzewo, podczas gdy słońce opadało coraz niżej, a dolina pogrążała się w cieniu. Para, którą śledziłem, leniwie odleciała poza zasięg mojego wzroku, i już miałem zejść z drzewa, by ruszyć na poszukiwania, kiedy ptaki wróciły i usadowiły się wygodnie na wysokiej gałęzi. Wyglądały na zadowolone z siebie i miałem nadzieję, że wreszcie wybrały miejsce spoczynku, ale tuż przed zmrokiem, gdy łada chwila mogło zrobić się zbyt ciemno, aby je dostrzec, znowu – ku mej

wielkiej irytacji – zerwały się do lotu. Na szczęście tym razem przeniosły się tylko o jakieś dwadzieścia stóp wyżej, i tam już zostały. Dolinę stopniowo okryła ciemność. Powoli zsunąłem się z drzewa na ziemię, co było przedsięwzięciem niepozbawionym ryzyka. Gdzieś w głębi doliny Dave, z sobie wyłącznie znanych przyczyn, postanowił naśladować całą gamę odgłosów, jakie wydaje odyniec – i z pluskiem taplał się w strumieniu, chrząkając i kwicząc, porykując i fukając w sposób, którego nie powstydziliby się najprawdziwszy dzik. Można by pomyśleć, że przyprawi to wszystkie różowe gołębie o trwałą bezsenność. Spały jednak dalej, jak gdyby od dawna przywykły do takich odgłosów.

Zrywając po drodze kilka pulchnych, czerwonych owoców guajawy, by ugasić pragnienie, ruszyłem w stronę drzewa, na którym ułożyły się do snu moje gołębie. Guajawa była cierpka, lecz przyjemnie odświeżająca. Usiadłem pod drzewem, oparłszy się plecami o jego pień, i zjadłem całą garść owoców, łagodząc suchość w ustach. Teraz, gdy było już ciemno, zaczęły grać cykady, a ich donośny, przenikliwy świergot brzmiał niemal ogłuszająco. Zdawał się przewiercać czaszkę na wylot, a przy tym miał osobliwe brzuchomówcze właściwości: człowiek przypuszczał, że cykada siedzi mu na ramieniu, a tymczasem ona znajdowała się o trzydzieści stóp dalej. Owady te mierzyły niewiele ponad cal i były bladoseledynowe, o złotych oczach i migotliwych skrzydełkach, przypominających zielone, matowe szybki w kościelnych oknach.

Czując, że szumi mi w głowie od tego żywiołowego koncertu, zacząłem rozmyślać nad czekającym nas zadaniem. Ponieważ zmuszeni byliśmy dostosować nasze plany odłowu gołębi do terminarza zajęć towarzyszących nam gigantów z oddziału specjalnego, woleliśmy wybrać tę noc, gdy świecił niepełny księżyc, niż noc bezksiężycową. Oznaczało to, że musimy działać bardzo szybko i postarać się schwytać ptaki, zanim blask księżycy stanie się dostatecznie silny, by oświetlić im drogę ucieczki.

Zebraliśmy się pod moim drzewem, aby omówić strategię. Ponieważ wysledzone przez nas ptaki – w sumie pięć sztuk – rozproszyły się po całym lesie, postanowiliśmy zacząć od najniższego i rosnącego najbliższej ścieżki drzewa, na które najłatwiej było się wspiąć, a następnie stopniowo przesuwając się ku pozostałym. Podjąwszy tę decyzję, skupiliśmy się na pierwszym drzewie i otoczyliśmy je z latarkami i przenośnym reflektorem, kierując oślepiające światło w górę, gdzie na gałęzi, mniej więcej trzydzieści pięć stóp nad nami, siedział tłusty, zaspany, półprzytomny gołąb.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że niesłychanie łatwo będzie wejść na drzewo i schwytać gołębia ręką lub siatką, lecz bliższe oględziny pnia i gałęzi wykazały, iż wspinająca się osoba nie zdoła się po nich poruszać cicho i narobi największego możliwego hałasu i zamieszania, a wówczas wystraszony ptak zerwie się do lotu w przerażających ciemnościach. Odbyliśmy szeptem pośpieszną naradę wojenną, podczas gdy gołąb, w pełni już rozbudzony, przyglądał się nam z łagodnym zainteresowaniem. Ustaliliśmy, że na jedno z sąsiednich drzew

wdrapie się sierżant – najdorodniejszy chyba z towarzyszących nam kolosów, a w dodatku najlepszy w chodzeniu po drzewach – na drugie zaś John Hartley, który ma długie ramiona. Następnie spróbują przybrać pozycję umożliwiającą schwytanie gołębia. Dalszych planów już nie snuliśmy, gdyż sprawy często przybierają nieprzewidziany obrót, gdy człowiek wisi trzydzieści pięć stóp nad ziemią.

Sierżant, potężnie zbudowany, lecz jednocześnie zadziwiająco zwinny, zaczął się wspinać na swoje drzewo, a wyposażony w długie jak u pająka kończyny John Hartley – na swoje. Gołąb obserwował ich ruchy z głębokim zaciekawieniem, całkowicie pozbawionym lęku, przechyliwszy łebek lekko w bok. Kiedy obydwaj równocześnie dotarli na wysokość gołębiej grzędy, odetchnęli głęboko, po czym przekazali nam ochryplym szeptem, że sierżant mógłby przysunąć się po gałęzi na tyle blisko, by złapać ptaka w sieć. Gorliwie zachęciliśmy go do działania. Patrzyliśmy, jak przemieszcza swoje sto pięćdziesiąt kilo mięśni i kości wzdłuż gałęzi, która wydawała się zbyt krucha, aby utrzymać wiewiórkę, a co dopiero tego hebanowego goliata; lecz ku naszemu zdumieniu nie złamała się pod nim.

Sierżant zaczął manipulować siecią. Jak już napomykałem, przypominała ona szczypcę do cukru, zakończone dwiema siatkami. Ściśnięte razem, więziły ptaka wewnątrz. Na widok owego przyrządu gołąb zademonstrował pierwsze przejawy czujności, to znaczy przechylił głowę i lekko zatrzepotał skrzydłami. Tymczasem sierżant uznał, że musi zbliżyć się do zdobyczy jeszcze o trzy stopy, co wymagało wejścia na wyższą gałąź. Ponieważ gołąb okazywał już wyraźny niepokój, postanowiliśmy zgasić naszą baterię świateł i liczyć na to, że sierżant dotrze po ciemku do dogodnego punktu. Po pewnym czasie i znacznej liczbie przekleństw zawołał do nas, że udało mu się zająć nowe miejsce.

Zapaliliśmy światła i przekonaliśmy się zaskoczeni, że gołąb wykorzystał tę sposobność, by wtulić głowę pod skrzydło i uciąć sobie krótką drzemkę. Gdy światła zajaśniały ponownie, wysunął łebek nerwowym ruchem. Wyglądał na wytrąconego z równowagi. Zdesperowany sierżant, przywierając do kolejnej kruchej gałązki, wysunął sieć i zamachnął się nią, co obserwowaliśmy z zapartym tchem. Gołąb zadziwiająco zręcznie odskoczył w tył, lecz przynajmniej nie uleciał w mrok. Sierżant, trzymając się kurczowo wygiętej i trzeszczącej gałęzi, podpełzł bliżej i wziął kolejny zamach. Tym razem obie połówki sieci połączyły się, oplatając ptaka, lecz zamach okazał się zbyt silny: gałąź wygięła się do tego stopnia, że sierżant – aby nie runąć na ziemię – odruchowo wypuścił uchwyt siatki.

W pełnym grozy milczeniu patrzyliśmy, jak spada. „Szczypcę” rozchyliły się i naszego drogocennego różowego gołębia więziła teraz tylko połowa siatki, z której bez trudu mógł umknąć. Wtem sieć zaczepiła o wystający konar i zawisła na nim. Gołąb niezdecydowanie zatrzepotał skrzydłami, my zaś czekaliśmy w napięciu, czy uwolni się z pułapki i odfrunie w mrok lasu. Ale po tej symbolicznej próbie ptak zamarł w postawie stoickiego spokoju – na

szczęście, gdyż siatka ledwo się trzymała gałęzi.

Zauważyliśmy, że gałąź, o którą zahaczyły nasze sidła, wyrasta pod pewnym kątem i znajduje się dość blisko drzewa, na którym tkwi przyczajony John Hartley. Zauważywszy to, John szybko zsunął się niżej i popęzł wzdłuż gałęzi – aż dotarł do punktu oddalonego od sieci zaledwie o cztery stopy. Sięgnął po nią bardzo ostrożnie, jako że gałąź, na której siedział, była równie wiotka, co elastyczna. Przez chwilę wydawało mi się, że jego ręce są jednak zbyt krótkie; lecz ku mej uldze zdołał zacisnąć dłonie na wylocie siatki. Różowy gołąb należał do nas.

John ostrożnie wrócił w zielony gąszcz i przeniósł zdobycz do miękkiego płóciennego worka, takiego samego, jaki miał sierżant. Następnie powoli opuścił łup na sznurku. Z szacunkiem ująłem w złożone dłonie przesyłkę, która wyłoniła się spomiędzy ciemnych liści. Otworzyłem ją najdelikatniej, jak umiałem, i wydobyłem gołębia, którego natychmiast obejrzał Dave. Ptak, znalazłszy się w nowym dla niego położeniu, pozwolił się wziąć w dłonie, okazując niezmacony spokój i mrugając z lekkim zaciekawieniem. Z bliska, nawet w sztucznym świetle, jego barwy były żywe i piękne: skrzydła i grzbiet miały bladoczekoladowy odcień, ogon i tylne części ciała mieniły się rudym, niemal lisim kolorem, a szeroka pierś, szyja i głowa wpadały w szarość zabarwioną ciemnym różem. Był to wyjątkowo urodziwy ptak.

Gdy mu się przyglądałem, gładząc jedwabiste pióra i wyczuwając miarowy puls i oddech, poczułem przemożny smutek. Ten gołąb należał do trzydziestu trzech ocalałych przedstawicieli swego gatunku, wiodącego niepewną egzystencję w cyprysowym lesie. Podobnie zapewne rzecz się miała z niedobitkami dodo, ostatnim, nielicznym stadem nieszkodliwych brodzących ptaków, w obliczu ostatniego najazdu świń, psów, kotów, małp i ludzi. Dodo wyginęły ostatecznie, ponieważ nikt o nie nie dbał i nikt nie stworzył im bezpiecznego schronienia. Różowe gołębie miały przynajmniej – z naszą pomocą – szansę przetrwania, mimo iż pozostało ich tak niewiele.

Schwytanie gołębia zajęło nam tyle czasu, że księżyc zdążył ukazać się w całej krasie i – ku naszej irytacji – na niebie nie pojawiła się nawet najmniejsza chmurka. Wszelki odłów skazany był na niepowodzenie, ponieważ jaskrawe światło umożliwiała ucieczkę. Nasza pierwsza próba wspięcia się do ich gniazd wypłoszyła ptaki z drzew w głąb doliny. Usiłując je śledzić, tracilibyśmy tylko czas. Przedzieraliśmy się w pocie czoła przez zarośla, potykając się i ślizgając, byle tylko wydostać się z doliny i dotrzeć do opromienionych blaskiem księżyca okolic, niosąc drogocenne brzemie – różowego gołębia. Nie mieliśmy powodu do narzekań. Schwytanie jednego z trzydziestu trzech ptaków za pierwszym razem na takim terenie wydawało mi się niemal cudem.

Po powrocie do hotelu, gdy wzięliśmy prysznic, przebraliśmy się i posmarowaliśmy ukąszone miejsca, urządziliśmy zebranie w jadalni.

– A może byśmy uczcili nasze polowanie? – zaproponowałem. – Zamówimy tuzin ostryg i homara z rusztu, a do tego sałatę, banany w płonącym rumie i dobre białe wino.

Ann i John zgodzili się, że to ujdzie jako przekąska, więc wydałem stosowne polecenie. Po chwili zjawił się ponownie kelner, którego zaszczytne imię brzmiało Horacy.

– Proszę pana uprzejmie – zaczął – żal mi homarów.

Mimo iż angielski jest na Mauritiusie językiem oficjalnym, miewałem niekiedy pewne trudności. Musiałem się oswoić z formą „nie ma” jako skrótem od „nie ma za co” w odpowiedzi na podziękowanie. Teraz stanął przede mną nowy problem. Horacemu było żal homarów.

Czy oznaczało to, że jako członka Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami sama myśl o uśmierceniu tych smakowitych skorupiaków napędza go tak wielką zgrozą, że nie może się zdobyć na to, by je podać? Zachowanie Horacego nie dawało powodów do takich przypuszczeń, ale nie chciałem ranić jego uczuć.

– Dlaczego żal ci homarów, Horacy? – zagadnąłem tonem łagodnym i pełnym współczucia.

– Bo ich zabrakło, proszę pana – odparł.

Zamówiliśmy rybę.

III

Kragła Wyspa

W odróżnieniu od większości wypraw morskich podejmowanych w tropikach, nasza podróż na Kragłą Wyspę odniosła bezsporny sukces – pomijając fakt, że Wahab cierpiał na chorobę morską, Dave doznał udaru słonecznego, ja zaś usiłowałem zdobyć złoty medal olimpijski za najdłuższy i najboleśniejszy w historii wyspy zjazd na łokciach i kolanach.

Wstawanie z łóżka w nieznanym hotelu o czwartej rano zawsze otrzeźwia, zwłaszcza gdy człowiek podejrzewa – na podstawie gorzkich doświadczeń z innych części świata – że jest jedynym członkiem wyprawy na tyle głupim, by zjawić się punktualnie, a nawet, by w ogóle się zjawić. Zawsze czuję się winny, gdy w hotelu wstaję o zbyt wczesnej porze, i staram się poruszać jak najciszej, żeby nie przeszkadzać mniej ekscentrycznym współmieszkańcom. Błądzenie po nieznanym terytorium związane jest jednak z licznymi kłopotami. Tym razem zaczęło się od macania po ścianie w poszukiwaniu kontaktu, czego skutkiem było przewrócenie stolika wraz ze zdobiałym go dzbanem z wodą, szklanką, zegarem oraz trzema broszurami na temat fauny zamieszkującej wyspę. Później runęła z trzaskiem muszla klozetowa (śląc gromkie echo wzdłuż wezgłowi uspiionych gości hotelowych), a następnie w rurach rozległa się kanonada, połączona z wyciem prysznicą – co o tej porze brzmiało jak katastrofalny wybuch Krakatau w 1883 roku. Jedyną przyjemnością płynącą z tego ponurego koncertu była myśl, że obudzę mych towarzyszy, którzy powinni już być na nogach.

Zaspani, wtoczyliśmy się w końcu do samochodu wraz z całym dziwacznym ekwipunkiem, jakiego wymaga profesja łowcy zwierząt (worki na węże, siatki, butelki, sznurek, aparaty fotograficzne i lornetki), i ruszyliśmy lśniącą, mokrą od nocnego deszczu drogą między szumiącymi ścianami trzciny cukrowej w stronę jachtklubu, na którego przystani umówiliśmy się z resztą grupy. W połowie drogi szczęśliwie napotkaliśmy samochód Dave'a, który bardzo zręcznie i pewnie sunął w niewłaściwym kierunku. Na nasz widok zawrócił i dołączył do kawalkady. Wkrótce potem dostrześliśmy Wahaba, czekającego w aucie zaparkowanym pod drzewem, żeby wskazać nam drogę. Jego szeroki, promienny, chłopięcy uśmiech był tak figlarny, a zarazem pełen entuzjazmu, że natychmiast uwierzyliśmy nie tylko w powodzenie naszej misji, ale także w to, że warto było zerwać się z łóżka o czwartej rano.

Znalazszy się na terenach jachtklubu, zaparkowaliśmy auta w cieniu drzew. Z nadzieją, że nie przyłapią nas klubowi ogrodnicy, ucieliśmy sobie z Johnem po kawałku bugenwilli, żeby skonstruować prety do chwytania jaszczurek. Następnie, dźwigając torby wypełnione żywnością i sprzętem, przemierzaliśmy przystań i obejrzeliliśmy nasz statek.

Wyglądał jak mały holownik z miniaturowym pokładem dziobowym, ogrodzonym średnim pokładem oraz studnią na śródkręciu (okoloną drewnianymi ławkami), która była wprawdzie

zadaszona, lecz pod innymi względami wystawiona na działanie wszelkich możliwych żywiołów. Wydał mi się zawadiacki i apodyktyczny, z domieszką niezdarnej rzeczowości, która z jakichś powodów wzbudziła we mnie zaufanie co do jego zdolności w zakresie żeglugi. Zgodnie z napisem na mosiężnej tabliczce statek liczył sobie prawie dwadzieścia lat i zbudowano go – co brzmiało wręcz nieprawdopodobnie – w Colchester. Początkowo nadano mu nieco zbyt agresywną nazwę „Korsarz”, lecz ostatnio został przemianowany na „Doradę”.

Na pokładzie znajdował się już ludzki ładunek, gdyż – prócz bardzo wytwornego kapitana w czapce z daszkiem – był tam pierwszy oficer o wyglądzie młodego Hajle Sellasje; drobny, brunatnoskóry człowieczek, który był nurkiem (zapewne na wypadek, gdybyśmy zatonęli); dobronosny adwokat muzułmanin, przyjaciel Wahaba Tony Gardner z trzema strażnikami leśnymi (również „przynależnymi”, by tak rzec, do Wahaba); oraz obcy dżentelmen tęgiej postury, jego pulchna małżonka o sennym wejrzeniu i dwie towarzyszące im damy, wszyscy w nieskazitelnych strojach, które bardziej by pasowały do królewskich regat w Londynie niż do trudnych warunków Kragłej Wyspy. Patrząc na Wahaba, Tony’ego i resztę naszej grupy, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że przypominamy ową osobliwie niedobraną drużynę, którą skrzyknął Brząkacz, aby zapolować na Żmirlacza.

Przy wtórze pokrzykiwań, sporów i przemieszczania ludzi i dobytku, co zawsze następuje w podobnych sytuacjach, ulokowaliśmy się wokół studni, złożywszy bagaże w bezpiecznym miejscu. Zluzowano cumy i dzielny okręt „Doradę” wyruszył w rejs po czarnym, aksamitnym morzu, obsypanym blednącymi odbiciami gwiazd, gdyż niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć i pojawiły się na nim drobne, ciemne cumulusy, podobne do stada wełnistych czarnych owiec, pasących się na srebrzystej łące. Morze było niewiarygodnie spokojne, a bryza ciepła i przyjemna. Ci z nas, którzy żywili obawy co do żeglarskiej wytrzymałości swych organów wewnętrznych, wyraźnie odetchnęli.

Pierwszą mijaną wyspę, której duży ciemny kształt zamajaczył nam po lewej, nazwano Klinem Kanoniera z uwagi na jej podobieństwo do trójkątnego kawałka drewna, wsuwanego zazwyczaj pod działo, aby uzyskać odpowiedni kąt nachylenia i tor pocisku. Kiedy przepływaliśmy obok wyspy, pomyślałem, że bardziej przypomina wrak „Titanica”, wywrócony do góry dnem i tonący od strony rufy. Niebo na wschodzie ze srebrzystego stało się żółte. Stada obłoków pasące się na horyzoncie zrobiły się czarne jak smoła, ze złotą świetlistą obwódką wokół każdego kędziorka, podczas gdy stada, które zawędrowały wyżej na niebiańskim pastwisku, nabrały odcienia szaroniebieskiego w delikatne fioletowe cętki i prążki. W oddali widzieliśmy teraz zarys Płaskiej Wyspy, która – jeśli nie liczyć wypukłości na jednym krańcu – zasługiwała na swoją nazwę. Za nią leżała Ile aux Serpents, czyli Wyspa Węży, podobna do odwróconej miski na pudding, a dalej – nasz cel, Kragła Wyspa, czyli Round Island, która z tej perspektywy wcale nie wydawała się okrągła, lecz przy pewnej dozie wyobraźni kojarzyła się

odległe z żółciem spoczywającym na powierzchni morza i wysuwającym łeb ze skorupy.

– Powiedz mi – zagadnąłem Tony’ego, gdyż nazewnictwo geograficzne, podobnie jak zoologiczne, wymaga niekiedy wyjaśnień – czy potrafisz wytłumaczyć nieprawidłowe nazwy tych dwóch wysp?

– Których? – spytał Tony, wypuszczając kłęby aromatycznego fajkowego dymu.

– Kragłej Wyspy i Wyspy Węży.

– Niezupełnie rozumiem, co masz na myśli – zakłopotał się Tony.

– Otóż Wyspa Węży ma okrągły kształt i nie występują na niej żadne węże, Kragła Wyspa natomiast nie jest okrągła i zamieszkują ją dwa gatunki węży.

– A tak, to dziwne – przyznał Tony. – Moim zdaniem, ci, którzy sporządzali mapy, po prostu pomylili wyspy. To się zdarza.

– Wierzę – odparłem. – Miałem kiedyś urzędową mapę Kamerunu, na której jedno z większych miast zredukowano do rozmiarów wioski, a w dodatku przesunięto o dwieście mil na północ.

Stopniowo całe niebo przybrało odcień bladego błękitu i różu, a chmury, teraz białe i gładkie, stłoczyły się nad widnokregiem niczym grupa ośnieżonych drzew. Przez ten las cumulusów nieoczekiwanym, tygrysim skokiem przedarło się słońce i nakreśliło na powierzchni morza ognistą smugę blasku, która nawet o tak wczesnej porze zdawała się owiewać „Doradę” tchnieniem żaru.

W miarę zbliżania się do Kragłej Wyspy otoczenie wyglądało coraz groźniej. Słońce wschodziło niemal bezpośrednio zza wyspy, widzieliśmy więc przede wszystkim jej zarys, jak gdyby wyrastała prosto z morza, zwieńczona strzępiastą frędzlą palm. Dzielny okręt „Doradę” przepchnął się przez błękitne spiętrzenie fal, w których – choć nie wydawały się wzburzone – drzemała ukryta siła i leniwa sprężystość, jak u na poły uspiętego kota.

– Cieszę się, że jest tak spokojnie – powiedział Tony. – Prawdę mówiąc, nigdy tu nie widziałem równie spokojnego morza. Czasami przybicie do brzegu zajmuje godzinę z hakiem i często trzeba odcinać kotwicę, jeśli zaczepi się o którąś z podwodnych skał.

– Wiem – odparłem. – Z szacunkiem podszytym zgrozą czytałem wspomnienia Nicolasa Pike’a z pobytu na Kragłej Wyspie. Opis pierwszego zejścia na ląd daje człowiekowi do myślenia.

– Tak. Niezwykły facet – przyznał Tony.

Pikę był jednym z owych niestrudzonych wiktoriańskich odkrywców, którym tak wiele zawdzięczają dzisiejsi przyrodnicy i zoologowie. Podróżnicy ci, wyekwipowani najzupełniej nieodpowiednio, lecz posiadający żywe, bystre, wszechstronne umysły, opływali świat w nienasyconej żądzy wiedzy, porządkując i zapisując wszystko, co widzieli i słyszeli, a większość z nich posługiwała się osobliwym staroświeckim stylem i wykazywała typ poczucia

humoru spotykany zazwyczaj tylko w najstarszych rocznikach „Puncha”. Ich opowieści o tym, co zobaczyli i zgromadzili, odznaczają się świeżością, urokiem i entuzjazmem, których próżno by szukać w drętwych książkach podróżniczych, podsuwanych nam obecnie przez zamożnych obieżyświatów o zamięłowaniach przyrodniczych. Oto jak Nicolas Pike opisuje swe pierwsze spotkanie z Kragłą Wyspą:

Przekonałem się zaraz, że nie było słowa przesady w tym, co mi mówiono o trudnościach z dobieciem do brzegu. Szczęściem nasi rybacy nader wprawnie manewrowali łodzią. Pozwolili jej podpłynąć na odległość kilku stóp od naszej przystani, czyli płyty skalnej, o którą rozbijały się fale.

W tym miejscu musieliśmy zaczekać, wypatrując sposobności, by jeden z członków naszej załogi mógł wyskoczyć z liną na ląd i ustawić łódź w stałej pozycji, dziobem na wprost. Gdy to nastąpiło, przywiązał mocno linę do żelaznych pierścieni, umieszczonych tam przed laty w tym właśnie celu, po czym przekazaliśmy na brzeg nasze zapasy żywności, wody itp.

Kiedy wszystko zostało bezpiecznie wylądowane, każdy jął wypatrywać chwili, gdy łódź wzniesie się na fali, i wówczas dawał susa, od którego wibrował każdy nerw; trzeba było mocnych nóg i dobrego oka, by stanąć pewnie na śliskim kamieniu.

Gdyby nasza łódka, która unosiła się i opadała na fali dochodzącej do dziesięciu czy dwunastu stóp, uderzyła dziobem o występ w stromym urwisku, w kilka sekund poszłaby na dno wraz z całym ładunkiem. Morze ma tutaj około czterech sążni głębokości.

Kiedy „Doradę” wznosił się i osuwał wśród lśniącego błękitu, zrozumiałem, co Pike miał na myśli. Badając wzrokiem urwisty brzeg, nie potrafiłem wypatryć ani jednego miejsca, nadającego się do wysadzenia na ląd kogokolwiek oprócz kozicy górskiej.

– Gdzie jest przystań? – zwróciłem się do Tony’ego.

– Tam – odparł, wskazując machnięciem ręki najwyraźniej pionową ścianę skalną. – Ten płaski blok kamienny. To tam lądował Pike.

Przyjrzawszy się uważnie, z niejakim trudem dostrzegłem spłaszczony występ skalny, mniej więcej rozmiarów jadalnianego stołu, na który w sugestywny sposób napierały błękitne fale.

– Tam? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tam – potwierdził Tony.

– Nie chciałbym popadać w przesadny krytycyzm – zacząłem – ale podejrzewam, że aby się tam dostać, musiałyby się stanowić krzyżówkę Szerpy z wyjątkowo zwinnym gekonem.

– Co się martwisz, Gerry – wyszczerzył zęby Wahab. – Raz kozie śmierć.

– Wiem – odparłem. – Dlatego bardzo mi zależy, aby nie zakosztować tego doświadczenia zbyt wcześnie.

– Najspokojniejszy dzień, jaki widziałem. Nie będzie żadnego problemu – zapewnił poważnie Tony.

Na dziobie rozpoczęto ożywioną działalność, kotwica zagrzechotała o deski pokładu i wpadła do przejrzystej jak dzin wody o głębokości około czterdziestu stóp.

– W tej jaskini Nicolas Pike schronił się przed cyklonem. – Wahab wskazał półksiężycowate zagłębienie w skale tuż obok przystani.

– Strop się zawalił, ale jeszcze widać zarysy – dodał Tony. Popatrzyłem na wyrzeźbione w kamieniu półkole, wokół którego roilo się od lśniących czarnych ryb – skoczków mułowych (pełzających po skałach w zupełnie nierybi sposób) oraz szkarłatnych i fioletowych krabów, i przywołałem w pamięci budzący grozę opis Pike'a. Z respektem uświadomiłem sobie, że w tym właśnie miejscu omal nie utracił swych „niewymownych”.

Choć uwijaliśmy się dziarsko, żywioty z jeszcze większym rozmachem szykowały natarcie; o wpół do siódmej morze zaczęło burzyć się gwałtownie i już po chwili wały wodne o wysokości dziesięciu lub dwunastu stóp zalały blok skalny, na którym przed dwiema zaledwie godzinami znalazła się nasza grupa. Spiętrzone fale zmyły nasze beczulki z wodą, stojące około pięćdziesięciu jardów dalej i na wysokości dwudziestu pięciu stóp; niebawem wdarły się do groty, niemal sięgając miejsca, w którym staliśmy i z przerażeniem patrzyliśmy na to, co się dzieje, i odcinając nam drogę ucieczki.

Kapitan, ujrzawszy nagle załamanie pogody, podniósł kotwicę, pomknął naprzód z wiatrem i wkrótce zniknął nam z oczu wśród spienionych bałwanów.

Dokładaliśmy teraz wszelkich starań, aby zabezpieczyć, co się tylko da, lecz zanim uporaliliśmy się z robotą, zapadła noc, a całe niebo zasnuły ołowiane chmury. Góra zadrżała od dudniącego łoskotu gromu, a jaskrawe zygzaki błyskawic co chwila rozświeślały spienioną kipieli pod nami, która tłukła o skały wściekłymi falami, bryzgając na wszystkie strony i przemaczając nas do suchej nitki.

A potem, na domiar złego, nastąpiło oberwanie chmury i w krótkim czasie rwące potoki deszczu spłynęły z góry na nawis, który tworzył strop naszej groty, kaskadą szeroką na dwadzieścia stóp i niosącą z sobą kamienie najrozmaitszej wielkości. Odbijały się one z wielką siłą od dna jaskini i wpadały do morza, zadając nam od czasu do czasu dotkliwe ciosy. Morze stopniowo wdzierало się do naszego schronienia i wreszcie zmuszeni byliśmy tłoczyć się w najdalszym kącie i przytrzymywać ścian, aby nie porwała nas woda. Sytuacja zaczynała budzić emocje nazbyt żywe, by czerpać z nich przyjemność, i należało podjąć próbę wydobycia się z tego niebezpiecznego położenia.

Poprzedniego dnia do skały znajdującej się powyżej, mocno przywiązano długą linę, której jeden koniec zwisał z urwiska; niestety, opadał w najniższym miejscu, gdzie najrzęściej lała się woda. Lina była jednak długa, więc jeden z moich towarzyszy wynurzył się z kryjówki, wyczekał sposobności, by pochwycić sznur, i trzymając kurczowo, zdołał odciągnąć go od kaskady i zaczepić o występ skalny w pionowej ścianie wysokości około trzydziestu stóp. Nigdy nie

zdarzyło mi się widzieć podobnie odważnego czynu, i to dokonanego z narażeniem życia, gdyż jeden fałszywy krok oznaczał pewną zgubę; tak czy inaczej, spadający kamień mocno stłukł zuchowi głowę i bok.

Bynajmniej tym niezrażony, dzielny człowieczek – jako najmniejszy i najlżejszy z nas – pierwszy wspiął się po Unie; i wyznam szczerze, że w straszliwym napięciu oczekiwaliśmy upragnionego znaku, iż bezpiecznie dotarł na górę, nie było bowiem wiadomo, czy lina wytrzyma i czy nasz towarzysz oprze się wicherze i siekącemu deszczowi.

W końcu, ku naszej wielkiej radości, przez ryk rozszalałych żywiołów przedarł się jego okrzyk: „W porządku!”. Następny w kolejności byłem ja; zrzuciwszy z siebie wszystko prócz starej niebieskiej koszuli i kalesonów, złapałem linę i rozpocząłem mozolną wspinaczkę. Denerwujące było to kołysanie się w powietrzu między życiem a śmiercią, gdy w każdej chwili mogłem ześliznąć się w ziejącą pode mną otchłań. Niebawem udało mi się już oprzeć stopy o skalną ścianę i słyszałem ponaglenia mego przyjaciela, które zdawały się dobiegać z chmur. Na górze doznałem przemożnej ulgi i byłem wdzięczny losowi mimo pokaleczonych, krwawiących dłoni i stóp oraz sińców na całym ciele, nie wspominając już o utracie znacznych fragmentów moich niewymownych.

Nasze przybycie do brzegów Kragłej Wyspy wyglądało o wiele mniej przerażająco niż doświadczenia Pike’a. Zaledwie kotwica dotknęła morskiego dna, Tony wraz z nurkiem śmignęli za burtę niczym wydry, zabierając dwie liny, które wkrótce połączyły „Doradę” z brzegiem. Miały to być liny holownicze dla naszej szalupy – jak nić wysnuta i zaczepiona o coś przez pająka. Załadowaliśmy do szalupy kosze z żywnością i sprzętem oraz własne osoby, po czym pociągnięto nas w stronę wyspy.

Jej masywny zarys skrywał jasno świecące słońce, i zbliżając się ku niej, dostrzegliśmy po raz pierwszy, jak osobliwy twór geologiczny stanowi. Cała składała się z miękkiego tufu wulkanicznego, wygładzonego i wyżłobionego przez wiatr i deszcz w fałdy i karby, tak iż wyglądała jak gigantyczna kamienna krynolina, upuszczona na powierzchnię morza i ozdobiona postrzępionym brokatem, układającym się tu i ówdzie w kształt wieżyczek, łuków i przypór, rzeźbionych przez żywioły. Zobaczyłem z przykrością, że jedyną częścią wyspy, która się wydaje mniej więcej płaska, jest blok skalny służący jako przystań. Reszta wznosiła się prostopadle w charakterze niemożliwej do pokonania ściany.

Nie było czasu martwić się o to, co czeka nas na wyspie, nadeszła bowiem ryzykowna chwila opuszczenia łodzi. Sytuacja w niczym nie przypominała ciężkich przeżyć Pike’a w tymże miejscu, lecz mimo iż nikt nie pamiętał równie spokojnego morza, fale o wysokości trzech stóp huśtały szalupą, której dziób trzeszczał i skrzypiał w zetknięciu ze skałą. Wysiadanie nie było trudniejsze niż zejście z konika na biegunach na stołeczek w pokoju dzieciennym, lecz czując, jak owa pozornie łagodna fala napiera na łódkę, człowiek uświadamiał sobie w pełni, co może się

stać z jego kośćmi, jeśli źle postawi stopę i jego noga znajdzie się między burtą a skałami. Zeszliśmy jednak na ląd bez niemiłych przygód, wraz z ekwipunkiem. Pozbierawszy rozmaite kosze i torby, ruszyliśmy za Wahabem i Tonym pod górę między kamiennymi pinaklami o dziwacznych kształtach.

– I co powiesz o tych skałach? – wydyszał Dave. – Widziałeś kiedy coś tak niesamowitego? To jakby Wielki Kanion Krągłej Wyspy.

Nad naszymi głowami zawisł tropikalny ptak o białym ogonie, podobny do krzyża maltańskiego z kości słoniowej, wydając pełne irytacji okrzyki, a Dave przystanął, otarł pot ściekający mu do oczu i odpowiedział czymś, co brzmiało jak stek obelg w tym samym języku. Zaskoczony ptak odpłynął z wiatrem i zniknął.

– Cholera, widziałeś kiedy piękniejsze ptaki? – zadał pytanie Dave.

Nie odpowiedziałem. Obciążony zimnymi napojami w ilości, która mogłaby wypełnić lodówkę, a także aparatami fotograficznymi i lornetkami, nie byłem zdolny do mówienia ani naśladowania jakichkolwiek odgłosów i dziwiło mnie, że Dave to potrafi. Powierzchnia skał wydawała się gładka, ale gdzieś tam pokrywała ją cienka skorupa, złuszczająca się niczym skóra z pleców nadmiernego entuzjasty kąpieli słonecznych, albo warstewka drobnych grudek. W tych miejscach nieostrożne stąpienie wiązało się z poślizgiem, co oznaczało albo zsuniecie się o metr, albo niezdarny i nabierający rozpędu zjazd prosto do morza. Choć minęła dopiero siódma rano, powietrze było ciepłe, wilgotne i lepkie od soli, i pot lał się z nas strumieniami. Z każdym krokiem pod górę ekwipunek wydawał się cięższy, a zbocze bardziej pionowe. Wahab przed nami przystanął i obejrzał się przez ramię, z uśmiechem ocierając pot z brązowej twarzy.

– Już niedaleko! – zawołał. – O, tam jest piknikowe drzewo. Spojrzałem we wskazanym kierunku i wysoko w górze (w miejscu niedosiężnym jak szczyt Everestu) dostrzegłem dziwne, wachlarzowate liście pandanowca, kiwające na nas niczym zielone dłonie. Zdawało się, że upłynął wiek, zanim dotarliśmy do drzewa, wspartego na grubych, przypominających nogi korzeniach. Zatrzymaliśmy się z ulgą w niewielkim kręgu cienia, jaki rzucały jego liście, i wydobyliśmy sprzęt niezbędny do polowania. Tymczasem wokół nas z wszystkich zakamarków, jak gdyby na wezwanie fletu niewidzialnego Szczurołapa z Hameln, wyłoniły się nagle chmary dużych, pulchnych, lśniących ślig o żywych, inteligentnych oczach.

– Patrz! – wychrypiał John, a jego okulary aż zaparowały z emocji. – Popatrz tylko na nie! To telfarie.

– Tak, tak – potwierdził Wahab, uradowany wyraźnym zachwytem Johna. – Są bardzo mało płochliwe. Zawsze uczestniczą w pikniku pod drzewem. Później je nakarmimy.

– Widziałeś kiedy takie cholernie urocze stworzenia? – chciał wiedzieć Dave. – Tylko popatrz na tych sukinsynów. Oswojone jak stado królików.

Śligi były atrakcyjnymi jaszczurkami o masywnych, mocnych ciałach, krótkich kończynach

i długich ogonach. Zbliżyły się do nas wdzięcznymi, ślizgowymi ruchami, wysoko unosząc łebki, i zaczęły się wdrapywać na nasz leżący w stertach ekwipunek. Ich ubarwienie miało stonowany acz miły dla oka odcień szarości lub brązu, lecz gdy promień słońca oświetlił je pod pewnym kątem, gładkie łuski rozkwiły niczym mozaika barwami fioletu, zieleni, szafiru i złota, mieniając się jak plama oleju na powierzchni kałuży. Ta śluga, telfaria, należała do gatunków, po które przybyliśmy tak daleko – i bynajmniej nie okazała się nieuchwytna, przeciwnie: komitet powitalny przeglądał nasz bagaż z dokładnością eleganckich przedstawicieli służby celnej.

Ponieważ jaszczurki wręcz prosiły się o to, by je schwytać, uznaliśmy, że roztropniej będzie skupić się najpierw na dwóch innych gatunkach, które zamierzaliśmy zdobyć. Jednym był gekon Gunthera – według obliczeń, na wyspie pozostało zaledwie pięćset okazów – drugim zaś nieduża śluga, występująca, jak poinformowali nas dla zachęty Tony i Wahab, wyłącznie w najwyższych partiach Kragłej Wyspy. Tony zasugerował, że lepiej będzie poszukać w pierwszej kolejności gekona, gdyż gatunek ten zamieszkuje palmy, rosnące z rzadka na zachodnich zboczach, dokąd nie dotarł jeszcze w pełni słoneczny żar.

Zanim ruszyliśmy w drogę, Wahab zamaszystym gestem postawił przed nami torbę ze słomkowymi kapeluszami dla wszystkich. Większość z nich miała szerokie rondo, i te przeznaczył dla nas jako gości. W rezultacie dla niego pozostał tylko wytworny, okrągły kapelusik jego żony z amarantowej i białej słomki, z różowymi wstążkami do zawiązywania pod brodą. Wahab z całkowitą powagą ozdobił sobie nim głowę i był nieco zaskoczony, słysząc nasz śmiech.

– Słońce bardzo mocno praży – tłumaczył – i kapelusz jest potrzebny.

– Wyglądasz przepięknie, Wahab – zapewniła Ann. – Nie zwracaj na nich uwagi. Po prostu ci zazdroszczą, bo nie są tacy przystojni jak ty.

Udobruchany w ten sposób Wahab obdarzył nas promiennym uśmiechem i do końca dnia uparcie nosił swe groteskowe nakrycie głowy.

Ponieważ przybiliśmy do brzegu po wschodniej stronie wyspy, ruszyliśmy teraz skalnym zboczem ku północnemu krańcowi, wśród rozproszonych palm i kęp pandanowców, rosnących tu i ówdzie na jałowych stokach. Oprócz gładkich, podłużnych fałd i krawędzi, zimowe deszcze i ostatni cyklon (obdarzony subtelnym i nieodpowiednim imieniem Gervaise) wyżłobiły w miękkim tufie, od górnych partii zboczy aż do morza, długie, głębokie bruzdy, którymi toczyły się w dół lawiny złożone z okazałych kamieni i resztek gleby. Część tych jarów miała dziesięć do piętnastu stóp głębokości i od czterdziestu do pięćdziesięciu szerokości. Dysząc i pocąc się w drodze przez rozpaloną skałę, myślałem z goryczą, że ten księżycowy krajobraz jest w dużej mierze skutkiem ingerencji człowieka.

Przeszliśmy nie więcej niż sto jardów, rozstawieni tyralierą, spoglądając z nadzieją na każdą

palnę, gdy Wahab oznajmił śpiewnie, że znalazł gekona. Z wysiłkiem zaczęliśmy się wdrapywać po gorących kamieniach, deptając drobną, przypominającą nieco powój roślinę, która tworzyła tu i ówdzie dywaniki upstrzone liliowymi i różowymi kwiatkami i podejmowała – na przekór królikom – mężną, choć beznadziejną próbę uchronienia gleby przed naporem deszczu i wichury. Gdy stanęliśmy obok Wahaba, wskazał nam górną część pnia pandanowca. Otarłszy pot z czoła, uniosłem głowę i wreszcie zobaczyłem jaszczurkę, przypłaszczoną i z rozpostartymi łapkami, o czekoladowej skórze poznaczonej szarymi plamkami, przez co wyglądała jak kawałek przebarwionej kory. Jak na gekona, był to duży okaz, długości około ośmiu cali, o wielkich złotych oczach i blaszkowatych zgrubieniach na końcach palców; przyłgi te pozwalały mu wędrować jak mucha po gładkiej powierzchni. Przywarł do niej, przekonany, że kamuflaż zapewnia mu bezpieczeństwo, i przyglądał się nam spokojnie ogromnymi złotymi oczyma w brunatne cętki, a pionowe źrenice w dziwny sposób upodabniały go do kota.

– No i co ty na to? – wydyszał Dave. – Widziałeś kiedy tak cholernie dużego gekona? Co za wspaniały okaz!

Po krótkiej wymianie zdań doszliśmy do wniosku, że zaszczyt rozpoczęcia łowów powinien przypaść w udziale Dave'owi. Dave znalazł pewne oparcie dla stóp, a następnie wysunął naprzód bambusowy kij, z którego zwisała nylonowa pętla, migocząc jak rybia łuska w blasku słońca. Modliłem się w duchu, żeby ten błysk nie spłoszył jaszczurki; gekon jednak trwał w bezruchu, mierząc nas życzliwym spojrzeniem. Dave przesunął pętlę cal po calu, my zaś wstrzymywaliśmy oddech. Wreszcie zawisła tuż przed nosem gekona. Była to przełomowa chwila, ponieważ należało teraz, nie niepokojąc stworzenia, przewlec pętlę przez jego głowę, a potem mocno zacisnąć na grubej szyi. Powoli, ledwie dostrzegalnymi ruchami, Dave obniżył pętlę, tak iż niemal musnęła nos gekona – i wówczas jaszczurka uniosła łebek, spoglądając z zaciekawieniem na żyłkę. Zamarliśmy wszyscy. Po kilku sekundach Dave milimetr po milimetrze przeciągnął pętlę przez głowę gekona, tak delikatnie, jakby dotykał pajęczyny. Nabrał tchu i jednym ruchem zacisnął żyłkę na szyi stworzenia. Gekon przywarł mocniej do gałęzi, tak iż sprawiał wrażenie przyklejonego do niej, po czym – nie rozluźniając kurczowego chwytu – zakołysał głową na boki, usiłując pozbyć się nylonu. Problem polegał teraz na tym, by pochwycić jaszczurkę, zanim zacznie się zbyt gwałtownie miotać i nylonowa żyłka uszkodzi jej delikatną skórę. Tu właśnie przydał nam się John i jego metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Szybko złapał gałąź z pierzastymi liśćmi i przygiął ją ku dołowi, drugą ręką zaś sięgnął po gekona i schwycił go mocno.

– Mam go! – zawołał tryumfalnie, głosem piskliwym i drżącym z emocji.

Ostrożnie zdjęliśmy pętlę z miękkiej, aksamitnej szyi jaszczurki i umieściliśmy stworzenie w płóciennym worku. Ruszyliśmy dalej i wkrótce okazało się, że gekony Gunthera są znacznie liczniejsze, niż byliśmy skłonni przypuszczać, choć ta część wyspy, stosunkowo gęsto

zadrzewiona, stanowiła niewątpliwie ich ulubione schronienie, zapewniające cień i pokarm – przynajmniej w takiej mierze, w jakiej umożliwiały to spartańskie warunki Kragłej Wyspy. Przez godzinę szliśmy ostrożnie zniszczonymi stokami, przekraczając szczeliny, ze świadomością, że niebaczne stąpienie może strącić z urwiska kamienie, które potoczą się z łoskotem, porywając ze sobą lawinę suchego tufu. Co chwila umykały nam spod nóg kolorowe króliki i napotykalismy liczne oznaki ich niszczycielskiej obecności: oskubane powojowate pnącza; niskie, młodziutkie palmy z odgryzionymi czubkami; nory wygrzebane w zboczu, powodujące daleko posuniętą erozję.

Przemierzyliśmy mniej więcej jedną czwartą obwodu wyspy. Słońce, początkowo ukryte, wzniosło się teraz ponad masyw ładu. Człowiek miał uczucie, że stoi przed raptownie otwartymi drzwiczkami piekarnika. Wilgotne powietrze wydawało się gęste jak przesolona zupa. Marsjański krajobraz migotał w upalnej mgiełce, jak gdyby znajdował się pod wodą.

Z zainteresowaniem obserwowałem moich towarzyszy. Ann oddaliła się dokądś na własną rękę, stanowiliśmy zatem ściśle męską grupę. Wahab w swym absurdalnym nakryciu głowy wpatrywał się gorliwie w wierzchołki palm, nucąc pod nosem i co pewien czas wyjmując z kieszeni papierową torebkę z lepкими cukierkami, którymi wszystkich częstował. John, wysoki i kościsty, w okularach nieustannie na granicy całkowitego zaparowania, drżał z przejęcia, nie chcąc zmarnować ani chwili spędzonej w tym herpetologicznym raj, o którym od tak dawna marzył i mówił. Ożywiony i pełen entuzjazmu Dave o tubalnym głosie, musujący niczym szampan w kieliszku, szafował superlatywami jak w reklamie hollywoodzkiego filmu, urozmaiconej dodatkowo zwierzęcymi odgłosami w ilości większej niż wymaga tego najlepsze wykonanie piosenki o starym MacDonalddie i jego farmie. No, a Tony w spłowiałej zielonej koszuli i spodniach khaki, niewątpliwie najspokojniejszy z nas i najlepiej zorganizowany, wtapiał się w pejzaż jak kameleon i na każde pytanie odpowiadał serią przejrzystych informacji. Wydawało się, że w dowolnej chwili potrafi wydobyć z miniaturowego koszyka wszystko, od gorącej herbaty po kanapki z dżemem i od zimnego ryżu curry po sok wyciśnięty z pomarańczy. Te magiczne sztuczki bardzo mi zaimponowały i miałem wrażenie, że gdyby go poprosić, Tony wyjąłby z koszyka stół, świeczniki, obrus, serwetki i smokingi, abyśmy mogli zasiąść do posiłku na posępnych zboczach Kragłej Wyspy i spożyć go w sposób zgodny z tradycją, której – jak zapewnia nas swoista mitologia – przestrzegają w tropikach Anglii.

W ciągu dwóch godzin mieliśmy już tyle gekonów, ile pozwolono nam schwytać, usiedliśmy zatem, prażąc się w splechietku cienia rzucanego przez kępę karłowatych palm. John zdołał odkryć u siebie szesnaście nowych stawów i skulił się na przestrzeni, która byłaby zbyt ciasna dla pekińczyka. Wahab, owinięty wokół pnia, rozdawał kleiste słodczy, wywołujące natychmiastowe pragnienie. Tony przykucnął na spowitym pnączami kawałku skały, całkowicie wtopiony w tło, wylaniając się od czasu do czasu w niepokojący sposób, niczym kot z Cheshire,

aby zaproponować nam oranżadę albo chleb z dżemem. Dave leżał rozciągnięty między trzema rzucanymi przez liście skrawkami cienia o rozmiarach talerzy do zupy i wiódł długą, ciętą wymianę zdań z tropikalnymi ptakami o wąskich ogonach, spiczastych skrzydłach i ostrych dziobach, krążącymi i pikującymi nad nami niby jakaś zwariowana konstelacja spadających gwiazd; wydawały przy tym przenikliwe, kwilące odgłosy. Wahab pokazał nam, że jeśli zamacha się czymś białym – chusteczką, workiem albo koszulą – ptaki gwałtownie zniżają lot. Rozrywka ta, połączona z niekończącym się strumieniem dowcipnych wykrzykników Dave'a, ściągnęła wkrótce ze dwadzieścia lub trzydzieści ptaków, które krążyły, pikowały i nawoływały się nad naszymi głowami, bielejąc na tle nieba jak morska piana.

– A teraz? – spytał John, znów drżąc z podniecenia po krótkim odpoczynku. – Co robimy teraz?

– No cóż – zaczął Tony, wyłaniając się z tła – jeżeli chcesz... no wiesz, złapać kilka tych mniejszych... mniejszych ślig, to one najczęściej występują w najwyższych partiach wyspy, więc powinniśmy wejść tam, na samą górę. – I wskazał kciukiem w tył.

Myślałem, że żartuje. Zbocze, po którym szliśmy, było tak strome, iż człowiek zaczynał nabierać przekonania, że byłby szczęśliwszy, gdyby miał jedną nogę o metr dłuższą niż druga; za nami jednak wznosiło się coś urwistego, nieprzyjaznego i groźnego niczym Jungfrau podczas fali upałów, pozbawionego – wedle wszelkich oznak – jakiegokolwiek oparcia dla dłoni i stóp.

– Zaczynałem cię lubić, Tony – powiedziałem – ale naprawdę musisz spróbować nieco powściągnąć to swoje makabryczne poczucie humoru. Gdyby ktoś, na przykład taki jak ja młodziwiec atletycznej postury, potraktował poważnie twą krotochwilną uwagę, mógłby na miejscu doznać ataku serca.

– Ja nie żartuję – zapewnił Tony. – To najlepsza droga na szczyt i wcale nietrudna, jeśli się idzie zakosami.

– Zakosami – powtórzył Dave. – Co za cholerne bzdury nam tu opowiadasz? Żeby przejść tamtędy zakosami, trzeba być kozicą z przyssawkami na kopytach.

– Zaręczam wam, że to nie takie straszne, jak się wydaje – nie ustępował Tony.

– Zapomnieliśmy aparatów tlenowych – powiedział Wahab. – Dobrze będzie wstrzymać oddech, dopóki nie znajdziemy się na szczycie.

– Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle się z wami zadaję – oznajmiłem. – A przede wszystkim nie mam pojęcia, jak mogłem być takim idiotą, żeby tu przyjechać.

– Nie chciałbyś chyba, żeby cię to ominęło? – spytał z niedowierzaniem John, jak gdyby moje słowa były bluźnierstwem.

– Nie – przyznałem, dźwigając się na nogi i podnosząc aparat. – Zapewne bym nie chciał. Jestem chodzącą ilustracją powiedzenia: „Stary, a głupi”.

Ruszyliśmy zygzakiem w górę urwiska. Musieliśmy, acz niechętnie, zgodzić się Tonym: to,

co z dołu wyglądało na niedostępne, okazało się w miarę osiągalne, gdy pełzliśmy zakosami jak pijane stonogi. Od czasu do czasu podskakiwaliśmy nerwowo, słysząc donośne, wojownicze wrzaski, godne czarownicy i dobiegające jakby z wnętrza ziemi. Wydawały je siedzące w norach pod blokami lawy tropikalne ptaki o czerwonych ogonach, aby nas odstraszyć. Były wielkości małych mew, miały łebki podobne do rybołówek, duże łagodne oczy i karminowe dzioby. Upierzenie głów, piersi i nasady skrzydeł mieniło się delikatnym, połyskliwym odcieniem bladego różu, jak gdyby musnął je pędzel zanurzony w jakiejś niezemskiej farbie. Stwierdziwszy, że ich obłąkańcze krzyki nie zdołały odstraszyć wroga, ptaki gapily się tylko na nas, siedząc w swoich gniazdach. Właśnie ten idiotyczny zwyczaj trwania w bezruchu i godzenia się z losem jest główną przyczyną ich masakry, gdyż stanowią łatwą zdobycz dla rybaków, którzy polują na nie i wywożą swe trofea na Mauritius, gdzie sprzedają je chińskim restauracjom.

Szczyt wydawał się nieosiągalny. Ilekroć wspieliśmy się na jakąś grań z nadzieją, że to już koniec, wyrastała przed nami kolejna skalna ściana. Wreszcie znaleźliśmy się na płaskowyżu pokrytym kamiennymi blokami i które robiły wrażenie zrzuconych na chybił trafił z niebios. Było tam znacznie goręcej niż na zboczu, gdyż wśród skał rosły tylko rzadkie splechetki pnączy i nigdzie nie dało się dostrzec ani jednego, nawet bardzo wątego pandanowca, który by dawał cień. Zamiast gekonów występowały na tym terenie małe śligi, mierzące około czterech i pół cala, z długimi ogonami, spiczastymi łebkami i tak krótkimi odnóżami, że stworzenia przypominały węże. Przemykały niczym krople rtęci, tak szybko, że oko nie mogło za nimi nadążyć – podobnie jak to bywa z ruchami skrzydeł kolibra.

– No, popatrz! No, tylko na nie popatrz! – dyszał Dave. – Widziałeś kiedy takie maleństwa? Widziałeś takie urocze małe gnojki?

Bystrookie śligi, płynne i żwawe jak krople deszczu na szybie, śmigwały nieustannie wokół nas, nieświadome pochwał, którymi je tak szczerze obdarzano. Ich gładkie, lśniące łuski o bladozielonym i kawowym odcieniu, błyszczały w słońcu; a same jaszczurki nieustępliwie szukały pożywienia, staczając jedynie od czasu do czasu pozorowane walki, gdy skrzyżowały się ich ścieżki. Dave otarł ręce o spodnie, mocno ścisnął kij z pętłą do chwytania jaszczurek i zbliżył się do sporej, krzepkiej śligi, która badała skalne szczeliny ze skrupulatnością pracownika Scotland Yardu, poszukującego handlarzy narkotyków w śródmiejskiej kamienicy. Każdy komendant policji udzieliłby pochwały tak sprawnemu i obowiązkowemu podwładnemu. Sliga zupełnie nie zwracała uwagi na pochylającego się nad nią Dave'a.

– No chodź do mnie, maleńki – wabił Dave, kołysząc wyczekująco pętłą. – No chodź.

Błysk nylonowej żyłki, zwisającej tuż przed nosem stworzenia, przyciągnął uwagę jaszczurki. Przystanęła i uniosła łebek, a wówczas Dave zręcznie zadzierzgnął jej pętłę na szyi i poderwał wędkę. Równie dobrze mógłby próbować złowić tęczę. Nylon ześliznął się

z gładkich, jak gdyby wypolerowanych łusek, a ciężar jaszczurki pozwolił jej bez trudu wysunąć głowę. Krótki lot i upadek z wysokości mniej więcej sześciu cali ani trochę nie spieszył śligi. Oblizwała się z namysłem i podjęła polowanie na owady, jakby nic się nie stało. Jeszcze dwukrotnie jej tułów wyslizgiwał się z pętli niby naoliwiony.

– Niech to szlag trafi, te małe gnojki są śliskie jak poleć słoniny – oznajmił Dave, ocierając twarz. – Widzieliście kiedy takie zwinne bestie? I ten gnojek wcale się nie boi. Prawda, ty mały skurczybyku? No to jak będzie? Pozwolisz, żeby Dave cię złapał, czy nie?

Wezwana tymi słowy jaszczurka przystanęła, oblizwała się, ziewnęła Dave'owi prosto w nos, po czym wznowiła szybki i pełen zapału pościg za sześcionożnymi artykułami spożywczymi. Dave podjął cztery kolejne nieudane próby schwytania stworzenia. Co zabawne, ślīga wydawała się zupełnie nieświadoma faktu, iż co chwila odbywa krótki lot; za każdym razem gdy wysuwała się z pętli i z głuchym odgłosem lądowała na ziemi, na nowo podejmowała łowy z niezmałym spokojem i entuzjazmem.

W końcu, ponieważ stało się oczywiste, że w przypadku tak nieuchwytnych okazów pętla na nic się nie zda, John złapał jaszczurkę ręką. Stwierdziliśmy zgodnie, że jest to najlepsza (choć zarazem najbardziej wyczerpująca) metoda. Zastosowaliśmy ją zatem w dalszym ciągu polowania; lecz w pewnej chwili uświadomiłem sobie, że na szczycie prawie w ogóle nie ma cienia. Nie rosły tam żadne drzewa i zacienione miejsca można było znaleźć tylko pod rumowiskami skalnymi. Teraz jednak zbliżało się południe i słońce stało niemal w zenicie, więc skały niemal nie rzucały cienia. Zacząłem się niepokoić o gekony siedzące w workach łowieckich, i ustaliliśmy, że wrócę pod drzewo piknikowe, które powinno dostarczyć cienia cennym okazom, a moi towarzysze będą kontynuowali polowanie. Oddaliłem się zatem, osłaniając własnym ciałem płócienne worki, reszta grupy zaś przemierzała niczym sfora psów gończych rozgrzany, suchy płaskowyż, nawołując do siebie nawzajem: „Patrz! Śmignęła tam!”, „Szybko! Szybko! Zajdź ją od drugiej strony!”, oraz: „Diabli nadali, przecież nie podniosę tej cholernej skały!”.

Kroczyłem ostrożnie między rozrzuconymi głazami, aż wreszcie dotarłem do miejsca, które – wedle mego rozeznania – znajdowało się mniej więcej na wysokości piknikowego drzewa. Podeszedłem do urwiska i rozejrzałem się za „Doradę” jako punktem orientacyjnym. Podczas gdy my, niepoprawni idioci, opuściliśmy bezpieczną łódź, żeby uganiać się w upale za stadami jaszczurek, towarzystwo w strojach godnych królewskich regat postąpiło zupełnie inaczej, odwiedzając oddaloną o pół mili rafę i oddając się rozrywkom, takim jak pływanie i łowienie ryb w chłodnej wodzie. Spoglądając z góry na morze, dostrzegłem biały i schludny statek „Doradę”, który wydawał się nie większy od pudełka zapalek i zmierzał ku przystani. Zszedłem kawałek niżej i natrafiłem na młodą palmę, która dawała coś zbliżonego do cienia. Przycupnąłem pod nią, chroniąc cenny ładunek i obserwując „Doradę”, aby określić własne położenie, gdy statek rzuci

kotwicę. Z najwyższych partii wyspy cała okolica wyglądała zupełnie inaczej i nigdzie nie widziałem piknikowego drzewa. Ponieważ w tym straszliwym upale nie zamierzałem wędrować dalej niż to konieczne, pomyślałem, że zaczekam, aż „Doradę” wskaże mi kierunek. Po chwili statek wypłynął z ciemnoniebieskich i fioletowych głębin na jasnobłękitne i seledynowe przybrzeżne wody i dobiegł mnie z oddali grzechot kotwicy przesuwającej się po deskach pokładu. Otarłem twarz, zarzuciłem aparat fotograficzny na ramię, podniosłem worki z gekonami i ruszyłem w dół ku morzu.

Przekonałem się niebawem, że osiągnięcie celu będzie dla mnie równie trudne, jak poruszanie się naprzód dla Alicji w ogrodzie po drugiej stronie lustra. Zazwyczaj łatwiej jest dostrzec cel wędrowki z punktu obserwacyjnego położonego wyżej niż ów cel, ale na Krągłej Wyspie sprawy wyglądały inaczej. Jak już napomknąłem, wyspa przypomina kamienną kryolinę, upuszczoną na powierzchnię morza, i z fałdy, na której się stoi, nie można zobaczyć reszty. Dwukrotnie straciłem z oczu statek i trzy razy musiałem zawracać albo zbaczać z drogi, natrafiwszy na nagie bloki skalne, które rozsądek nakazywał ominąć, jeśli nie chciałem złamać nogi. Wtem dostrzegłem daleko w dole coś czerwonego. Był to ręcznik, którym okryłem zapasowy film i żywność, aby zapewnić im pod drzewem nieco więcej cienia. Ten ręcznik stał się teraz dla mnie punktem orientacyjnym.

Posuwałem się naprzód hałaśliwie i niezdarnie, z oczyma utkwionymi w czerwonej plamce. Ponownie odpocząłem pod kępą pandanowców, których postrzępione liście bębniły nerwowo o siebie nawzajem i szumiały w nagłych podmuchach gorącego morskiego wiatru. Ostrożnie obmacałem gekony w workach, aby się upewnić, że wędrowka im nie zaszkodziła. Mocne uszczypnięcie, które zaaplikował mi jeden z nich, dowiodło, że mają się znacznie lepiej niż ja. Pociłem się obficie i czułem, że jeśli utracę następny kubek wody, zmienię się w sucharek i rozsypię na okruchy, które zmiecie wiatr. Podtrzymywała mnie jedynie myśl o lodowatym napoju, czekającym pod piknikowym drzewem.

Posępnie zarzuciłem swój ciężar na ramię i powlokłem się dalej. Po chwili dotarłem do rozległego, niemal nagiego urwiska, którego górne partie porastało skąpo pnące podobne do powoju, upstrzone blad różowymi kwiatkami. Aby zejść jarem w niższe rejony, musiałem przebyć ów niebezpieczny blok skalny – i biorąc pod uwagę fakt, że może być śliski, postanowiłem trzymać się roślinnego dywanu. Ruszyłem powoli, krok za krokiem, usiłując znaleźć oparcie dla stóp. Kiedy gratulowałem sobie alpinistycznych umiejętności, moja noga zaplątała się w naturalną pętlę, utworzoną przez pnące, potknąłem się i runąłem ciężko na plecy. Aparat fotograficzny potoczył się w dół, koziołkując wesoło, a ja uniosłem worek z jaszczurkami, żeby ich przynajmniej nie przygnieść.

Grzmotnąłem o skałę z taką siłą, że usłyszałem, jak cały mój kręgosłup wygrywa pośpieszną melodię w rytmie, jaki osiąga się zazwyczaj, potrząsając marakasami. Wylądowałem na nagiej

skale, a ponieważ nie miałem się czego uchwycić, zacząłem sunąć w dół, nabierając szybkości i gromadząc pod sobą kawałki tufu i niebywale ostre odłamki lawy. Coraz większy rozpad sprawił, że moje ciało zaczęło się obracać, i w pewnej chwili uświadomiłem sobie, iż zaraz przekręcę się na brzuch. Pomyślałem z przerażeniem, że mogę niechcący przycisnąć całym swym ciężarem worek z jaszczurkami, który wciąż dzierżyłem w kurczowym uścisku. Nie śmiałem go puścić, gdyż prawdopodobnie nie dałbym rady wspiąć się po niego z powrotem po tym nieprzyjaznym bloku skalnym.

Pozostało mi tylko jedno wyjście: musiałem użyć łokci jako hamulców. Tak też uczyniłem – i przekonałem się z pewnym zadowoleniem, że moje cierpienie nie poszło na marne. Utrzymałem się na plecach i zdartych do krwi łokciach, a przy tym zwolniłem nieco tempo spadania i w końcu nawet się zatrzymałem. Przez chwilę leżałem nieruchomo, napawając się całą gamą doznań, jakich dostarczały moje obrażenia, a potem w ramach eksperymentu poruszyłem tym i owym, sprawdzając, czy coś sobie złamałem. Ku memu zdumieniu okazało się, że kości mam całe, a obfitość krwi lejącej się z mojego prawego ramienia jest zupełnie niewspółmierna do rozmiarów doznanych ran. Z bolesnym wysiłkiem popęzłem w poprzek skalnej ściany, zabrałem upuszczony aparat fotograficzny – który nie ucierpiał wskutek upadku – i dobrnąłem do jaru oferującego łatwiejsze zejście. Usiadłem pod pierwszą napotkaną kępą palm, upewniłem się, że ani gekony, ani aparat nie poniosły żadnego uszczerbku, i otarłem krew z łokci. Potem wstałem i zacząłem wypatrywać mego czerwonego punktu orientacyjnego, tuż ponad morzem.

I czerwony ręcznik, i morze po prostu zniknęły.

Zniknął także okręt „Dorada”, a widok roztaczający się w dole w niczym nie przypominał żadnego z krajobrazów, które oglądałem bądź przemierzałem tego dnia. Czułem się – łagodnie rzecz ujmując – zirytowany rozwojem sytuacji: byłem zgrzany, wyczerpany, spragniony i obolały, a najbardziej dokuczała mi głowa. Równie dobrze mogłem znajdować się na bezdrożach Australii, pięćdziesiąt mil na północ od Lhasy albo na jednym z nieprzyjaznych księżycowych kraterów. Wygłosivszy na temat idiotycznego upadku nieparlamentarną uwagę pod własnym adresem, ruszyłem jarem w dół, we właściwym – jak miałem nadzieję – kierunku. Obszar wydawał się całkowicie pozbawiony palm i w końcu musiałem przycupnąć w skąym cieniu, rzucanym przez wybrzuszenia w ścianach wąwozu. Po krótkim odpoczynku udałem się posepnie w dalszą drogę i niebawem, ku mej radości, usłyszałem ludzkie głosy oraz najrozmaitsze morskie dźwięki świadczące, iż zbliżam się do przystani. Nie zdawałem sobie sprawy, jak blisko dotarłem, dopóki po okrążeniu skalnego rumowiska nie znalazłem się niemal na samym wybrzeżu. Wysoko nad moją głową znajdowało się piknikowe drzewo i czerwony ręcznik. Źle oceniłem drogę – i skutek był taki, że mniej więcej dwieście pięćdziesiąt stóp urwiska dzieliło mnie od cienia, chłodnych napojów i maści na me rozliczne urazy.

Najgorsza była końcówka. Dzwoniło mi w uszach, bolała mnie głowa i musiałem często odpoczywać. Wreszcie wpelzłem na ostatni blok skalny i padłem w postrzępionym cieniu piknikowego drzewa. Po kilku minutach pojawił się Dave, który – co stwierdziłem z uciechą – wyglądał równie kiepsko, jak ja się czułem. Gdy odzyskałem głos, spytałem Dave'a, jak mu poszło, on zaś wyznał, że kilka razy omdlał z powodu upału. Istotnie był blady i potargany. Zaraz też uraczył mnie sprawozdaniem ze swych przygód. Najgorsza chwila nadeszła, gdy John Hartley, natknąwszy się na leżącego Dave'a, podjął próbę postawienia go na nogi – lecz zaraz się oddalił, zwabiony widokiem dorodnej śligi i licznych gekonów siedzących blisko siebie. Schwycił je, a następnie – nie mając dla nich odpowiedniego worka – szybko i bez skrupułów zawładnął koszulką oraz chusteczką Dave'a, po czym tryumfalnie ruszył w dalszą drogę, pozostawiając towarzysza podróży na łasce losu. Dave uznał, że wyklucza to Johna z kręgu osób mogących się ubiegać o miano dobrego samarytanina.

– Po prostu mnie tam zostawił – zwierzał się ochryple Dave. – Zwiął, a ja zostałem jak ostatnia łajza i czułem się głupiej niż knur, któremu nagle wyrosły cycki. Mówię ci, to było nieludzkie. Potrafisz, na miłość boską, zrozumieć faceta, który skazuje bliźniego na śmierć, żeby złapać gekona?

Nadal snuł barwną opowieść o swoich przeżyciach, przeplatając ją odgłosami przedśmiertnego rżenia, ptasimi nawoływaniem i szyderczymi piskami gruboskórnych jaszczurek, gdy pod piknikowe drzewo przywlekli się pozostali członkowie grupy. Prezentowali rozmaite stadia wyczerpania – wszyscy z wyjątkiem Tony'ego, który wydawał się jeszcze spokojniejszy i schłodniejszy niż na początku wyprawy. Gdy inni lali nurka w cień i rzucili się na chłodne napoje, Tony przykucnął w pełnym słońcu i kilkoma magicznymi gestami wyczarował znikąd filiżankę parującej herbaty oraz kilka kleistych, lecz niewątpliwie pożywnych kanapek z ostrą pastą.

Kiedy odżyliśmy nieco, przystąpiliśmy do wykonywania ostatniego zadania: odłowu telfarii, które otaczały nas tak liczną gromadą, że należało uważać, gdzie się siada i gdzie stawia się jedzenie. Kanapka z masłem fistaszkowym, którą Dave, pijąc, nieopatrznie położył na kamieniu obok siebie, padła łupem dwóch okazałych ślig, które pokłóciły się o nią niczym zawodnicy walczący o piłkę – i zanim Dave zdążył sięgnąć po swój posiłek, stoczyły się ze zbocza w wirującym kłębku. Inna duża telfaria porwała skórkę od banana i oddaliła się pośpiesznie skalną granią, z uniesionym wysoko łebkiem, niczym chorąży dźwigający sztandar i wiodący za sobą pełną zapалу drużynę. Dotarła do pobliskiej kępy karłowatych palm, nie wypuszczając łupu z pyszczka; lecz pół godziny później, gdy opuszczaliśmy wyspę, kwestia własności nadal stanowiła przedmiot ożywionej dyskusji.

Jaszczurki zachowywały się jak oswojone zwierzęta i mogliśmy po prostu wyłapywać upatrzone okazy, nie wstając z miejsc – zarzucaliśmy im pętle na szyje w chwili, gdy badały

nasze termosy, kanapki albo butelki coca-coli. Chwilami gromadziły się wokół nas tak licznie, że przez pomyłkę chwytałyśmy niewłaściwy okaz (na przykład samca zamiast samicy). Uwalnialiśmy wówczas stworzenie, które – powodowane oburzeniem – kąsało nas gwałtownie i boleśnie, po czym, jak gdyby nigdy nic, kontynuowało rewizję naszego bagażu.

Odłowiliśmy wreszcie wyznaczoną liczbę owych uroczych, łagodnych gadów i zaczęliśmy się zbierać do odjazdu. Byliśmy zmęczeni, wszystko nas bolało, a skórę mieliśmy całą w bąblach od oparzeń słonecznych, ale niczego nie żalowaliśmy. Nie zobaczyliśmy wprawdzie żadnego z dwóch gatunków węży (co nas nie dziwiło, zważywszy ich ograniczoną liczbę) ani nie schwytaliśmy gekona prowadzącego ściśle nocny tryb życia, lecz za to nasze worki łowieckie pękały w szwach od gekonów Gunthera, małych i gładkich wyżynnych ślig oraz telfarii. Byliśmy bardzo zadowoleni.

Wyłączyliśmy na błękitne, lekko rozkołysane morze, zostawiając za sobą Kragłą Wyspę, lśniąca w promieniach zachodzącego słońca. Wydawała się jeszcze bardziej jałowa i niegościnna niż przedtem, teraz jednak potrafiliśmy dostrzec kępy palm i strome wąwozy, mające rozkoszny cień; spłachetki zwietrzałego tufu, w których zakładała gniazda ptaki o czerwonych ogonach; upstrzone gekonami frędzle palmowych liści oraz nagie, rozpalone skały, wieńczące wyspę i rojące się od szybkich, połyskliwych, małych jaszczurek. Wiedzieliśmy, że gromada wytwornych, pełnych zapachu telfarii wyłania komitet powitalny pod drzewem piknikowym, oczekując niecierpliwie kolejnej ludzkiej wizyty. Ta wyspa nie była już dla nas jednym z wielu odprysków jałowej wulkanicznej zwietrzliny, spalonej słońcem, spłukanej przez morskie fale i uformowanej przez wiatr, lecz czymś równie żywym, ruchliwym i interesującym, jak ludzkie osiedle, czymś zamieszkanym przez miłe i bezbronne istoty, gotowe przyjąć każdego na swej rozpalonej i niegościnniej ziemi.

Morze było spokojne, a niebo bezchmurne i wzdłuż horyzontu rozciągała się połyskliwa, złocista smuga, przybierająca zielonkawy odcień, w miarę jak słońce opadało coraz niżej. Prawie cała nasza grupa spała. Wahab, który zjadł ananasa, ogórka i trochę zimnego curry, szybko się pochorował i dziwnie zszarzał na twarzy (co wywołało falę rasistowskich dowcipów), po czym zwinął się w kłębek jak kot i usnął.

Wróciliśmy długą i wyboistą drogą do Black River, złożyliśmy worki z cenną zdobyczą na chłodnej posadzce pokoju gościnnego Dave'a i poszliśmy spać. Nazajutrz rano obejrzelśmy zdobycz i stwierdziliśmy z ulgą, że żaden z okazów nie ucierpiał wskutek uwięzienia. Jedwabiste gekony wkroczyły nonszalancko do klatek, robiąc groźne miny, które przywodziły na myśl wyraz twarzy Churchilla. Małe śligi smyknęły żwawo do swej nowej kryjówki, czujne i szybkie niczym akwizytorzy, którzy zdobyli najwyższą premię od firmy. Telfarie były bardzo zaintrygowane nowym domem – bogato wyposażoną ptaszarnią. Wypuściliśmy je z worków, by obejrzały wszystkie zakamarki. Już po pięciu minutach wiedzieliśmy, że nowa siedziba

przypadła im do gustu. Przybiegły do nas i wspięły się nam na kolana, zupełnie jakby wychowały się w niewoli, ufnie i przymilnie przyjmując z naszych rąk tłuste, czarne karaluchy i kawałki bananów.

IV

Owocny lot

Wahab zatrzymał samochód przed sklepikiem, którego właściciel wraz z całą rodziną – od babci po najmłodszego potomka – zajęty był przyrządzaniem placków z nadzieniem z przyprawionej soczewicy przy świetle migotliwych, żółtych lampek oliwnych. Zakupiliśmy spory zapas owych przysmaków, po czym pojechaliśmy za miasto, ku chłodnemu, skąpanemu w księżycowej poświacie zboczu wzgórza, nad którym zawisło niebo ciężkie od gwiazd. Usiedliśmy tam, zajadając placki i omawiając najbliższą wyprawę na sąsiednią wyspę Rodrigues w celu schwywania nietoperzy.

– Oczywiście, musicie wziąć ze sobą owoce – powiedział Wahab, pedantycznie wycierając palce w chusteczkę.

– Owoce? A po jakie lichy? – spytałem, mając usta pełne smakowitego placka. Targanie owoców na tropikalną wyspę wydało mi się maskareńskim odpowiednikiem wożenia węgla do Newcastle.

– No bo wiesz – zaczął Wahab – uprawia się tam bardzo niewiele owoców, a poza tym sezon właśnie się kończy.

– Chyba tak – przyznałem ze smutkiem.

– Czy to nie sprawi kłopotu? – zaniepokoił John. – Myślę o przewozie owoców w małym samolocie.

– Nie, nie – zapewnił Wahab. – Trzeba je po prostu zapakować jako dodatkowy bagaż. Żaden problem.

– Powinniśmy zabrać dojrzałe, na pół dojrzałe i zielone, tak jak przy transportowaniu zwierząt drogą morską – zasugerowałem.

– Owszem – zgodził się Wahab – a ja spróbuję wyszukać dla was dzaka.

– Co to jest dzak? – zapytała Ann.

– To taki duży owoc, za którym nietoperze przepadają – odparł Wahab. – Wydziela bardzo silną woń i wyczuwają ją z daleka.

– Czy jest smaczny? – zapytałem.

– O, tak – odrzekł i dodał przezornie: – Jeśli ktoś lubi takie rzeczy.

Zanim nasza wyprawa na wyspę Rodrigues dobiegła końca, zdążyłem dojść do wniosku, że ten tropikalny przysmak raczej nie odniesie sukcesu na arenie kulinarnej; w owej chwili jednak widziałem oczyma duszy wyłącznie stado nietoperzy, wlatujące nam prosto w ramiona po pierwszym tchnieniu rozkosznego aromatu.

Dwa następne dni upłynęły na sprawdzaniu siatek i reszty sprzętu, uzupełnianiu wiedzy o wyspie Rodrigues oraz – ilekroć mieliśmy wolną chwilę – nurkowaniu w okolicach rafy

i oglądaniu wielobarwnego, zmieniającego się nieustannie obrazu podmorskiego życia. Doszły nas słuchy, że Wahab ma trudności ze zdobyciem owocu dżaka i że na wyspie Rodrigues po raz pierwszy od ośmiu lat spadł deszcz. Żadna z tych pogłosek nie wydawała się szczególnie istotna, a jednak – choć o tym nie wiedzieliśmy – obie wywarły wpływ na nasze plany. Dwa dni przed odlotem na wyspę zadzwonił Wahab. Poinformował nas, że wytropił ostatniego dostępnego dżaka na całym Mauritiusie i zarekwirował go dla nas. Owoc miał zostać dostarczony przez specjalnego posłańca.

– Jest dość dojrzwały, Gerry – wyjaśnił Wahab – więc nie należy go rozpakowywać, żeby nie stracił zapachu, i trzeba chronić przed wysoką temperaturą.

– A niby jak mam tego dokonać? – zapytałem uszczypliwym tonem, ocierając pot z czoła. – Nawet siebie nie potrafię uchronić przed wysoką temperaturą.

– Mieszkasz w pokoju z klimatyzacją, prawda? – upewnił się Wahab. – No to tam trzymaj owoc.

– Trzymam tam już dwadzieścia cztery kiście bananów, dwa tuziny awokado, dwa tuziny ananasów, dwa arbuzy i cztery tuziny mango, zakupione specjalnie dla tych cholernych nietoperzy. Mój pokój przypomina targowisko bardziej niż plac targowy w Port Louis. Jeden owoc nie będzie chyba stanowił aż takiej różnicy.

– Jasne – odparł Wahab. – A tak na marginesie, te niespodziewane opady na Rodrigues mogą zakłócić wasz lot.

– Dlaczego? – spytałem z nagłym niepokojem. Każda zwłoka skracala czas przeznaczony na odłów nietoperzy.

– No wiesz, tamtejsze lotnisko nie jest utwardzone – wyjaśnił. – Po tym ulewnym deszczu grunt zrobił się bardzo śliski. Wczoraj samolot musiał zawrócić. Ale może wam się uda.

– Daj Boże, żeby się udało – powiedziałem z przygnębieniem. – W przypadku opóźnienia musielibyśmy odwołać całą wyprawę.

– O, na pewno nie będzie aż tak źle – rzucił pogodnie Wahab. – Gdybyś czegoś jeszcze potrzebował, daj mi znać. Dżak powinien dotrzeć do was przed południem. Do zobaczenia.

Rozmowy telefoniczne Wahab często zaczynał i kończył w dość obcesowy sposób.

Dżak przybył około południa, spowity w polietylen i płótno, w objęciach wytwornie umundurowanego strażnika leśnego. Sądząc z rozmiarów pakunku, owoc był znacznie większy, niż przypuszczałem. Wyobrażałem sobie, że będzie mniej więcej wielkości orzecha kokosowego, lecz jego rozmiary najwyraźniej dorównywały sporej dyni. W trakcie podróży pakunek bardzo się rozgrzał, zaniósłem go więc do pokoju i rozwinąłem z szacunkiem, aby chłodne powietrze miało dostęp do zawartości. Z powijkaków wyłonił się nieapetyczny zielony owoc, pokryty guzami i przywodzący na myśl zwłoki marsjańskiego noworodka. Wrażenie to pogłębiał jeszcze mocny, słodkawy, drażniący odór, który budził mgliste skojarzenia

z rozkładającym się trupem.

Już niebawem miałem się przekonać, że owa przenikliwa, mdląca woń przesyciała wszystko i wkradała się wszędzie, podobnie jak parafina w nieostrożnych rękach. W zadziwiająco krótkim czasie cały pokój zaczął śmierdzieć niczym jeden gigantyczny dzak lub niczym kostnica, w której nastąpiła awaria agregatu chłodniczego. Wonią dzaka przeszły nasze ubrania i buty, książki, aparaty fotograficzne, walizki i siatki do chwytania nietoperzy. Człowiek uciekał z pokoju, by zaczerpnąć łyk świeżego powietrza – i przekonywał się, że zabrał odór z sobą. Cała okolica tchnęła tym aromatem. Usiłując umknąć przed wszechobecną wonią, poszliśmy nurkować obok rafy – i czuliśmy się tak, jakby każdy trzymał dzaka wewnątrz maski. Obiad i kolacja miały smak tego owocu. Przy śniadaniu, całkowicie przesiąkniętym zapachem dzaka, cieszyłem się, że tego samego dnia lecimy na Rodrigues, gdzie będziemy mogli zostawić szatański owoc w lesie i uwolnić się wreszcie od jego wyziewów.

Już po kilku minutach od naszego pojawienia się na lotnisku cała hala odlotów cuchnęła tak intensywnie, że inni pasażerowie zaczęli pokasływać i rozglądać się niespokojnie. Stanowiliśmy grupę na tyle dziwną, że mogliśmy wyglądać na porywaczy – z naszymi zagadkowymi zwojami sieci i koszami pełnymi osobliwie dobranych owoców, wśród których leżał dzak, kisząc się w swych powijkach z polietylenu i płótna.

Gdy nadeszła pora odprawy pasażerów, przekonaliśmy się, w jaki sposób pierwsze od ośmiu lat opady deszczu na wyspie Rodrigues – choć bardzo pożądane – mogą zaszkodzić naszej sprawie. Najwyraźniej, oprócz niedomiaru deszczu, występował na wyspie dotkliwy brak pieniędzy, w związku z czym nasz samolot musiał koniecznie zabrać pokaźny zapas owego wielce potrzebnego artykułu. Niestety, pieniądź, aczkolwiek użyteczny, waży sporo. Ponieważ deszcz zamienił lotnisko w grząskie mokradło, było istotne, abyśmy nie przekroczyli dopuszczalnej wagi, co groziłoby utratą kontroli nad samolotem podczas lądowania. Jako że pieniądze, nawet w tak odległym zakątku jak Rodrigues, są najważniejszą rzeczą na świecie, pasażerowie musieli uszczuplić swój bagaż. Gorączkowo wyzbyliśmy się wszystkich cięższych fragmentów odzieży oraz części ekwipunku, bez których mogliśmy się obejść. Utworzyły dość interesujący stos. Jeżeli przedtem ktoś żywił wątpliwości co do stanu naszych umysłów, teraz zyskał pewność. Jaka zdrowa psychicznie osoba odrzuciłaby koszulę, skarpetki, buty i inne niezbędne części ubioru na korzyść bananów, mango i dzaka, dającego się wyczuć na odległość pięćdziesięciu kroków?

Wszelkie czynności uległy zawieszeniu, gdy na lotnisko wjechał dżip pod eskortą licznych strażników i wyładowano z niego skrzynie z pieniędzmi, które następnie zważono. Po tej operacji rozpętała się zbiorowa orgia matematyczna, wzbogacona zamaszystą gestykulacją i ożywionymi sporami. W końcu powiadomiono nas, że mimo dotychczasowych wyrzeczeń wciąż ważymy za dużo. Ku widocznej satysfakcji urzędnika odpowiedzialnego za miary i wagi,

usiedliśmy i spożyliśmy połowę owoców. I tak była już pora lunchu. W chwili, gdy utwierdziło się w nas przekonanie, że nigdy więcej nie tkniemy banana, ogłoszono, iż lot został odwołany z uwagi na stan pasa startowego na wyspie Rodrigues. Czy będziemy uprzejmi zgłosić się nazajutrz o tej samej porze?

Wróciliśmy do hotelu, zabierając z sobą – teraz już niemal zabójczego – dzaka. Pracownicy, którzy dopiero co zdążyli wywietrzyć pokoje, jakoś nie wpadli w zachwyt na nasz widok. Następnego dnia, zastąpiwszy gnijące owoce świeżymi, udaliśmy się ponownie na lotnisko. Z niewiadomych przyczyn zważono raz jeszcze i nas, i pieniądze. Okazało się, że przekraczamy dopuszczalną wagę. W owej chwili zacząłem poważnie wątpić w matematyczną biegłość mieszkańców Mauritiusa, lecz – o czym wie każdy, kto tego próbował – spieranie się z urzędnikiem na lotnisku nie ma najmniejszego sensu. Odrzuciliśmy dosłownie wszystko oprócz naszych sieci oraz ubrań, które mieliśmy na sobie, po czym usiedliśmy, by zjeść część cennych owoców. To, że dźwigaliśmy teraz nadprogramowy ciężar w sobie, a nie pod postacią kiści bananów, bynajmniej nie zaniepokoiło urzędników. Pokusa, aby wyrzucić dzaka, była niezmiernie silna, ale nawet ja zdawałem sobie sprawę, iż jego przenikliwy odór może się bardzo przydać przy wabieniu nietoperzy w nasze sieci, pod warunkiem, że ani my, ani nietoperze wcześniej się nie podusimy. Gdy wepchnęliśmy w siebie kolejną porcję bananów, ponownie odwołano lot.

– Jeżeli cała podróż na Rodrigues ma tak wyglądać, kompletnie rozstroję sobie żołądek – zauważyłem po powrocie do hotelu, w którym powitano nasze przybycie z pełną rezygnacji cierpliwością. Zaczynałem się poważnie martwić, gdyż w przypadku dalszej zwłoki trzeba byłoby się wycofać z wyprawy na Rodrigues. Zbliżał się dzień naszego odlotu do Europy.

Nazajutrz wymieniliśmy wszystkie przejrzałe banany i mango na świeże, po raz setny pożałowaliśmy, że nie mamy hermetycznego pojemnika, by w nim trzymać dzaka, i znowu wyruszyliśmy na lotnisko. Ponownie z mozołem zważono i nas, i pieniądze, tym razem jednak – ku naszemu zdziwieniu – nie byliśmy zmuszeni zjadać połowy bagażu. Niebawem znaleźliśmy się na pokładzie małego samolotu wraz z rozmaitego typu pasażerami, którzy z pewnym zaniepokojeniem i przygnębieniem obserwowali pojawienie się dzaka w tym zamkniętym pomieszczeniu. Żołnierze pilnujący samolotu odeszli i po krótkim kołowaniu wzbiliśmy się w powietrze, lecąc nisko nad jaskrawozieloną szachownicą poletek trzciny cukrowej, a następnie wznosząc się coraz wyżej ku liliwoniebieskiemu niebu, nad rafą i ciemnym, migotliwym błękitem Oceanu Indyjskiego.

Rodrigues leży nieco ponad 350 mil na wschód od Mauritiusa, daleko na Oceanie Indyjskim; wyspa ta ma jedenaście mil długości oraz pięć i jedną czwartą mili szerokości (w najszerszym miejscu). Jej dzieje są bardzo ciekawe, a fauna jeszcze ciekawsza. Jednym z przedstawicieli zwierzęcego świata był ów osobliwy ptak, *solitaire*. Wyginął wkrótce po ptaku dodo, do czego

przyczyniło się najprawdopodobniej nie tylko niszczenie jego siedlisk, ale także bezlitosne polowania. Wyspę zamieszkiwały również nieprzeliczone stada olbrzymich żółwi lądowych. Alfred North-Coombes opisuje w swej fascynującej książce o Rodrigues eksterminację tych gadów:

Żółwie olbrzymie osiągają dojrzałość po trzydziestu bądź czterdziestu latach, a mogą dożyć dwustu albo trzystu. Ich wręcz niewiarygodnemu rozwojowi sprzyjało odosobnienie wysp oraz nieobecność człowieka i innych naturalnych wrogów. Leguat twierdzi nawet, że występowały na Rodrigues tak licznie, iż „niekiedy widywało się ich dwa lub trzy tysiące naraz i można było przejść po ich grzbietach sto kroków, nie dotykając stopą ziemi”.

Tak więc, zanim Mahe de Labourdonnais dopłynął do Isle de France, tysiące żółwi przewieziono z Rodrigues na Bourbon i Isle de France oraz na statki Towarzystwa Morskiego. Te ostatnie grabiły bez opamiętania, często ponad miarę rzeczywistych potrzeb załogi i pasażerów. Niektórzy kapitanowie sprzedawali nadwyżkę na Bourbon, gdzie duży popyt zapewne podbijał ceny, Isle de France natomiast nie mogła się doprosić o kilka sztuk dla chorych z innych statków. Labourdonnais woła: „Czy pan uwierzy, że kapitanowie, którzy przywożą z Rodrigues siedemset czy osiemset żółwi, odmawiają wylądowania ich dla chorych, woląc je zabrać na Bourbon i sprzedać lub wymienić na kurczęta!?”.

Jako gubernator Labourdonnais nie zanotował konkretnej liczby żółwi wywiezionych z Rodrigues. Przekraczała zapewne dziesięć tysięcy sztuk rocznie. Jederf z jego następców, Desforges-Bourcher, który był przedtem gubernatorem Bourbon i w roku 1725 usiłował założyć kolonię na Rodrigues, okazał się dokładniejszy. Za jego rządów transportem żółwi na Isle de France zajmowały się cztery nieduże statki o nazwach: „La Mignonne”, „l’Oiseau”, „Le Yolant” i „Le Penelope”. Z każdego rejsu przywoziły tysiące żółwi – o czym świadczą poniższe fragmenty sprawozdań dla Towarzystwa:

14 grudnia 1759 „l’Oiseau” przyplłynął z Rodrigues, przywożąc 1035 żółwi lądowych i 47 morskich. Załadowano ogółem 5000 sztuk, ale podczas ośmiodniowej podróży statek stracił większość ładunku.

15 maja 1760 „l’Oiseau” przywiózł 6000 żółwi lądowych.

29 września 1760 „l’Oiseau” przyplłynął z 1600 żółwiami lądowymi i 171 morskimi.

12 maja 1761 „Le Yolant” przybił do brzegu z ładunkiem 4000 żółwi lądowych.

6 grudnia 1761 „l’Oiseau” przywiózł 3800 żywych żółwi lądowych z załadowanych 5000.

Marynarka Królewska również skorzystała z pobytu u brzegów Rodrigues. 26 lipca 1761 roku dwa okręty zabrały na pokład 3000 żółwi.

Po dwuipółgodzinnym locie dojrzeliliśmy w dole pod sobą falistą, ruchliwą wstęgę kremowo-białej piany wokół rafy w pobliżu Rodrigues. Ów koralowy bastion otaczał wyspę

i tworzył w głębinie rozległą płytę, na której opierał się ląd. Niektóre części rafy znajdowały się w odległości dwudziestu mil od wybrzeży, chroniąc wielki obszar spokojnych, szmaragdowozielonych wód, upstrzony drobniejszymi wysepkami – jedne z nich wyglądały jak zwykle piaszczyste wydmy, inne natomiast były dostatecznie zasobne, by zapewnić schronienie żółwiom olbrzymim oraz pewnemu gatunkowi olbrzymiej jaszczurki, obecnie wymarłemu. Nasz samolot skręcił w przechyle i podszedł do lądowania nad malutkim, pokrytym czerwoną ziemią lotniskiem. Oglądana z góry wyspa miała jasnobrunatną barwę i wydawała się dość jałowa, pomimo splechotków zieleni w dolinach i rozrzuconych tu i ówdzie szarawych kęp roślinności. Zaledwie opuściliśmy samolot, ulegliśmy czarowi, który człowiek odnajduje jedynie na małych, odległych, rozślonecznionych wyspach. Przeszliśmy czerwonym laterytowym pasem startowym do miniaturowego budynku, którego fasadę zdobił krzepiący napis: „Witajcie na Rodrigues”. Wewnątrz dostrzegłem ze zdumieniem otwarte okienko z kontuarem, a nad nim wywieszkę: „Biuro imigracyjne”.

– Imigracyjne? – mruknąłem do Johna. – O co im chodzi? Przyjmują tu tylko cztery loty tygodniowo, jeden z Reunion i trzy z Mauritiusa.

– Skąd mogę wiedzieć? – odparł. – Może to nas nie dotyczy.

– Proszę przygotować paszporty do kontroli – przemówił jowialny policjant w eleganckim zielonym mundurze, rozpraszając w ten sposób wszelkie wątpliwości.

Tylko przypadek zrządził, że mieliśmy paszporty przy sobie; nie przyszło nam do głowy, iż będą potrzebne na Rodrigues, terytorium podległym Mauritiusowi. Po chwili zjawił się funkcjonariusz – tęgi Rodriguanczyk o czekoladowej skórze, ubrany w efektowny mundur koloru khaki. Pocił się obficie i dźwigał pokaźną stertę niesfornych segregatorów. Miał przejętą, nerwową, pooraną zmarszczkami twarz i przywodził na myśl psa gończego, który przeszedł załamanie psychiczne. Usadowił się za biurkiem, potracił segregatorami tabliczkę z napisem „Kontrola paszportowa” i ustawił ją z powrotem, uśmiechając się do nas z konsternacją. Stanęliśmy przed nim w kolejce, posłusznie okazując paszporty. Skinął nam lekko głową, chrząknął i zamaszystym ruchem otworzył skoroszyt z urzędowymi formularzami, zawierającymi najgłupsze z możliwych pytań, od daty urodzenia po kwestię wrastających paznokci babki. Surową postawę podpory prawa nadwątlili nieco ciepły podmuch wiatru, wdzierając się przez okno i rozrzucając formularze po całym pomieszczeniu, które – w braku lepszego określenia – można nazwać lotniskową poczekalnią. Pozbieraliśmy fruujące papiery, za co funkcjonariusz był nam wzruszająco wdzięczny.

Pocił się teraz jeszcze obficie niż przedtem. Przycisnął formularze pulchnymi łokciami, żeby zapobiec dalszym niefortunnym incydentom, i wziął od Ann paszport. Pracowicie przepisał miejsce i datę jej urodzenia, wiek i zawód. Poszło mu jak po maśle i oddał jej paszport z szerokim, promiennym, tryumfującym uśmiechem; uśmiechem człowieka, który panuje nad

sytuacją. Jego wiara w siebie okazała się jednak przedwczesna, ponieważ w chwili, gdy z rumieńcem entuzjazmu wyciągnął rękę po mój paszport, kolejny podstępny powiew wiatru zdmuchnął formularze i rozsypał je po podłodze niczym konfetti. Zebranie ich wszystkich zajęło kilka minut, a w tym czasie na formularzu Ann znalazł się malowniczy odcisk buta policjanta z lotniska, który nadepnął nań, służąc nam pomocą.

Umieściliśmy kontrolera paszportów z powrotem przy biurku; z wdzięcznością przyjął on propozycję Ann, która oświadczyła, że może stanąć za nim i przytrzymać przemieszczające się papiery, aby swobodnie zajął się ich wypełnianiem. Uwolniony od tego brzemienia, mógł dać wyraz swemu urzędniczemu temperamentowi. Wziął mój paszport i przerzucił jego kartki czekoladowymi palcami z wprawą zawodowego szulera. Następnie zmierzył mnie spojrzeniem, które miało zapewne być ostre i przenikliwe, lecz okazało się na to zbyt zniewalające.

– Skąd pan przyleciał? – zapytał.

Ponieważ nasz samolot był pierwszym od dwóch tygodni, który wylądował na zalanej deszczem wyspie Rodrigues, a ponadto jedynym znajdującym się w obecnej chwili na lotnisku, pytanie to zbiło mnie z tropu. Gdyby zadano mi je – powiedzmy – w Londynie, przyjmującym setki samolotów dziennie, miałoby pewne uzasadnienie; ale tutaj, na Rodrigues, przy najwyżej czterech lotach tygodniowo, brzmiało niczym z „drugiej strony lustra”. Oparłem się pokusie odpowiedzi, że morze wyrzuciło mnie na brzeg, i odparłem, że przyleciałem z Mauritiusa. Funkcjonariusz przez chwilę łamał sobie głowę nad określeniem „pisarz/zoolog” w rubryce „Zawód”, najwyraźniej przypuszczając, że może to oznaczać coś równie groźnego jak CIA lub MI5; po czym, z pewnymi kłopotami przy słowie „zoolog”, przepisał wszystko powoli i dokładnie do swojego formularza. Przybił pieczętkę i z ujmującym uśmiechem zwrócił mi paszport, ja zaś ustąpiłem miejsca Johnowi. Tymczasem Ann zmagiała się z papierami, trzepoczącymi w coraz silniejszych podmuchach wiatru. Wspierał ją w tym policjant, który wcześniej ozdobił jej formularz śladem buta. Prawdopodobnie zdecydował, że policja nie powinna dać się wyprzedzić urzędnikowi imigracyjnemu w wypełnianiu obowiązków służbowych. Funkcjonariusz wziął paszport Johna i zadał pytanie, skąd John przybywa.

– Z Yorkshire w Anglii – odparł naiwnie mój kolega, zanim zdążyłem go powstrzymać.

– Nie, nie – spieszył się funkcjonariusz, zbity z tropu taką obfitością informacji. – Chodziło mi o to, skąd pan teraz przybywa.

– Aha – zrozumiał John. – Z Mauritiusa.

Kontroler wpisał to starannie do kwestionariusza. Otworzył paszport i pracowicie przeniósł na papier istotne dane dotyczące narodzin Johna. Następnie spojrzął w rubrykę „Zawód” – i zobaczył w niej przerażające i niezrozumiałe słowo „herpetolog”. Zamknął oczy, a jego twarz skurczyła się trwożnie. Wyglądał jak ktoś, kto od lat budzi się co noc z krzykiem z koszmarne snu, w którym przełożeni każą mu nie tylko określić, co to znaczy „herpetolog”, ale także

poprawnie zapisać to słowo. Teraz koszmar się ziścił. Funkcjonariusz oblizał usta, otworzył oczy i nerwowo zerknął na przerażający wyraz, żywiąc nadzieję, że już go tam nie ma. „Herpetolog” tkwił nieubłaganie na miejscu, niezrozumiały i nie do przeliterowania. Kontroler paszportów podjął bohaterską próbę.

– Herpa... eee... herper... – zaczął i rzucił policjantowi rozpaczliwe spojrzenie, błagając go o pomoc.

Policjant nachylił się nad kolegą i zerknął mu przez ramię na kłopotliwe słowo, z rozbawioną miną osoby, dla której krzyżówka z „Timesa” to dziecinna zabawa. Gdy jego oko spoczęło na „herpetologu”, stracił nieco pewności siebie.

– Herp... herp... – powiedział żałośnie i bezproduktywnie.

– Herpa... herper... – zawtórował mu funkcjonariusz.

– Herp... herp... herp... – próbował policjant.

Zaczynało to przypominać jedną z mniej znanych i niezbyt zrozumiałych oper niemieckich.

– Herpetolog – wtrąciłem dziarsko.

– Ach tak – zgodził się z mądrą miną funkcjonariusz.

– Co to znaczy? – zapytał bez ogródek policjant.

– Jest to ktoś, kto bada węże – wyjaśniłem. Policjant z fascynacją wpatrzył się w niezwykle słowo.

– Pan tu przyjechał badać węże? – spytał wreszcie tonem człowieka, który woli nie zadzierać z niebezpiecznym wariatem.

– Tutaj nie ma węży – oznajmił jego kolega z powagą przedstawiciela władzy, który przenigdy by nie pozwolił żadnemu wężowi prześliznąć się przez urząd imigracyjny.

– Ach nie, przyjechaliśmy tu łapać nietoperze – odparłem nieostrożnie.

Obydwoj utkwili we mnie niedowierzające spojrzenie.

– Nietoperze? – powtórzył policjant.

– Nietoperz to nie wąż – oświadczył kontroler paszportów tonem Karola Darwina przedstawiającego światu owoce badań całego życia.

– Wiem – powiedziałem – ale przyjechaliśmy tu chwycić nietoperze, na zaproszenie pełnomocnika rządowego, pana Hazeltine’a.

Byłem pewien, że pan Hazeltine, którego nigdy nie spotkałem, wybaczyłby mi to niewinne kłamstwo. Na dźwięk jego nazwiska policjant i funkcjonariusz niemal stanęli na baczność.

– Znacie pana Hazeltine’a? – spytał funkcjonariusz.

– Prosił, żebyśmy przyjechali – odparłem z prostotą. Funkcjonariusz wiedział, kiedy podać tyły. Pracowicie i starannie przepisał słowo „herpetolog”, podbił paszport Johna i uśmiechnął się do nas z wyraźną ulgą. Wymieniliśmy uścisk dłoni z nim i pomocnym policjantem, a oni obydwaj życzyli nam miłego pobytu na Rodrigues. Zastanawiałem się, dlaczego uznano za

konieczne obarczać prostych, uczciwych i pogodnych mieszkańców wyspy biurokracją, która w tym otoczeniu była czymś zupełnie bezsensownym i nie na miejscu.

Wsiedliśmy do hotelowego dżipa, który powiózł nas krętymi drogami przez wyżłobiony erozją, suchy krajobraz. Tu i ówdzie coś zieleniło się na poboczu i kępy zakurzonych drzew i krzewów okalały zniszczone chaty z blachy falistej. Kierowca zapewnił nas, że po ostatnich opadach wyspa jest zielona. Spoglądając na pokryty kurzem, wyschnięty, spalony słońcem pejzaż, zastanawiałem się, jak wyglądała przed deszczem.

W końcu dżip przecisnął się przez główną ulicę Port Mathurin, stolicy Rodrigues. Wzdłuż ulicy ciągnęła się przypadkowa zbieranina domków i sklepów z drewna lub blachy falistej, lecz środek był barwny niczym kwiatowa rabatka dzięki zajęтым zakupami mieszkańcom portu, ubranym w jaskrawe stroje. Tuż za portem auto stanęło i na szczycie wzgórza przed nami zobaczyliśmy hotel. Była to niska budowla o obszernym, spadzistym dachu, chroniącym głęboką, cienistą werandę, która biegła dookoła. Wiodły do niej szerokie schody i na całej długości miała wymyślną, pomalowaną na biało balustradę z kutego żelaza. Na werandzie stało kilka stolików i krzeseł wyplatanych z trzciny. Z hotelu, przycupniętego na wzgórzu, roztaczał się widok na całe Port Mathurin i odległą mniej więcej o trzy mile rafę. Wszystko to wyglądało zupełnie jak zaprojektowana z pewną przesadą sceneria do filmu na podstawie opowiadania Somerset Maughama, a atmosferę tę podkreślała jeszcze ścieżka, pnąca się stromo wśród krzewów hibiskusa, okrytych dużymi, purpurowymi i pomarańczowymi kwiatami, które wyglądały jak wycięte z papieru; oraz stadko nieco przybrudzonych, lecz niezwykle grzecznych i życzliwie nastawionych świń, odbywających zebranie przed hotelem i wokół niego.

Gdy się już rozlokowaliśmy i nawiązaliśmy kontakt z panem Hazeltine'em, pełnomocnikiem rządowym – który mieszkał w imponującej starej rezydencji, otoczonej ogrodem z potężnymi drzewami, bogatymi w epifity, a bramy strzegło działo o groźnym wyglądzie – porozumieliśmy się z panem Marie, szefem Departamentu Leśnictwa, on zaś zaproponował nam podwiezienie do miejsca, w którym będziemy mogli obserwować nietoperze. Jak twierdził, cała ich kolonia zamieszkiwała dolinę Gołębiej Kaskady, około trzech mil od Port Mathurin. Dwa czy trzy pojedyncze okazy mogły wieść samotniczy tryb życia w innych częściach wyspy, lecz większość z pewnością przebywała w tej dolinie. Wpakowaliśmy się zatem do jego landrovera i ruszyliśmy w stronę doliny. Towarzyszył nam młody Jean Claude Rabaude, pracownik leśny i zamiłowany przyrodnik amator, który pomagał Anthony'emu Cheke podczas wyprawy.

Dotarłszy na miejsce, zaparkowaliśmy auto i zaczęliśmy schodzić ze skalistego, śliskiego zbocza ścieżką lądząco podobną do koryta strumienia. Po pewnym czasie, mniej więcej w połowie drogi na sam dół, natrafiliśmy na występ, z którego widać było cały stok po lewej stronie. Rosły tam dość niskie drzewka, nieprzekraczające dwudziestu stóp, lecz pośrodku znajdowała się pewna liczba wysokich drzew mangowych. Właśnie wśród ich szerokich,

lśniących i zapewniających cień liści chroniły się nietoperze.

Po pierwszym zerknięciu przez lornetkę wydawało się, że każde drzewo obrodziło dziwnymi, włochatymi owocami czekoladowego i złocistoczerwonego koloru; gdy jednak nietoperze zaczęły się przeciągać i ziewać, można było dostrzec, że ich skórzaste, parasolowate skrzydła są ciemnoczekoladowe, a futerko na tułowiu i łebku obejmuje kilka odcieni, od jaskrawej, połyskliwej żółci – przypominającej złotą przędzę – po płomienną lisią rudość. Były to niewątpliwie najbarwniejsze i najładniejsze owocożerne nietoperze, jakie widziałem w życiu. Miały zaokrąglone głowy o drobnych, kształtnych uszach i krótkie, jak gdyby ścięte pyszczki, które upodabniały je do szpiców. Większa część kolonii wisiała na trzech drzewach mangowych, a tylko pojedyncze osobniki chroniły się na mniejszych drzewkach w pobliżu.

Ustaliwszy miejsce pobytu kolonii, musieliśmy podjąć próbę w miarę dokładnego oszacowania jej liczebności. Przedstawiało to pewien problem, gdyż wiele nietoperzy kryło się głęboko w cieniu liści, gdzie nie zawsze było je widać, a prócz tego przefruwały z drzewa na drzewo lub szybowały leniwie w stronę wzgórze i z powrotem. Najpierw każdy z naszej piątki policzył zwierzęta z miejsca, w którym stał, a potem wyciągnęliśmy średnią z naszych obliczeń. Zdawaliśmy sobie sprawę z niedokładności tych danych, ale mimo to dodał nam otuchy fakt, że dwie osoby naliczyły więcej nietoperzy niż Anthony Cheke dwa lata wcześniej.

Zdaniem Jeana Claude'a, który utrzymywał, że kolonia znacznie się powiększyła od bytności Cheke'a na wyspie, najlepszą porą na dokonywanie obliczeń – porą, gdy nietoperze najmniej się ruszały – był wczesny ranek, tuż po ich powrocie z nocnego żerowania, albo południe, kiedy słońce najmocniej praży. Ponieważ była dopiero jedenasta, postanowiliśmy odczekać godzinę i policzyć je jeszcze raz. W tym czasie rozejrzeliśmy się za odpowiednim miejscem do rozpięcia sieci, gdybyśmy mieli tam przeprowadzić odłów nietoperzy.

John znalazł doskonałą polankę, przesiekę z widokiem na dolinę; wokół rosły wysokie drzewa, nadające się idealnie do rozpięcia sieci i osłaniające nas całkowicie przed słońcem. W skwarnej ciszy południa ponownie przeliczyliśmy nietoperze. Trwały teraz prawie nieruchomo, rozpościerając tylko od czasu do czasu ciemne skrzydła i trzepocząc nimi dla ochłody. Naliczyliśmy ponad sto sztuk. Nie posiadając się z radości, postanowiłem jednak zachować ostrożność i posłałem Johna z Jeanem Claude'em na drugą stronę doliny, aby tam dokonali ponownych obliczeń. Później, pragnąc się ostatecznie upewnić, porachowaliśmy zwierzęta jeszcze dwukrotnie: wieczorem, gdy wylatywały na żer, i nazajutrz rano. Wyszło nam w końcu, że kolonia składa się ze stu dwudziestu, może stu trzydziestu osobników, co oczywiście nie było liczbą imponującą, lecz mimo to dodawało otuchy, ponieważ oznaczało, że kolonia powiększyła się o trzydzieści parę okazów od czasu wizyty Cheke'a.

Zachęceni w ten sposób, doszliśmy do wniosku, że aby nie osłabić kolonii, a jednocześnie zapewnić sobie niezbędne minimum jako podstawę grupy hodowlanej, zdolnej do rozrodu,

musimy schwycić osiemnaście sztuk. Przeczuwałem, że nietoperze – podobnie jak większość zwierząt żyjących stadnie – potrzebują bodźca w postaci większej liczby stworzeń tego samego gatunku, żeby się gdzieś zadomowić i z powodzeniem rozmnażać, dlatego odłów jednej czy nawet dwóch par mijałby się z celem. Otoczenie musiało przypominać kolonię, choćby niewielką. Ale ustalenie liczby i płci zwierząt do odłowu, nawet gdy się zna ich miejsce pobytu, to jedno; a pomyślnie przeprowadzenie akcji – to zupełnie coś innego.

Polana, którą wybraliśmy w tym celu, znajdowała się około ćwierć mili od kolonii, przy trasie wieczornych przelotów nietoperzy, gdy wyprawały się na żer. Sfruwały wprawdzie nieco niżej w głąb doliny, miałem jednak nadzieję, że dzak (nadający obecnie naszemu hotelowi unikatowy charakter) stanie na wysokości zadania i zwabi nietoperze w nasze sieci.

Zastosowaliśmy najprostszą metodę odłowu. Korzystając z pomocy Jeana Claude'a oraz jego kolegi (który miał na sobie podkoszulek ozdobiony napisem „Prezydent Kennedy jest super”, co osłabiało mój nieomylny łowiecki instynkt), przywiązaliśmy do drzew chyba z osiem siatek, tak że utworzyły prostokątną pułapkę, mierzącą mniej więcej pięćdziesiąt na siedemdziesiąt stóp, o ścianach wysokości czterdziestu stóp. Następnie skonstruowaliśmy z cienkiego drutu coś, co wyglądało jak miniatura trumny, osłoniliśmy to gałęziami i zawiesiliśmy pośrodku. Wewnątrz owego pojemnika zamierzaliśmy umieścić owoce. Gdy już wszystko było przygotowane w sposób zadowalający, pomknęliśmy do hotelu, przekąśliśmy w pośpiechu co nieco i wróciliśmy do doliny z latarkami i dodatkowymi owocami, w chwili gdy zielonkawy zmierzch zaczynał nabierać szarego odcienia.

Rozbudzone nietoperze szykowały się właśnie do nocnego żerowania. Były bardziej rozmowne i wciąż zrywały się do lotu, okrążając niespokojnie mangowe drzewa, na które po chwili wracały. Najwyraźniej nie zapadł jeszcze dla nietoperzy prawdziwy zmrok. Wypchaliśmy drucianą trumnę przejrzałymi bananami, ananasami i owocami mango, ja zaś podszedłem z maczetą do dzaka. Nie zwlekając, rozciąłem go na pół i natychmiast tego pożałowałem. Wydawało mi się, że ten rozkoszny owoc nie może już pachnieć silniej niż dotychczas; byłem jednak w błędzie. W mgnieniu oka cała wyspa zaczęła roztaczać silną woń dzaka. Żywiąc nadzieję, że nietoperze – w przeciwieństwie do nas – uznają ją za atrakcyjną, wetknęliśmy owoc do drucianej trumny i podciągnęliśmy na dwadzieścia stóp w górę, gdzie zawisł między sieciami, okryty całunem gałęzi. Następnie wyszukaliśmy sobie w zaroślach odpowiednią kryjówkę z widokiem na pułapkę i przycupnęliśmy w oczekiwaniu. Niestety, ponieważ byliśmy zmuszeni pozostawić większość ubrań z uwagi na nadwyżkę bagażu, mieliśmy na sobie wyłącznie szorty i podkoszulki z krótkimi rękawami – strój, który okazał się niezbyt odpowiedni, gdyż trzy czwarte populacji komarów postanowiło czuwać razem z nami.

Czekaliśmy więc, a w uszach rozbrzmiewało nam przenikliwe, ożywione i przyjacielskie brzęczenie tych owadów. Zieleń zmierzchu przeszła w szarość, a potem nabrała jeszcze

ciemniejszego odcienia. Tuż zanim zmrok uniemożliwił obserwacje, nietoperze zaczęły wzbijać się w powietrze. Latały pojedynczo lub w grupkach po trzy, cztery osobniki, kierując się doliną w stronę Port Mathurin. Gdy tak trzepotały w powietrzu na skraju naszej polany, wydawały się zadziwiająco duże, a ich powolny, ociężały lot przywodził na myśl stwory z jakiegoś filmu o Draculi. Z podziwu godną determinacją pofrunęły w głąb doliny, nie zbacając z kursu i całkowicie ignorując nas samych, nasze sieci oraz aromatyczną przynętę w postaci przejrzałych owoców. Siedzieliśmy otoczeni rojem komarów, drapiąc się i odprowadzając nieprzyjaznymi spojrzeniami przepływający obok nas strumień nietoperzy, który po chwili zmienił się w wąską strużkę. Niebawem pozostali tylko spóźnialscy, usiłujący nadążyć za resztą; w końcu i oni zniknęli nam z oczu. Ani jeden nietoperz nie przejawiał najlżejszego zainteresowania naszą przesiąkniętą zapachem dzaka polaną.

– No to byczo – zauważył John, wysuwając kościste ciało zza krzaka ruchami rannej żyrafy.
– Cieszę się, żeśmy tu przyjechali. Nie mógłbym znieść myśli, że wszystkie te komary latają głodne.

Tak, to w gruncie rzeczy też ochrona przyrody – zgodziłem się. – Wyobraź sobie tylko, ile komarów uratowaliśmy dziś od śmierci głodowej. W przyszłości Światowy Fundusz Ochrony Przyrody wzniesie zapewne w tym miejscu Złotą Arkę dla upamiętnienia naszego wkładu w zachowanie zasobów naturalnych.

– Dobrze wam żartować – wtrąciła z goryczą Ann. – Wyglądacie, jakbyście nie czuli ich ukąszeń, a mnie wszystko swędzi jak diabli, cała puchnę i robię się czerwona.

– Nie zwracaj na to uwagi – doradziłem kojącym tonem. – Zamknij oczy i spróbuj sobie wyobrazić, co zrobimy z tymi wszystkimi nietoperzami, które schwytamy.

Ann parsknęła szyderczo. Po dwóch godzinach, gdy nie pojawił się ani jeden nietoperz, a komary przystąpiły do konsumowania dania głównego, odbyliśmy naradę wojenną. Uważałem, że przynajmniej jedna osoba powinna spędzić tam noc, na wypadek gdyby jakiś nietoperz wrócił i wpał w sieć. Sieci rozpostarte były w tak skomplikowany sposób, że nie dało się ich opuścić, a nie chciałem, aby schwytane nietoperze tkwiły w nich przez całą noc. Po krótkiej dyskusji wszyscy postanowiliśmy zostać i rozgościliśmy się w zaroślach, ustaliwszy, że jedno z nas będzie czuwało, podczas gdy reszta się prześpi.

Tuż po północy lunął deszcz. Bez ostrzeżenia w postaci grzmotu, błyskawicy i tym podobnych brawurowych wstępów. Chmury rozstały się nagle z hukiem przywodzącym na myśl lawinę metalowych kulek i chlusnęły na nas deszczem z gwałtownością otwartej raptownie śluzy. Po kilku sekundach byliśmy przemoczeni i siedzieliśmy w czymś, co wyglądało jak wodospad mający wszelkie szanse przybrania do rozmiarów Niagary. Noc była gorąca i parna, deszcz natomiast zdawał się spływać prosto z lodowca i dygotaliśmy z zimna. Przenieśliśmy się z krzaków pod drzewo, które dawało nieco lepsze schronienie; olbrzymie krople dudniły wśród

liści niczym serie z karabinu maszynowego, a po pniach spływały strugi wody. Znosiliśmy to przez godzinę, po czym, rozejrzawszy się nieco, stwierdziliśmy, że niebo jak okiem sięgnąć jest czarne i zasnuwane chmurami, od Gołębiej Kaskady na wyspie, poprzez Ocean Indyjski, aż do Delhi. Nie ulegało wątpliwości, że żaden szanujący się nietoperz nie będzie latał podczas takiej nawałnicy, spakowaliśmy zatem ociekający wodą sprzęt i pojechaliśmy do hotelu, gdzie mogliśmy przynajmniej schronić się przed deszczem i komarami i położyć spać na dwie czy trzy godziny. Postanowiliśmy być o świcie przy siatkach, ponieważ wtedy właśnie nietoperze wracały ze swego żerowiska i mogły zawędrować w okolice naszej pułapki.

Dziwne, zielonkawe światło brzasku zastało nas skulonych pod sieciami, zeszywniałych i zaspanych. Cały las roztaczał ciepły aromat niczym świeżo upieczone owocowe ciasto. Rozgrzana i obmyta deszczem ziemia, mech i liście pachniały mocno, lecz wszystkie te subtelne doznania węchowe zagłuszał niczym dźwięk potężnej trąby zapach dżaka, wiszącego dwadzieścia stóp nad nami. Wkrótce niebo się rozjaśniło i nadleciały nietoperze, powracające ociężałe do swych legowisk. Mijały nas, lecz w pewnej chwili – ku naszemu podnieceniu – kilka z nich zmieniło coś, co można by określić jako tor lotu, i z podejrzliwym zaciekawieniem okrążyło naszą polanę, zanim odfrunęły w stronę drzewa mangowego. Zachęceni tym przejawem zainteresowania, spędziliśmy dzień na rozciąganiu dodatkowych sieci między drzewami, przy czym towarzyszyły nam gwałtowne ulewy.

Nasi pomocnicy z Departamentu Leśnictwa, wstrząśnięci faktem, iż przez całą noc przebywaliśmy pod gołym niebem podczas jednej z najgorszych nawałnic, jakie nawiedziły Rodrigues od ośmiu lat, nacięli tyczek oraz liści bananowca i sklecieli dla nas ukryty w zaroślach szałas – przybytek, który Pigmej z Kongo uznałby może za magnacki dwór. Ale darowanym szałasom nie zagląda się w zęby i doszliśmy do wniosku, że jeśli John wystawi nogi do połowy na zewnątrz, zdołamy się schronić przed deszczem.

Na wszelki wypadek zajrzeliśmy do nieodzownych chińskich sklepików w Port Mathurin – gdzie, jak się wydawało, nie istniały sklepy innego rodzaju – i nabyliśmy foliowe płachty oraz kilka tanich koców. Gdy zapadł zmrok i nietoperze znów przefrunęły obok nas, ustaliliśmy po dłuższej debacie, że Ann wróci do hotelu, prześpi się należycie i o brzasku znowu do nas dołączy. Po jej odjeździe przygotowaliśmy sobie z Johnem w naszej bananowej chatce prowizoryczne posłania z folii i koców i wypakowaliśmy ekwipunek: spory zapas kanapek i czekolady, termos herbaty, latarki oraz obiecujące naręcze niewielkich, lecz uroczych wiklinowych koszyków, zwanych *tante*, które należą do głównych artykułów eksportowych wyspy Rodrigues i w których mieliśmy nadzieję uwięzić schwytane nietoperze. Rzuciliśmy monetę o to, kto ma pierwszy pełnić wartę; wygrałem, więc zwinąłem się z zadowoleniem na posłaniu i szybko usnąłem.

Kiedy nadeszła moja kolej stanięcia na straży, przespacerowałem się po polanie, żeby

rozprostować nogi. Ziemia i roślinność wciąż przesycone były wilgocią, choć już od kilku godzin nie padało; a ciepłe powietrze tak nasiąkło wodą, że przy każdym oddechu miało się wrażenie, iż płuca wchłaniają wilgoć niczym gąbka. Na gnijących gałęziach, rozrzuconych dookoła, zauważyłem niezliczone drobne, fosforyzujące grzybki, które jarzyły się jasnym, zielonkawoniebieskim światłem, tak że część leśnego poszycia przypominała wielkie miasto, widziane nocą z lotu ptaka. Zebrałem kilka mniejszych gałązek i przekonałem się, że dziesięć czy dwanaście takich świecących grzybków wytwarza poświatę na tyle silną, aby można było przy niej czytać – pod warunkiem, iż trzyma się źródło światła dość blisko kartki.

Właśnie gdy próbowałem czytać przy blasku grzybków, usłyszałem dziwny dźwięk, który zdawał się dobiegać z lasu za naszym szałasem. Był to stosunkowo donośny, chrzęszczący odgłos. Z jakiejś osobliwej przyczyny kojarzył mi się z pudełkiem zapalek, miażdżonym w dłoni bardzo silnego mężczyzny. Musiałem niechętnie przyznać, że aczkolwiek Rodriguańczycy są raczej ekscentryczni, jest rzeczą mało prawdopodobną, by skradali się po nasiąkniętych deszczem lasach o trzeciej nad ranem, zgniatając w rękach pudełka zapalek. Wziąłem latarkę i wypelzłem z naszego wąskiego szałasu, żeby się rozejrzeć. Nie był to akt aż tak bezprzykładnego męstwa, jak mogłoby się wydawać, ponieważ na Rodrigues nie ma żadnych niebezpiecznych zwierząt – jeśli nie liczyć człowieka. Przeszukałem dokładnie zarośla za szałasem, ale nie natrafiłem na żadne żywe stworzenie, które wydawałoby odgłosy podobne do trzasku miażdżonego pudełka zapalek, a najdzikszą bestią, jaką napotkałem, była duża ćma, usiłująca z uporem wdrzeć się do wnętrza mojej latarki. Wróciłem do szałasu i usiadłem, pogrążony w myślach. Zastanawiałem się, czy rano schwytemy jakieś nietoperze. Czas uciekał i zadawałem sobie pytanie, czy nie przenieść sieci bliżej siedliska kolonii. Rozważając tę kwestię, usłyszałem ponownie chrzęszczący odgłos, tym razem znacznie bliżej i z kilku różnych stron naraz. John, wyrwany ze snu, usiadł na posłaniu i wbił we mnie oczy.

– Co to? – zapytał sennie.

– Nie mam bladego pojęcia, ale trwa już od dziesięciu minut. Rozejrzałem się po okolicy i nic nie znalazłem.

W tej samej chwili rozległa się cała seria głośnych trzasków, a ściany i dach szałasu zaczęły dygotać.

– Cóż to, u diabła, może być? – zdumiał się John.

Oświetliłem latarką dach z bananowych liści i zobaczyłem, że kołysze się i dygoce jak przy trzęsieniu ziemi. Zanim zdążyliśmy podjąć rozsądne działanie, dach runął, zalewając nas kaskadą wielkich ślimaków, z których każdy dorównywał rozmiarami jabłku. Były tłuste, lśniące i mokre; połyskiwały w blasku latarki, wydzielając nieco pienisty śluz i ozdabiając nasze posłania ciekawym deseniem. Pozbycie się niepożądanych mięczaków i naprawa dachu zajęły nam dziesięć minut. John zwinął się w kłębek i ponownie zapadł w sen, a ja usiadłem i zacząłem

się zastanawiać, czy przypadkiem nasze niepowodzenie nie bierze się stąd, że owoc dzaka budzi w nietoperzach te same odczucia, co we mnie. John obudził się po godzinie i oświadczył, że jest głodny.

– Chyba zjem ze dwie kanapki – powiedział. – Podrzucisz mi parę? Zapaliłem latarkę i oświetliłem kął szałas, który pełnił funkcję kantyny. Z przerażeniem zobaczyłem, że wszystkie ślimaki, które wyeksmitowaliśmy z takim wysiłkiem, powróciły podstępnie i cichaczem i teraz tworzyły połyskliwy bursztynowy kopczyk nad naszymi kanapkami, pożerając chleb z wyraźnym apetytem. Wspomagał je w tym dzielnie dość młody, szary szczur o lśniącej sierści, białych łapkach i bujnych czarnych wibrysach. Ślimaki nie przejęły się blaskiem latarki, nadal pochłaniając radośnie naszą kolację, szczur jednak miał bardziej nerwowe usposobienie. Ugodzony promieniem światła, zamarł na chwilę w bezruchu, poruszając tylko lekko wibrysami i przewracając oczyma, a następnie z przeszywającym, cienkim piskiem okręcił się wokół osi i dał susa prosto pod mój koc. Był przekonany, że znalazł bezpieczne schronienie, i usunąłem go z dużym trudem, demontując całe posłanie. Wypłoszywszy stworzenie z szałas, odebrałem ślimakom resztki kanapek i podczas gdy John wybierał najmniej wygryzione i najbardziej jadalne kawałki, wyniosłem mięczaki po raz drugi na przeciwległy kraniec polany. Mniej więcej godzinę później John znowu się obudził i oświadczył, że wciąż jest głodny.

– Niemożliwe – zaprotestowałem. – Przecież godzinę temu jadłeś kanapki.

– Zjadłem tylko to, co zostawiły ślimaki – oznajmił z urazą. – Zdaje się, że mieliśmy jakieś biskwity. Parę biskwitów i filiżanka herbaty. To by mi odpowiadało.

Z westchnieniem włączyłem latarkę i ku swemu zdumieniu ujrzałem w kącie kuchennym scenę identyczną jak wcześniejsza. Ślimaki wcisnęły się z powrotem i teraz konsumowały biskwity, w czym sekundował im mój przyjaciel szczur. I tym razem, gdy padło na niego światło latarki, wydał histeryczny pisk i wskoczył na moje posłanie; teraz, zapewne poszukując u mnie jeszcze pewniejszego schronienia, próbował wcisnąć się w moje szorty. Wypędziłem go energicznie do lasu, ciskając za nim ślimakami, po czym przeniosłem resztki naszej żywności w pobliże Johna. Uznałem, że teraz na niego przypada kolej zawarcia bliższej znajomości ze szczurem. Rzecz jasna, byliśmy już zupełnie wybici ze snu, więc usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać, przeskakując z tematu na temat i czekając, aż się rozwidni. Tuż przed świtem usłyszeliśmy kroki Ann, która brnęła przez las w naszą stronę.

– Złapaliście coś? – zapytała, dotarłszy do szałas.

– Nie – odparłem – jeśli nie liczyć ślimaków i szczura. Ale może rano lepiej nam się powiedzie.

Niebo jaśniało stopniowo, przybierając bladożółty odcień. Opuściliśmy zdemolowany przez ślimaki szałas i zbliżyliśmy się do naszych sieci.

– Nie mogę pojąć, dlaczego nie przylatują – powiedziałem. – Tego przekłętego dzaka czuć pewnie aż w Chicago!

– Wiem – odezwał się John. – Moim zdaniem...

Nie udało nam się jednak poznać jego zdania, ponieważ pochylił się nagle, wbijając w przestrzeń uważne spojrzenie.

– Co to jest? – zapytał, wskazując ręką jakiś punkt. – Niewątpliwie coś siedzi w siatce. Czy to nietoperz?

Wy tężyliśmy wzrok, wpatrując się w polanę, gdzie cienkie jak pajęczyna sieci ginęły wśród drzew i cieni.

– Tak – potwierdziła z przejściem Ann. – Widzę go. To na pewno nietoperz.

– Chyba masz rację – przyznałem. – Ale jak to się, u diabła, stało, że go nie zauważyliśmy, zanim tam wleciał?

W tej samej chwili nad polaną pojawił się inny nietoperz, który przeprowadził szybkie, ostrożne śledztwo i odfrunął, a my uświadomiliśmy sobie dwie rzeczy: po pierwsze, że te stworzenia latają absolutnie bezszelestnie; po drugie, że z naszego położonego nieco wyżej szalasu nie mogliśmy ich dostrzec, gdyż wtapiały się w zasnuwające polanę, nieregularne cienie.

Było już prawie zupełnie widno i z podnieceniem ujrzelśmy w sieci niejednego, lecz dziesięć nietoperzy. Popadliśmy, mówiąc łagodnie, w stan uniesienia, bo chyba wszyscy w skrytości ducha uważaliśmy, że mamy nikłe szanse schwytania jakiegokolwiek okazu.

Nietoperze wisały nieruchomo, a ponieważ nie szamotały się ani nie panikowały, postanowiliśmy zaczekać, aż złapie się ich więcej, i dopiero potem je uwolnić. Przez następne pół godziny na polanie pojawiło się kilkanaście nietoperzy, były jednak zbyt ostrożne i fruwały za wysoko, żeby wpaść w sieć. W końcu stało się oczywiste, że więcej okazów nie złapiemy, przygotowaliśmy zatem koszyki i zajęliśmy się wyplątywaniem tych, które już mieliśmy.

Najpierw sprawdziliśmy ich pleć. Ku naszej irytacji, wszystkie okazały się samcami. Z bliska wyglądały jeszcze piękniej niż z daleka: miały jaskrawe, kasztanoworude grzbiety i połyskliwe, złociste łopatki i brzuchy. Smolście czarne skrzydła były delikatne i miękkie jak ircha. Zabawne, okrągłe złociste pyszczki o jasnych, słomkowożółtych ślepkach upodabniały stworzenia do dziwnych, oburzonych, miniaturowych, latających pluszowych misiów. Cienkie siatki doskonale spełniły swe zadanie i omotały zawiłą płataniną delikatne skrzydła każdego z nietoperzy. Po piętnastu minutach bezskutecznych prób uwolnienia jednego skrzydła daliśmy za wygraną i po prostu ponacinaliśmy sieci. Musieliśmy przy tym bardzo uważać, aby nie przeciąć ani nie naderwać cienkiej błony, a jednocześnie staraliśmy się jak najmniej uszkodzić sieć.

Było to trudne zadanie, którego bynajmniej nie ułatwiały nam rozzłoszczone nietoperze, wykorzystujące każdą okazję, by zatopić ostre jak igły ząbki w czyimś nieostrożnym palcu.

W końcu jednak udało nam się oswobodzić wszystkie, nie niszcząc zanadto sieci, i umieścić bezpiecznie w osobnych koszykach. Później zajęliśmy się znużoną naprawą naszej pułapki i ponownym rozwieszaniem jej między drzewami. Tymczasem przybyli dwaj pomocnicy ze służb leśnych, aby rozpocząć dzienną zmianę, i niezmiernie ich ubawiła nasza opowieść o zawaleniu się szałasów i ślimakach pożeraczach kanapek. Zabrali się do odbudowywania naszego bananowego schronienia, my zaś obiecaliśmy, że wrócimy wieczorem, i tryumfalnie zawieźliśmy zdobycz do Port Mathurin.

Miejscowa szkoła z niesłychaną szczodrością zaoferowała nam, jako pomieszczenie dla nietoperzy, świeżo odnowioną klasę, niezajętą dotychczas przez żadnych wiedzy młodych ludzi. Sala miała mniej więcej dziesięć na dwadzieścia stóp, była świeżo odmalowana i – naszym zdaniem – doskonale się nadawała do trzymania w niej nietoperzy. Wypełniliśmy ją gałęziami i rozlicznymi plecionkami z drutu, na których zamierzaliśmy umieścić najrozmaitsze owoce przywiezione z Mauritiusa. Ustaliliśmy, że wypuścimy schwytane samce, żeby sobie fruwały po pokoju, wszystkie ewentualne samice natomiast będziemy trzymali w koszykach. Aby nie posądzono mnie o męski szowinizm, śpieszę wyjaśnić, że ta pozorna dyskryminacja wynikała wyłącznie z faktu, iż samice były dla nas o wiele cenniejsze niż samce i należało się z nimi obchodzić bardzo troskliwie.

Późnym popołudniem wróciliśmy na polanę i dołączyliśmy do naszych dwóch wiernych obserwatorów. Wspięliśmy się na zbocze w gasnącym zmierzchu i zaczęliśmy obserwować kolonię. Nietoperze prawie się nie poruszały, choć drzemały nerwowo i często zmieniały pozycję – bardzo zwinnie przemykając wśród gałęzi i korzystając z pazurów u góry skrzydeł. Od czasu do czasu któryś wzbijał się w powietrze i szybował leniwie nad polaną, a potem wracał do swego siedliska wśród drzew. Cała kolonia zachowywała się bardzo cicho; chwilami, gdy któryś z nietoperzy ulokował się za blisko śpiących pobratymców, wybuchała sprzeczka, lecz były to rzadkie wypadki.

Znalazł się jednak w stadzie osobnik wyjątkowo hałaśliwy: pulchny maluch, któremu nadaliśmy imię Ambroży. Matka dopiero co odstawiła go od piersi i bardzo mu się to nie podobało. Choć niemal dorównywał jej rozmiarami, trudno mu było pojąć, dlaczego nie może czepiać się jej jak zawsze i ssać, ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Stanowcza postawa matki pobudzała go do przerażających wybuchów gniewu i rozdrażnienia. Ścigał swą nieszczęsną rodzicielkę z gałęzi na gałąź, skrzecząc, kwiląc i usiłując przyciągnąć ją do siebie pazurkami przednich kończyn, a po każdej nieudanej próbie wydawał donośne, pełne frustracji okrzyki. Okropny ten jazgot przycichał jedynie wówczas, gdy wyczerpana nerwowo samica odlatywała i przysiadła na nieco dalej rosnącym drzewie. Ambroży milkł na krótką chwilę, zbierając się na odwagę, by pofrunąć za matką. Wreszcie dołączał do niej – i zaledwie ochłonął po podróży, znowu zaczynał lamentować i dokuczać.

– Co za paskudne stworzenie – zauważyła Ann. – Gdybym miała takie dziecko, tobym je zamordowała.

– Warto by go wysłać do prywatnej szkoły z internatem – orzekł trzeźwo John.

– Prędzej do poprawczaka – zasugerowała Ann.

– Mam tylko nadzieję, że jakimś pechowym zbiegiem okoliczności nie zapłacze się w nasze sieci – powiedziałem. – Gdybyśmy go złapali, niewątpliwie go wypuścimy, nawet jeżeli jest samicą.

– No jasne – zgodził się John. – Wyobraź sobie, że musiałbyś słuchać tego skrzeczenia od rana do nocy.

Gdy zapadł zmrok, przenieśliśmy się do naszego szałasu z bananowych liści i spędziliśmy tam noc w towarzystwie natarczywych ślimaków, kilku milionów komarów oraz paru dużych i wojowniczo nastawionych krocionogów. Szczur się nie pojawił – przypuszczam, że pozostał w swej norze, przeżywając załamanie nerwowe. Rano okazało się, że złapaliśmy jeszcze dwa nietoperze, które – ku naszej radości – były płci żeńskiej. Uwolniliśmy je i przetransportowaliśmy ostrożnie do sali klasowej, w której rozgościły się schwytane poprzednio okazy. Całą podłogę pokrywała gruba warstwa guana i wszędzie poniewierały się owoce.

Mieliśmy zamówione bilety lotnicze na Mauritius na drugą następnego dnia, co oznaczało, że musimy odłowić wszystkie potrzebne nam okazy wczesnym rankiem. Sytuacja była zatem krytyczna – lecz w zielonkawym świetle brzasku odkryliśmy z ulgą, że udało nam się schwytać trzynaście nietoperzy, wśród których znalazły się tak nam potrzebne samice. W sumie złapaliśmy dwadzieścia pięć nietoperzy; zamierzaliśmy wypuścić siedem samców. Po wypłataniu z sieci i umieszczeniu w koszykach trzynastu okazów po raz ostatni wspięliśmy się skalistą ścieżką tuż nad Gołębią Kaskadą. Przez cały czas słyszeliśmy błagalne wrzaski Ambrożego. Ten nietoperz z pewnością nie zamierzał ginąć wraz ze swym gatunkiem!

Po powrocie do szkoły musieliśmy zbadać wszystkie samce i podzielić je na starsze i młodsze, aby nasze kolonie miały odpowiednie proporcje wiekowe. Następnie zgromadziliśmy razem nadprogramowe samce i wywieźliśmy je za miasto, nad Gołębią Kaskadę, aby je tam wypuścić. Zatrzymaliśmy się w dość wysoko położonym punkcie widokowym i stamtąd podrzucaliśmy nietoperze, jednego po drugim, wysoko w powietrze. Wszystkie skierowały się w stronę kolonii w głębi doliny. Dał akurat dość silny wiatr i zauważyliśmy – interesujące spostrzeżenie – że nietoperze miały przez to dużo kłopotu i często przysiadły na drzewach, żeby odpocząć. Zastanawialiśmy się, jak dałyby sobie radę podczas cyklonu trwającego trzy do czterech dni, a nawet tydzień.

Umieściliśmy nasze okazy w osobnych koszykach i tak zawieźliśmy na lotnisko. Urząd imigracyjny i policja pożegnały nas radosnym machaniem, gdy ładowaliśmy do samolotu

osobliwy bagaż. Wystartowaliśmy z pylistego pasa, sunąc tuż nad rafą. Z żalem opuszczałem Rodrigues – tę czarującą i niezepsutą wyspę. Miałem nadzieję, że długo taka pozostanie – gdyż z chwilą odkrycia jej przez turystów spotkałby ją ten sam los, co wiele innych pięknych miejsc na ziemi.

Po powrocie na Mauritius wpuściliśmy nietoperze do przygotowanej przez Dave’a ptaszarni w Black River. Zwierzęta doskonale zniosły podróż i od razu zadomowiły się w ptaszarni, zwisając z drucianego pułapu, popiskując cicho do siebie i okazując spore zainteresowanie zgromadzoną przez Dave’a żywnością. Podekscytowani sukcesem, wróciliśmy do hotelu, wzięliśmy kąpiel i udaliśmy się na kolację. W porze deseru Horacy zapytał, na co mam ochotę.

– A co proponujesz? – spytałem, postanawiając nie dać się podejść, jak to było w przypadku homarów.

– Mamy smaczne owoce, sir – odparł.

Zmierzyłem go spojrzeniem. Nie wydawało się, aby stroił sobie ze mnie żarty.

– Jakie? – zapytałem.

– Piękne dojrzałe dzaki – wyjaśnił z entuzjazmem.

Zamówiłem ser.

V

Zaczarowany świat

Za oszklonymi drzwiami hotelowego salonu rozpościerała się przestronna i chłodna weranda. Schodziło się z niej prosto w trawę, między wysokie kazuaryny, które wzdychały w podmuchach wiatru niczym kochankowie. Około dwudziestu jardów dalej zaczynała się rozległa biała plaża, ozdobiona poszarpanym naszyjnikiem z koralami i różnobarwnych muszli, falującym wzdłuż morskiego wybrzeża. Za nim leżała rafa, skąpana w białej pianie fal i przechodząca w pyszny błękit Oceanu Indyjskiego. Między białą plażą, upstrzoną kruchymi odłamkami koralu, a rafą pokrytą falującymi bruzdami piany rozciągała się laguna. Półmilowy zbiornik szafirowej wody, gładkiej jak mleko w spodku i brylantowo przejrzystej, kryjącej zaczarowany świat, niepodobny do niczego innego na ziemi.

Każdy przyrodnik, który ma szczęście podróżować, doświadcza w pewnych chwilach uczucia przemożnego zachwytu nad pięknem i złożonością życia, a zarazem uczucia przygnębienia na myśl, iż tak wiele jest do obejrzenia, zbadania i poznania, że jedno ludzkie życie to zdecydowanie za krótki okres, jak na ów bezmiar tajemnic, z których składa się świat. Doznajesz tych uczuć, kiedy po raz pierwszy widzisz piękno, różnorodność i bujność tropikalnej puszczy z jej katedralnym labiryntem tysiąca rozmaitych drzew, ozdobionych całymi ogrodami orchidei i epifitów i oplecionych siecią pnączy; zespolenie tak wielu gatunków, że aż trudno uwierzyć, iż ewolucja mogła ukształtować taką obfitość form. Doznajesz tych uczuć, gdy patrzysz po raz pierwszy na wielkie skupisko żyjących stadnie ssaków albo na niezliczone, ruchliwe stada ptaków. A także gdy widzisz motyla wyłaniającego się z poczwarki bądź larwę ważki podczas wylinki; gdy obserwujesz subtelne i zróżnicowane obyczaje godowe, rytuały i tabu, które służą przetrwaniu gatunku. I gdy po raz pierwszy zauważasz, jak patyk czy listek zmieniają się nagle w owada, a cętkowane cienie w tabun zebr. I gdy patrzysz na olbrzymie, ciągnące się jak okiem sięgnąć stado delfinów, które kołyszają się i skaczą dziarsko pośród falistych łąk swego błękitnego świata; albo na mikroskopijnego pajęczka, który wysnuwa ze swego kruchego odwłoka przezroczystą, niekończącą się nić, aby wyruszyć na niej w napowietrzną podróż i odkrywać rozpościerające się wokół, niezmierzone przestrzenie.

Ale czymś, czego każdy przyrodnik powinien doświadczyć przed śmiercią i co chyba przewyższa wszystko inne, jest zdumiewające i napełniające pokorą uczucie, które towarzyszy badaniu rafy koralowej. Człowiek ma wówczas wrażenie, że nie tylko korzysta z wszystkich znanych sobie zmysłów, ale także odkrywa dodatkowe. Staje się rybą – słyszy, widzi i żeruje jak ona, o tyle, o ile jest to dostępne ludzkiej istocie; a zarazem czuje się ptakiem szybującym i pikującym nad podmorskimi lasami i pastwiskami.

Poznałem przedsmak tego fantastycznego doświadczenia podczas pobytu na Wielkiej Rafie

Koralowej u wybrzeży Australii – lecz, niestety, mieliśmy tylko maski, żadnych fajek do nurkowania, a moja maska przepuszczała wodę. Słowo „fascynujący” jest w tym wypadku zbyt powściągliwe – bo pode mną rozpościerał się czarodziejski, wielobarwny świat, na który mogłem jedynie zerknąć, a długość owych zerknięć zależała od tego, na jak długo potrafię wstrzymać oddech i kiedy moja maska napełni się wodą. Migawki z podwodnego świata, które zdołałem zobaczyć, poruszyły mnie do głębi i wywarły niezapomniane wrażenie, dlatego postanowiłem przy pierwszej nadarzającej się okazji powtórzyć to doświadczenie, tym razem z odpowiednim ekwipunkiem. Sposobność pojawiła się na Mauritiusie, ponieważ mieszkając w hotelu „Le Morne Brabant”, miałem lagunę wraz z przyległą rafą dosłownie za drzwiami. Blżej mogłaby się znaleźć tylko wtedy, gdybym wstawił do niej łóżko.

Pierwszego ranka zaparzyłem sobie imbryk herbaty i wyniosłem go na werandę razem z niedużym, słodkim maurytyjskim ananase. Usiadłem i posilając się, obserwowałem przybijające do brzegu łódzie, którymi sterowali przystojni, bystroocy, długowłosi rybacy o kolorach skóry obejmujących wszelkie odcienie od miedzianego po smoliście czarny, ubrani w jaskrawe stroje, zaćmiewające barwami kwiaty bugenwilli i hibiskusa w ogrodzie. Każda łódź załadowana była po burty śnieżnobiałymi odłamkami koralowców, nakrapianymi porcelankami i muszlami o stożkowatych kształtach. Z kijków przymocowanych do nadburci zwisały naszyjniki z drobniutkich muszelek, mieniać się tęczowym blaskiem. Słońce wynurzyło się właśnie zza gór po drugiej stronie hotelu. Nadało niebu i horyzontowi bladoniebieski odcień; ozłociło pulchne białe obłoczki, płynące po niebie leniwą flotyllą; roziskrzyło białą pianę nad rafą i zabarwiło spokojną lagunę przejrzystym szafirem.

Zaledwie usiadłem na werandzie, cały mój stół zajęły ptaki, chętne do podzielenia się ze mną śniadaniem. Znalazły się wśród nich szpaki o schludnym, czarno-brązowym upierzeniu i ciemnożółtych oczach i dziobach; śpiewające zięby, których samiczki były zielonkawo-żółte, samczyki natomiast cytrynowo-czarne; oraz czarno-białe bulbule z pięknym czerwonym puchem wokół dziobów i ogonów. Napily się mleka z dzbanuszka, uznały, że herbata jest za gorąca, i przysiadły, popatrując tęsknie na mój owoc. Wydłubałem resztki soczystego miąższu pomiędzy twardych łusek ananasa i wyłożyłem na stół, gdzie natychmiast zniknęły pod trzepoczącą, rozwrzeszczaną ptasią nawałą.

Dopiłem herbatę, zabrałem maskę i fajkę i powoli zszedłem nad morze. Gdy wkroczyłem na piaszczystą plażę, „kraby-duchy” (tak przezroczyście, że ilekroć zamierały w bezruchu, stawały się niewidoczne) umknęły po falach, chroniąc się w norach. Morze lizało łagodnie obrzeże laguny – jak kociak chłepczący ostrożnie mleko ze spodeczka. Wszedłem po kostki do wody, która miała temperaturę letniej kąpieli.

Piasek wokół moich stóp pokrywały przedziwne ozdoby, które wyglądały jak wydeptane na płytkim dnie setki odcisków w kształcie rozgwiazd. Leżały jedna obok drugiej, niczym

dziwaczna, piaszczysta konstelacja. Największy z okazów mierzył około stopy, najmniejszy zaś był wielkości spodeczka.

Zaciekawiony tymi osobliwymi piaskowymi rozgwiazdami, wykopałem pod jedną z nich dołek, wierząc go dużym palcem u nogi. Stworzenie wypłynęło z nory i przez chwilę kierowało się ku górze, zrzucając cienką warstwę piasku i odsłaniając krzepkie bladoróżowe macki, poznaczone gęsto białawymi i czerwonymi plamkami. Rozgwiazdy te sprawiały wrażenie miękkich i aksamitnych, jak gwiazda umieszczona na czubku choinki, lecz w dotyku okazywały się twarde i szorstkie. Ta, którą tak brutalnie wykopałem z piaszczystej kryjówki, wykonała kilka leniwych obrotów w przejrzystej wodzie i opadła na dno, lądując na grzbiecie. Miała błądy, kremowożółty brzuch, a wzdłuż każdego ramienia biegła głęboka pręga, przypominająca rozpięty zamek błyskawiczny. W tym rowku kryły się niezliczone odnóża – mikroskopijne macki, nieprzekraczające czterech milimetrów, zakończone spłaszczonymi przysawkami. Rozgwiazda posługiwała się każdą kończyną oddzielnie, przez co macki kurczyły się i wyciągały w poszukiwaniu powierzchni odpowiedniej dla przysawek.

Moja rozgwiazda, nie natrafiwszy na żadne podłoże i przekonawszy się zapewne, że leży na plecach, podwinęła najdalej wysunięte ramię pod siebie. Znalazła oparcie i cofnęła odnóże, zwinnie i bez wysiłku. Jednocześnie wciągnęła cztery symetrycznie rozmieszczone kończyny i zaczęła powoli i łagodnie dryfować ku górze. Ramiona wyrastające po drugiej stronie kurczyły się i prostowały niczym ludzkie palce – i niebawem rozgwiazda przybrała położenie pionowe, podpierając się usztywnionym trójkątem. Przeciwną część kończyn rozpostarła się szeroko, a reszta tułowia popłynęła za nimi z powolnym wdziękiem jogina, osiagającego po długich próbach stan najwyższej ekstazy. Ciało rozgwiazdy odwróciło się brzuchem do góry; gdyby zechciała poruszyć mackami, mogłaby odwrócić się na brzuch. Jej subtelne, niespieszne ruchy mogłyby doprowadzić do łoża cały zespół baletowy.

Tymczasem w pewnej chwili rozgwiazda wykonała numer, którego nie potrafiłaby powtórzyć nawet najbardziej utalentowana primabalerina. Leżące na piasku stworzenie po prostu zniknęło. Zapadło się na moich oczach, pozostawiając po sobie nikły ślad niczym uśmiech kota z Cheshire – mętny zarys, sugestię rozgwiazdy odcisniętej na piasku. Rozgwiazda, rzecz jasna, trwała w bezruchu – lecz tymczasem jej ruchliwe, niewidoczne odnóża wkopywały się w piasek i po chwili zniknęła, obsypana białymi drobinami. Cały proces odkopywania i wkopywania zajął nie więcej niż dwie minuty.

Zanurzyłem się w lagunie, zamierzając wypłynąć na głębokie wody, lecz spędziłem pięć minut obserwując kraby, pięć dalszych podziwiając bogactwo rzeczy przyniesionych przez przyływ, dwie zaś stojąc po kostki w wodzie i przyglądając się rozgwieżdzie, która najwyraźniej przewodziła innym i osiągała etap piaszczystej nirwany. W tym czasie rybacy, którzy obsiedli łodzie niczym barwne papugi, obserwowali mnie z tym samym żywym

zainteresowaniem, które sam okazywałem, wypytując o historię wyspy. Ukrywali jednak swą ciekawość i nie próbowali mnie nachalnie nagabywać, jak to się zdarzało w innych krajach. Byli zbyt uprzejmi, aby tak się zachowywać. Pomachałem do nich, a oni odmachali mi z szerokim uśmiechem.

Postanowiwszy nie dać się ponownie zwieść na manowce, wszedłem po pas w morską wodę, włożyłem maskę i zanurzyłem się w morską toń, aby zmoczyć głowę i plecy i uchronić je choć trochę przed słońcem, które mimo wczesnej pory przygrzewało mocno. Za ledwie maska znalazła się pod powierzchnią wody, morze zniknęło – a ja spoglądałem na własne stopy, które znalazły się nieoczekiwanie w podmorskim świecie.

Od razu wyleciało mi z głowy, że miałem popłynąć na głębszą wodę, gdyż otoczył mnie świat wyjęty żywcem z fantastycznonaukowej powieści o Marsjanach. Tuż u moich stóp spoczywało sześć czy siedem dużych, spłaszczonych jeżowców, podobnych do pogrążonych w zimowym śnie jeży, w których kolce zaplątały się wodorosty i fragmenty koralu, przez co – dopóki człowiek nie przyjrzał się im bliżej – przypominały ciemne, oplecione wodorostami kawałki lawy. Między nimi na piasku leżały dziwaczne, węzowate stwory. Mierzyły około czterech stóp długości i cztery cale szerokości. Z wyglądu przypominały dziwaczne podmorskie odkurzacze ze złączami umieszczonymi co trzy cale, zbudowane z półprzezroczystego, wilgotnego brązowego papieru, na którym rosły tu i ówdzie jakieś włochate grzybki.

W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć, że te niesamowite istoty są żywymi organizmami. Pomyślałem, że muszą to być pasma jakichś dziwnych obumarłych wodorostów z morskiej głębin, wyniesionych przez fale na mieliznę, aby przewalały się i falowały bezradnie na piasku, kołysane lekkimi ruchami morza. Bliższe oględziny dowiodły jednak, iż – choć na to nie wyglądają – są żywe. *Sinueta muculata*, jak nazywa się tego osobliwego stwora, jest w istocie czymś w rodzaju wydłużonej rury, która z jednej strony wsysa wodę razem z mikroorganizmami, z drugiej zaś ją wydala.

Oprócz tych okazów dostrzegłem wylegujących się spokojnie na morskim dnie starych znajomych – morskie ślimaki nagie, które pamiętałem z dzieciństwa spędzonego w Grecji: tłuste, pokryte naroślami, długie na stopę stworzenia, przywodzące na myśl wyjątkowo ohydny gatunek wątrobianki. Wziąłem jednego ślimaka do ręki; był lekko pokryty śluzem, lecz w dotyku sprężysty, trochę jak sparciała skóra. Wyciągnąłem go z wody, a on zachował się zupełnie tak samo, jak jego śródziemnomorscy krewniacy. Z dużą siłą wypuścił strumień wody i zwiotczał w mojej dłoni. Wykorzystawszy tę formę obrony, spróbował następnej. Wydalił nagle strumień białej substancji, podobnej do płynnego lateksu i niewiarygodnie lepkiej: najmniejsza kropla przywierała do ludzkiej skóry mocniej niż taśma klejąca.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest to raczej nieskuteczne działanie obronne, ponieważ ów kleisty roztwór, przypominający roztopioną gumę, przyciągnąłby tylko atakującego wroga

blżej celu. Wydawało się jednak mało prawdopodobne, aby tak prymitywne stworzenie wykształciło równie skomplikowaną broń, gdyby nie miała spełniać koniecznej funkcji. Wypuściłem ślimaka, który opadł na dno i przetoczył się miękko na piasek, powracając do wesołego, aktywnego i bogatego w doświadczenia życia ślimaków morskich, polegającego na wsysaniu wody jednym końcem i wydalaniu jej drugim, czemu towarzyszy wieczne kołysanie się wśród fal.

Niechętnie oderwałem uwagę od stworzeń znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie moich stóp i wyruszyłem na wyprawę badawczą. Owa pierwsza chwila, kiedy człowiek się odpręża i dryfuje twarzą w dół, a woda widziana przez szybę maski wydaje się znikać, jest zawsze zaskakująca i niesamowita. Stajesz się nagle jastrzębiem, szybującym nad lasami, górami i piaszczystymi pustyniami podmorskiego wszechświata. Czujesz się jak Ikar, gdy słońce grzeje cię w plecy, a pod tobą rozwija się niczym mapa wielobarwny świat. Choć dryfujesz zaledwie o kilka stóp nad tym gobelinem, dźwięki dobiegają cię stłumione, jak gdyby z odległości tysiąca stóp w nieruchomym powietrzu, jak odgłosy życia z maleńkich niczym zabawki farm i wiosek u stóp góry, nad którą zawisłeś. Skrobanie trącej o koral jaskrawej papugoryby; pomruki, popiskiwanie i poskrzypywanie setek ryb, z oburzeniem broniących swego terytorium przed napastnikami; cichy szmer piasku poruszanego przez fale albo prądy morskie; szum podobny do szelestu tysiąca krynolin. Te i wiele innych odgłosów płynie ku tobie z dna morza.

Piaszczyste dno było początkowo płaskie, zasłane śladami minionych sztormów i huraganów: złogami koralowców, pokrytymi teraz płataniną wodorostów i dającymi schronienie milionowi organizmów, oraz kawałkami pumeksu. Na piasku leżały całe gromady wielkich czarnych jeżowców o długich, cienkich kolcach, które poruszały się nieustannie niczym igły kompasu. Gdy się któregoś dotknęło, łagodnie falujące kolce zaczynały nagle wywijać wokół coraz szybciej, niczym oszalałe druty do robótek. Były nie tylko ostre, ale również bardzo kruche i łamały się, przebijając ludzką skórę. Ponadto plamiły miejsce ukłucia, tak że wyglądało jak po maleńkim zastrzyku z tuszu.

Choć jeżowce wydawały się czarne, światło słońca ukazywało ich prawdziwą barwę, czyli piękny ciemny błękit i zielone nasady kolców. Był to na szczęście gatunek widoczny z daleka dzięki swemu efektownemu wyglądowi i choć niektóre jeżowce kryły się w szczelinach i pod koralowymi nawisami, większość leżała na piasku, pojedynczo lub w kolczastych grupach, i łatwo dawała się dostrzec.

Zobaczyłem między nimi kolejne rurowate stwory oraz morskie ślimaki. Te należały jednak do innego gatunku. Były bardzo duże – część z nich mierzyła osiemnaście cali – cętkowane i żółtawozielone. Wydawały się również o wiele gładsze i grubsze niż ich czarni krewniacy – większość miała ze cztery czy pięć cali średnicy. Zanurkowałem głębiej, aby podnieść jedno z tych mało wyrazistych i niezbyt urodziwych stworzeń. Kiedy wypływałem z nim na

powierzchnię, trysnął najpierw wodą, jak zwykle, po czym – przekonawszy się, że nadal trzymam jego tłuste ciało w mocnym uchwycie – wydzielił swój lepki kauczuk.

Zdumiało mnie, jak widowiskowo wyglądało to pod wodą. Gdy ślimak używał tego ostatecznego środka odstraszającego w powietrzu, wydzielina stanowiła po prostu coś w rodzaju galaretowatej, białej, lepkiej strugi, ale w wodzie było to zupełnie odmienne, piękne zjawisko. Substancja okazała się złożona z pięćdziesięciu lub więcej osobnych pasemek, grubości cienkiego spaghetti i długości około ośmiu cali. Jeden koniec pozostawał przyczepiony do ślimaka, podczas gdy włókienka na drugim końcu wyginały się i falowały, przypominając delikatną białą fontannę. Nie wiem, czy te nitkowane twory mogły parzyć albo nawet paraliżować drobne rybki. Człowiek nie czuł nic ani nie doznawał żadnego podrażnienia skóry, dotykając włókienek, lecz niewątpliwie te wdzięcznie rozpostarte macki stwarzały dla wrogów znacznie większe niebezpieczeństwo, niż mi się przedtem wydawało.

Popłynąłem dalej – i nieoczekiwanie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znalazłem się pośrodku sporej ławicy ryb o niezwykłym wyglądzie. Było ich mniej więcej pięćdziesiąt; każda mierzyła około trzech, może czterech stóp długości i miała neutralny, przejrzyste szary kolor, przez co stawała się prawie niewidoczna. Ich pyszczki i ogony były wydłużone niemal w szpic, dlatego nie bardzo się dawało stwierdzić na pierwszy rzut oka, w którą stronę się zwracają; wyjaśniły to dopiero ich okrągłe, dość głupkowate ślepia, gapiące się na mnie podejrzliwie. Ryby najwyraźniej robiły przedtem coś, co wymagało wysiłku, i były teraz wyczerpane. Trwały nieruchomo, jakby zawieszane w wodzie, zwrócone pyszczkami pod prąd, medytując. Były bardzo zdyscyplinowane, gdyż wisiały w wodzie szeregami, niczym rzetelnie wymusztrowani, acz nieco mizerni żołnierze. Z zainteresowaniem zauważyłem, że ustawiły się w równych odstępach, jak oddział wojska podczas parady: taka sama odległość dzieliła jedną rybę od drugiej, znajdującej się przed nią, a także pod nią, nad nią i po bokach. Moje nieoczekiwane przybycie wywołało pewną panikę w szeregach, jak gdyby ktoś pomylił krok podczas parady w Dniu Zwycięstwa, i ryby pierzchły zmieszane. Odplłynawszy ode mnie na dostateczną odległość, na nowo uformowały szyk, zwróciły się w stronę fali pływowej i zapadły w swój trans.

Zostawiłem je i popłynąłem dalej, patrząc z zachwytem na piaszczyste dno, porysowane szerokimi, słonecznymi pręgami, w których – za przyczyną jakiejś optycznej alchemii – migotały drżące złociste kółka. Wtem zamajaczył przede mną mętny kształt, który po chwili przybrał postać pokaźnej skały, o rozmiarach mniej więcej dziewięciu stóp na trzy, przypominającej z wyglądu kopułę katedry Świętego Pawła. Z bliska zobaczyłem, że całą bryłę pokrywają różowe, białe i zielonkawe korale, a na czubku tkwią cztery wielkie, jasnobrązowe ukwiały, przyczepione doń niczym kwiaty do olbrzymiego, wielobarwnego czepka.

Dopłynąłem nad tę fascynującą skałę i – aby nie dać się unieść fali pływowej – złapałem

wystający kawałek koralowca, zbadawszy najpierw uważnie, czy za nim, pod nim albo w środku nie kryje się jakieś groźne stworzenie. Postąpiłem bardzo rozsądnie, ponieważ po chwili, gdy moje oczy przyzwyczyły się do otoczenia, dostrzegłem przyczajoną o stopę od mojej ręki, prawie niewidoczną wśród wodorostów w koralowej grocie, dużą i pięknie ubarwioną skrzydlicę, której kolce grzbietowe mogły boleśnie poranić, a nawet – choć rzadko – spowodować śmierć, gdyby się ich nieostrożnie dotknęło. Miała około siedmiu cali długości, wydatny pysk o nadąsanej minie i ogromne czerwone oczy. Jej podstawowymi kolorami były różowy i pomarańczowy, w czarne pasy, smugi i cętki. Znacznie wydłużone płetwy piersiowe przypominały dwie różowe dłonie o wąskich palcach, wyrastające tuż spod skrzel. Wzdłuż grzbietu biegł rząd szkarłatnych kolców, kryjących w sobie śmiertelne zagrożenie. Była to naprawdę efektowna ryba i gdy się ją już dostrzegło, lśniła niczym wielki klejnot; dopóki jednak nie poruszyła się lekko, wzorzysta szata umożliwiała jej wtopienie się w tło. Zdając sobie sprawę, że została zauważona, zafalowała delikatnie szerokimi płetwami i odplynęła niespiesznie za skałę. Choć było to piękne stworzenie, wołałem, aby nie znajdowało się aż tak blisko mnie.

W ukwiałach i między nimi kręciły się urocze amfipriony, mierzące około trzech cali, jaskrawopomarańczowe w szerokie śnieżnobiałe pasy. Te nieduże rybki żyją w symbiozie z ukwiałami. Przebywają wśród parzących czułek, które zdolne są uśmiercić inną rybę, a dla amfiprionów stają się czymś w rodzaju domu, potężną fortecą, dającą schronienie na wypadek niebezpieczeństwa. W zamian za tę ochronę rybka oddaje ukwiałowi na obiad część swego pożywienia. Skąd i w jaki sposób powstał ów osobliwy związek, trudno dociec. Pozostaje zagadką, jak ukwiały, którym raczej nie można przypisać błyskotliwej inteligencji, potrafiły ocenić użyteczność amfiprionów i powstrzymać się od chwytania ich.

Tu i ówdzie, wciśnięte głęboko między korale, tkwiły duże małże. Widać było tylko brzegi ich żłobkowanych muszli, spomiędzy których wystawały fragmenty ich płaszczy, przez co przypominały wydatne, niebieskozielone, opalizujące i uśmiechnięte usta. Mięczaki te, mniej więcej rozmiarów orzecha kokosowego, były naturalnymi krewniakami słynnego małża olbrzymiego – przydaczni – spotykanego w dalszych rejonach rafy. Jego gigantyczna muszla dochodziła do trzech stóp średnicy i osiągała wagę dwustu funtów. Napisano wiele mrozących krew w żyłach opowieści o niefortunnych nurkach, którzy niechcący wsunęli nogę w taką muszlę, muszla zaś zatrzasnęła się natychmiast niczym paści (jak u wszystkich małży w chwili napięcia), skazując nurka na śmierć przez utopienie. Nie istnieją potwierdzone świadectwa takiego zdarzenia, aczkolwiek jest to, oczywiście, całkiem prawdopodobne, ponieważ muszla może się nagle zamknąć, a jeżeli nurek nie ma przy sobie noża, aby rozciąć potężny mięsień, działający jednocześnie jak zawiasy i zatrask, brzegi stanowią przeszkodę nie do ruszenia, niczym zamkowa brama. U tych bogato ubarwionych małży można również zaobserwować ciekawy przypadek symbiozy, gdyż na ich mieniącym się płaszczy żyją małe, jednokomórkowe

glony o wdzięcznej nazwie zooksantella. Owe mikroskopijne istoty żywią się drobinami pokarmu wchłanianego przez małża, a w zamian dostarczają mu dodatkowych porcji tlenu. To trochę tak, jakby płacić za chleb powietrzem, co chętnie by robiła większość z nas.

Przeniosłem się na drugą stronę skały, starannie sprawdzając miejsce pobytu skrzydlicy, i natrafiłem na kolejny przykład symbiozy. Zobaczyłem niewielką ławicę kolorowych ryb, złożoną z koster oraz trzech kanarkowożółtych cyrulików, zwanych też rybami chirurgami. Kostery były wręcz niesamowite. Ten akurat gatunek mierzył nie więcej niż trzy cale i był pomarańczowy w regularnie rozsiane czarne kropki; zdumiało mnie jednak nie tyle ubarwienie, ile dziwny kształt stworzenia, gdyż przypominało kwadratowe pudełko z ości, z którego przez otwory wyrastają płetwy, odbyt, oczy i wargi. Oznacza to, że ogon musi się obracać jak śruba okrętowa. Ów sposób poruszania się, połączony z dużymi, okrągłymi, wiecznie zdziwionymi, wyłupiastymi oczyma, kwadratową sylwetką i równo rozmieszczonymi kropkami, czyni z tej ryby jedną z najosobliwszych mieszkańek rafy.

Cyruliki były zupełnie inne. Ich żółte ciała miały księżycowaty kształt, łby były mocno wysklepione, a długie pyszczki przypominały świńskie ryje. Nazwa wzięła się od dwóch ostrych, podobnych do skalpeli wyrostków tuż ponad ogonem. Niebezpieczna ta broń chowała się w niewidocznych rowkach niczym ostrze scyzoryka.

Obydwa gatunki ryb były fascynujące, lecz jeszcze ciekawsze wydawało się to, co się z nimi dzieje. Dwa cyruliki zawisły tuż obok skały, w stanie bliskim transu, podczas gdy kostery śmigały tam i z powrotem niczym dziwaczne pomarańczowe łódki, od czasu do czasu zamierając w bezruchu. Między nimi zaś uwijały się trzy gibkie, małe babki, ozdobione jaskrawym, jasno i ciemnoniebieskim deseniem. Były to rybki czyszciciele, które pracowicie obsługiwały swoich trzech klientów, przypadając do nich i wyskubując pasożyty z ich skóry, a następnie odstępując, by podziwiać swe dzieło – trochę jak zniewieściały fryzjer, który ocenia świeżo ułożoną koafiurę. Później, w okolicach głównej rafy, widywałem całe kolejki ryb, oczekujących aż zwolni się miejsce w zakładzie fryzjerskim, a tymczasem mali błękitni fryzjerczykowie dwouili się i troili, żeby nadażyć z robotą.

Wszystko, co oglądałem, pochłonęło mnie bez reszty – gdyż każdy cal tego, co potem nazywaliśmy czule „kopułą Świętego Pawła”, pokrywały maleńkie ukwiały, wachlarzowate gorgonie, liliowce, krewetki, kraby oraz mnóstwo innych organizmów – i w pewnej chwili uświadomiłem sobie, że spędziłem ponad godzinę w jednym punkcie, a mimo to nie zdołałem ogarnąć całości. Tu, na tej skale, rozkwitało nieprzebrane bogactwo natury i przyrodnik potrzebowałby dwunastu żywotów, aby w ogóle zacząć je poznawać. Wracając powoli na śniadanie, zastanawiałem się, jaka będzie rafa. Niebawem miałem się dowiedzieć. Była oszołamiająca.

Jak najszybciej postarałem się zamówić łódź i przewoźnika, który codziennie wczesnym

rankiem zabierałby nas na dwie godziny na rafę, tak by nie kolidowało to z innymi zajęciami. Po dwóch dniach przez gładką jak jedwab lagunę przepawiła się łódka, która z ciężkim westchnieniem osiadła na piasku tuż pod hotelowymi oknami. W nasze życie wkroczył Abel. Był młodym, szczupłym kreolem, miał bujne bokobrody i wąsy, szeroki, ujmujący uśmiech, typowy dla Afrykanów, oraz dziwnie chrapliwy, ostry głos. Zachorował na polio w wieku lat dwunastu, kiedy na Mauritiusie szalała epidemia tej strasznej choroby, i mimo częściowo uschniętej prawej ręki i nogi zręcznie sterował łodzią, pływał i nurkował jak ryba. Podobnie jak większość tubylców i rybaków dysponował rozległą wiedzą na temat morskich stworzeń i miejsc, w których należy ich szukać, aczkolwiek część jego wiedzy opierała się na nieścisłościach zaczerpniętych z wierzeń ludowych. Znał jednak doskonale rafę i potrafił pokazać wszystko, o co się go poprosiło, od ośmiornic po ostrygi i od podłużnych, spiczastych muszli podobnych do rogu jednorożca, usianych krwistoczerwonymi cętkami, po koralowe lasy, których po prostu nie da się opisać.

Podczas pierwszej wyprawy wyjaśnił nam, że rafa dzieli się z grubsza na pięć części. Jedna znajdowała się na obrzeżach laguny; druga była piaszczystą ławą z rozrzuconymi tu i ówdzie głazami (takimi jak „kopuła Świętego Pawła”), ciągnącą się wzdłuż brzegu wyspy; między nimi zaś rozpościerały się trzy oddzielne formacje koralowe. W każdej z nich można było zobaczyć coś innego. Pierwszego ranka Abel zabrał nas do miejsca, które nazwaliśmy Jelenim Cmentarzyskiem albo Zakątkiem Obieżyświata.

Najpierw minęliśmy pas piasku. Leżałem na maleńkim pomoście na dziobie, poranne słońce grzało mnie w plecy i wpatrywałem się w przejrzystą wodę. Na początku pojawiły się gromady ślimaków morskich i dziwaczne rurkowate *Sinueta*, potem dosłownie tysiące dużych czerwonych rozgwiazd, rysujących się widmowo pod warstewką piachu, a tuż nad nimi rozsiane gęsto tarczogwiazdy. Te ostatnie są pulchne i okrągłe niczym pudding i mają krótkie, tępo zakończone ramiona, tak iż wyglądają, jakby miały karbowane obrzeża. Są koloru żółtawopomarańczowego, całe pokryte oślizłymi, czarnymi jak węgiel stożkowatymi wyrostkami, podobnymi do kolców róży.

Stopniowo dawało się dostrzec coraz więcej koralowców, następnie zaś piasek zniknął i popłynęliśmy nad wielobarwnym perskim dywanem, utkanym z koralu i wodorostów, a przed naszą łodzią umykały ławice jaskrawych ryb. Dotarłszy do upatrzonego miejsca, Abel zgasił silnik i wyrzucił za burtę kotwicę – masywny kawał żelaza z zamocowanym pierścieniem. Łódź znieruchomiała na wodzie o głębokości jakichś sześciu stóp, tak krystalicznie czystej, że wódka wydawałaby się przy niej mętna. Pośpiesznie nałożyliśmy maski i ześliznęliśmy się w świat, który przewyższał wszystkie poetyckie opisy zaczarowanych krain, jakie człowiek kiedykolwiek czytał bądź wymyślał. Pierwszego doznania dostarczyła feeria barw: złota, purpury, zieleni, oranżu, czerwieni i wszelkich odcieni pośrednich. Zaledwie człowiek otrząsnął się ze zdumienia

nad tym różnobarwnym światem, jego uwagę przykuwały kształty. W tej części rafy dominującym gatunkiem koralowca był „jeleni róg”, dlatego wyglądała zupełnie jak rozległe cmentarzysko najwspanialszych wiktoriańskich trofeów myśliwskich, tonących w bieli i jaskrawym błękicie. Niektóre miały zaledwie parę stóp wysokości, lecz tu i ówdzie tworzyły imponujące kształty, podobne do białych i niebieskich choinek, a między ich gałęziami przepływały stadka niedużych kolorowych rybek – tak jak papugi przefruwały i pikują wśród drzew w tropikalnej puszczy. Po owym lesie rozsiane były korale „mózgowce” – jedne wielkości puddingu, inne rozmiarów fotela – a między nimi olśniewająca konfiguracja delikatnych gorgonii, miękkich koralu i wodorostów.

Nie tylko siedlisko, lecz i jego mieszkańcy zapierali człowiekowi dech w piersi i przyprawiali o zawrót głowy bogactwem barw i form. Zaciekało mnie podobieństwo tego świata do krajobrazów spotykanych na lądzie. Małe różnokolorowe rybki przemykały wśród koralowych drzew niczym stada ptaków, a poniżej ławice czarno-białych „panienek” między gorgoniami wyglądały jak zebry. Z koralowych szczelin wyłaniały się inne ryby, ciemnoczekoladowe i różowe, o dużych płetwach i wydętych, nadąsanych wargach. Aby postraszyć intruza, który wtargnął na ich terytorium, rozpościerały płetwy w podobny sposób, jak słoń rozpościera uszy, kiedy szarżuje. W cienistej głębi czaiły się niczym tygrysy jaskrawe ryby o pomarańczowo-czarnym ubarwieniu oraz smukłe rudobrazowe rybki, poruszające się ze zwinnością antylopy i gazeli. Koralowe nisze dawały schronienie jeżowcom, ciemnoniebieskim, jasnozielonym i bladoliliowym, przywodzącym na myśl uśpione jeżozwierze.

Płynąłem nad tym zaczarowanym światem, oszołomiony kolorami i osobliwością form, aż wreszcie okrążyłem las „jelenich rogów” o jaskrawoniebieskich czubkach i dotarłem do niewielkiej piaszczystej przesieki, pełnej morskich ślimaków oraz fioletowych i czarnych jeżowców. Nad nimi unosiło się około pięćdziesięciu rybek, które z czasem upodobałem sobie ponad wszystkie inne. Każda mierzyła około czterech cali i na pierwszy rzut oka – z uwagi na przybraną pozycję – wydawały się bladozielone jak liście rozkwitających limonowych drzewek; miały ten sam delikatny, piękny odcień zieleni, lecz przy tym opalizowały lekko, jak gdyby pociągnięto je lakierem. Zbliżywszy się do nich, odkryłem zadziwiające zjawisko. Zaniepokojone nieco moją obecnością, odpłynęły dalej. Gdy podążyłem za nimi, w mgnieniu oka zmieniły barwę z delikatnej zieleni na przepyszny błękit, taki, jaki widuje się na średniowiecznych malowidłach, przedstawiających Matkę Boską w niebieskich, mieniących się szatach.

Oczarowany, przepłynąłem szybko obok rybek i zawróciłem, a one błyskawicznie przybrały zielony odcień. Wyglądało to tak pięknie, że przez pół godziny nękałem nieszczęsne stworzenia, które pod wpływem słonecznego światła przechodziły z zieleni w błękit i z błękitu w zieleń. Zdumiewający efekt polegał na tym, iż obracały się równocześnie, zmieniając kolor w tej samej

chwili. W końcu, znudzone moją natarczywością, schroniły się w koralowym lesie, gdzie nie mogłem ich od razu wyśledzić i szybko straciłem je z oczu; lecz i tak pozostały dla mnie jednym z najpiękniejszych gatunków ryb zamieszkujących rafę. Wszystkie inne – purpurowe, żółte, brązowe, pasowe, pstrokate, pasiaste, cętkowane, dziwacznych kształtów i rozmiarów – były fascynujące, lecz moje „listeczki”, jak je nazwałem, gdyż pyszną się jedynie naukowym mianem *Cromiis selurialis*, stały się dla mnie żywym symbolem rafy.

Abel nie należał do osobników małomównych – przeciwnie, w sprzyjających okolicznościach potrafił być wręcz gadatliwy; lecz jeśli uznał czyjeś uwagi lub polecenia za idiotyczne, po prostu milczał.

– Ablu – mówiło się do niego surowym tonem – dzisiaj nie chcemy daleko wypływać.

Abel wpatrywał się w błękitną przestrzeń, a niewykluczone, że zapadał w trans.

– Tylko kawałek, musimy wrócić przed ósmą trzydzieści – podkreślał ktoś.

Abel obrzucał nas niewidzącym spojrzeniem.

– Słyszałeś? – wołało któreś z nas, przekrzykując warkot silnika. Pozbawione wyrazu oczy Abła umykały na chwilę w bok, po czym nadal kontemplowały horyzont. Wracaliśmy do hotelu o wpół do dziesiątej, płacąc Ablowi dwukrotnie więcej, niż zamierzaliśmy, ale warto było. Ty nie wiedziałeś, czego chcesz – a on wiedział.

Po kilku wizytach w rozkosznych lesie „jelenich rogów” Abel, nie zasięgając naszej opinii, zawiózł nas w miejsce, które nazwaliśmy potem „sklepem z porcelaną”. Wskoczyliśmy za burtę, oczekując iglastego lasu „jelenich rogów” i zdumiało nas to, cośmy zobaczyli. Korale przybierały tu postać wielkiej platformy lub misy, były brunatne i dziurkowane jak gofry. Gdzieś tam piętrzyły się w chwiejnych stertach, niczym pranie jakiegoś olbrzyma, lub tworzyły gigantyczne kandelabry bądź rokokowe fontanny, spotykane w odludnych francuskich zamkach czy włoskich willach. Ani trochę nie przypominały Jeleniego Cementarzyska, gdzie można było pływać razem z rybami, gdyż tutaj – jeśli człowiek zanadto się zbliżył – ryby znikają wśród „porcelany” i nie dało się wpłynąć tam za nimi. Należało obrać inną strategię. Człowiek po prostu dryfował powoli, niesiony prądem, i pozwalał rybom podpływać do siebie.

Tam właśnie po raz pierwszy zobaczyłem jedną z najosobliwiej wyglądających ryb – „mauretańskiego bożka”. Jeżeli czytelnik potrafi sobie wyobrazić samolot o trójkątnych, spiczastych skrzydłach, krótkim, tępo zakończonym ogonie i mocno wystającym silniku, lecący w bocznym przechyle i pomalowany w żółto-biało-czerwone pasy – uzyska przybliżony obraz tej dziwacznej ryby.

Również w „sklepie z porcelaną” otoczyła mnie nagle ławica ciemnoróżowych i pomarańczowych ryb, długich na osiem do dziesięciu cali, o wielkich, ciemnych oczach. Unosiłem się w wodzie, obserwując stojącego w pionie morskiego ślimaka i zastanawiając się, co on właściwie robi, gdy nagle dostrzegłem kątem oka przeblask czerwieni i zaraz potem

znalazłem się wśród kolorowych rybek, wykonujących leniwe ruchy, trącających mnie pyszczkami i wpatrujących się we mnie uduchowionymi czarnymi oczyma. Rozpoznałem z radością gatunek, który zawsze pragnąłem zobaczyć, a mianowicie tak zwane „stęsknione wiewiórki morskie”. Niewątpliwie miały tęskny wyraz oczu. Spoglądały na mnie żałośnie niczym petenci, którzy odbyli właśnie wyczerpującą rozmowę z dyrektorem banku. Wydawały się bliskie płaczu i tak przygnębione, że zapragnąłem je pocieszyć. Mając nadzieję, iż ukoję ich smutek, zanurkowałem głębiej i odwróciłem złom martwych koralowców, odsłaniając przysmaki w postaci krewetek, krabów, mikroskopijnych robaków i czarnych rozgwiazd o diabolicznym wyglądzie, z wijącymi się, węzowatymi kończynami, porośniętymi czymś w rodzaju futra. Każda ryba rozkoszowałaby się takim posiłkiem, lecz „morskie wiewiórki” obrzuciły mnie tylko posepnym spojrzeniem i cicho umknęły w bok. Najwidoczniej nie okazałem im dostatecznego współczucia.

Podczas pływania nad rafą człowiek czuł się wyczerpany bogactwem form życia, otaczających go z wszystkich stron. Podczas naszego pobytu na Mauritiusie, trwającego cztery i pół miesiąca, wypływaliśmy na rafę prawie codziennie i za każdym razem odkrywaliśmy co najmniej cztery nowe gatunki ryb, których nie zauważyliśmy wcześniej. W prawdziwą rozpacz popadłem jednak tuż pod koniec wyprawy, kiedy Abel zawiózł nas w miejsce nazwane później „kwietnym ogrodem”, tutaj bowiem w ciągu godziny pobiłem niebywały, światowy rekord, który polegał na wykryciu szesnastu gatunków ryb, niedostrzeżonych przeze mnie podczas czterech miesięcy nurkowania!

„Kwietny ogród” był płytkim fragmentem rafy, sięgającym do trzech i pół stopy, a niekiedy około stopy pod powierzchnię morza, w związku z czym należało szukać tuneli w koralowcach, żeby nie zedrzeć sobie skóry z piersi i kolan. W tej płytkiej wodzie kolory wydawały się jeszcze jaskrawsze, a ponadto występowały tam niespotykane nigdzie indziej gatunki koralowca – takie jak grzybinka, koral samotny, co oznacza, że w przeciwieństwie do większości koralu nie tworzy raf, tylko przemieszcza się po morskim dnie z miejsca na miejsce. Z wyglądu przypomina spodnią część dużego, różowawo-czerwono-brązowego grzyba – i dopiero gdy spomiędzy blaszek wynurzą się drobne, bladożółte czułki, wymachujące na wszystkie strony, człowiek zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia z gatunkiem zwierzęcym. Napotkałem także koralowce podobne do bukietów maleńkich zielonych chryzantem, mniej więcej wielkości paznokcia. Poruszały się nieustannie, przez co wyglądały jak rozległe klomby, falujące w podmorskiej bryzie. Były tam również korale oślepiąco błękitne, wręcz rażące swym kobaltowoniebieskim odcieniem, oraz korale czerwone, których barwa wahała się między szkarłatem a bladym różem zachodzącego słońca. Dało się dostrzec czubki koralowych odrośli, wyglądające tak, jakby poprzycinał je gładko ekspert od strzyżenia krzewów. Każdy z tych wierzchołków sprawiał tak schludne wrażenie, że trudno było uwierzyć, iż takie już wyrosły. Bliższe oględziny wskazały, że

owe czubki (mniej więcej wielkości sporego bukietu kwiatów) składają się z koralu o kształcie małych, ośnieżonych choinek.

Moje „listeczki” upodobały sobie szczególnie owe koralowe korony i pod pływały do nich całymi ławicami, chroniąc się przed niebezpieczeństwem w gąszczu choinek. W pobliżu jednego z tych koralowców natrafiłem na liczące około pięćdziesięciu sztuk stadko maleńkich „listeczków”. Odkryłem, że maluchy nie przybierają zielonego odcienia, lecz są jasnoniebieskie – i choć znacznie jaśniejsze od dorosłych osobników, równie urocze. Przez długą chwilę zabawiałem się wyciąganiem ręki w stronę tych migotliwych, maleńkich rybek, które natychmiast umykały i ginęły w koralowym gąszczu. Kiedy cofałem dłoń, wysypywały się zza odrośli niczym błękitne konfetti, spadające z ośnieżonych sosen.

W tym właśnie ogrodzie można było zauważyć najwięcej gatunków na najbardziej ograniczonym obszarze, co stanowiło szczególną pokusę z uwagi na fakt, że płytka woda umożliwia bliższą obserwację. Zawsze z przyjemnością przyglądałem się szorstnikom. Miały spłaszczone ciała i wygięte rogi na łbach, były jaskrawozielone w podłużne pręgi i pomarańczowe kropki, z pyszczkami w pomarańczowe pasy i pomarańczowo-czarnymi oczyma. Nazwę zawdzięczały szorstkiej, chropawej skórze. Ich krewniaczką była rogatnica, ryba, której miejscowa nazwa – „humu-humu-nuku-nuku-a-puaa” – mogła doprowadzić człowieka do zwichnięcia szczęki. Są to pękate stworzenia, mniej więcej o kształcie liścia, lecz zamiast wydłużonych ryjków jak szorstniki, mają nadąsane, wojownicze miny dowódców brygady, którzy obserwują niewydarzonych rekrutów. Wrażenie to podsycą mundur w czarne, białe i szare pasy, z szafirową wstęgą biegnącą ponad nosem w taki sposób, że wygląda jak krzaczaste brwi. Rogatnica wzięła nazwę od dość niezwykłego mechanizmu obronnego. Podobnie jak szorstnik, posiada coś w rodzaju wygiętego rogu, lecz wyrostek ów przylega płasko do łba. Kiedy jednak rybę ściga jakiś nieprzyjaciel, kolec prostuje się i trwa w tej pozycji, przytrzymywany przez inny, mniejszy kolec. Dzięki temu ryba staje się niebezpieczną i trudną do schwytania przekąską, a ponadto gdy zanurkuje w gąszcz koralu, trzeba rozkruszyć całą wierzchnią warstwę, żeby ją stamtąd wyłuskać.

W tymże ogrodzie zdarzył się incydent, który przypomniał mi dzieciństwo spędzone w Grecji i wyprawy z rybakami. Płynąc wielobarwnym, koralowym wąwozem, natknąłem się na rozległy piaszczysty teren, dokąd dotarłem równocześnie z ośmiornicą o mackach długości mniej więcej czterech stóp, która właśnie postanowiła zmienić miejsce pobytu. Na mój widok przyśpieszyła swój rajd po piasku, nabierając nieprzyjemnego wyglądu garbusa, który wlecze za sobą pelerynę z macek. Nie zdołała dotrzeć do prawdziwej rafy, schroniła się więc w gąszczu koralu pośrodku piaszczystej łachy. Podpłynąłem tam, ciekaw, co robi dalej – i stwierdziłem, że wcisnęła się w niewielkie zagłębienie i zmrużyła oczy, co ośmiornice zwykle robią w chwilach zagrożenia, gdyż oczy są bardzo widoczne. Jej skóra, jak zawsze w chwilach zdenerwowania,

mieniła się zaskakującą gamą barw, łącznie z nasyconym błękitem i zielenią. Ta orgia kolorów, zamiast demaskować stworzenie, pomagała mu wtopić się w barwne tło. Znajdowałem się o trzy czy cztery stopy od ośmiornicy, rozmyślając, czyby nie wypłukać jej z ukrycia – gdy nagle tuż koło mojego ramienia śmignął trójząb i wbił się w tułów zwierzęcia, ono zaś natychmiast przeobraziło się w głowę Meduzy, otoczoną drgającymi mackami. Abel, który ustawił łódź nade mną, tryumfalnie wciągnął na pokład wijącą się ośmiornicę, a wodę splamiły obfite smugi czernidła.

Konająca ośmiornica, która tryska czernidłem niemal prosto w moją twarz, nie należy do najprzyjemniejszych wspomnień z rafy koralowej – zachwycającego, nieopisanie pięknego i złożonego miejsca. Obecnie rafa jest nadmiernie eksploatowana i ogołacana z ryb; zbiera się muszle na sprzedaż, a korale wysadza dynamitem, aby turyści tryumfalnie mogli zawieźć do domu żalosne odłamki pięknych niegdyś żywych organizmów, które będą gromadziły kurz, stojąc na kominku w jakimś odległym kraju. Miejmy nadzieję, że maurytyjski rząd pójdzie za światłym przykładem innych rządów – takich jak władze Seszeli i Tanzanii – i utworzy Morski Park Narodowy w rejonie raf, by ich uroda zawsze mogła radować oczy mieszkańców Mauritiusa i ich gości, gdyż rafa to duchowy balsam dostępny dla wszystkich.

W chwili gdy piszę te słowa, niebo za moimi oknami jest szare i prószony drobny śnieg; wystarczy jednak, żebym zamknął oczy, a zaraz pojawiają się przed nimi cuda rafy, które mnie rozgrzewają i dodają otuchy.

Pewnego dnia w „kwietnym ogrodzie” natrafiłem nieoczekiwanie na olbrzymią chmurę „listeczków”. Musiało ich tam być ze dwa tysiące, zgromadzonych na obszarze pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu stóp kwadratowych. Przez pół godziny pływałem razem z nimi i było to niezapomniane przeżycie: w jednej chwili czułem się jak w lesie, wśród liści zieleniejących na powitanie wiosny, a w następnej – jakbym dryfował między okruchami śródziemnomorskiego nieba, które jakimś cudem wpadły do wody i przybrały postać ryb. W końcu, olśniony i oszołomiony, znalazłem gładką warstwę koralu, wolną od jeżowców i skrzydlic, i usiadłem na niej, w wodzie o głębokości dwóch stóp. Zdjąłem maskę i w oddali zobaczyłem góry Mauritiusa, ciągnące się faliście aż po horyzont i przywodzące na myśl niespokojne kończyny pod kocem zielonego lasu i splechotków trzciny cukrowej: tu wystawał łokieć, tam znowu kolano. Nad tym wszystkim rozpościerały się łuki aż pięciu tęczy. Doszedłem do wniosku, że Mauritius niezmiernie mi się podoba.

VI

Polowanie na boa

Kuter przebił się przez niebieskie wzniesienia fal – i na tle żółtozielonego brzasku zamajaczyła przed nami posepna, niegościnna skorupa Kragłej Wyspy.

Od naszej ostatniej wizyty upłynął rok; i tym razem zamierzaliśmy spędzić na tym ponurym skrawku ziemi cztery dni, byliśmy więc dobrze zaopatrzeni. Oprócz zwykłego obozowego ekwipunku zabraliśmy pięciogalonowe kanistry z cenną wodą pitną i spory zapas żywności. Wyspa, na której można zostać uwięzionym przez nagłą zmianę pogody, wymagała przygotowania odpowiedniej ilości wody i jedzenia na wszelki wypadek. Sama waga i objętość zapasów kazały nam jednak rozbić obóz w miarę blisko przystani, dostatecznie daleko od morza, by nie groziły nam wezbrane fale, lecz nie za daleko, ponieważ musieliśmy dowlec tam nasz ekwipunek.

Pogoda nam sprzyjała i wyładowywanie zapasów i sprzętu nie było tak ryzykowne, jak mogłoby być, ale przenoszenie rzeczy do oddalonego o jakieś trzysta stóp zagłębienia w skałę, gdzie zamierzaliśmy obozować, zupełnie nas wyczerpało, mimo iż garb wyspy przesłaniał słońce, które dopiero co weszło ponad horyzont. Pocąc się i klnąc siarczyście, wciągnęliśmy po skałę namiot, żywność i ciężkie kanistry z wodą, a przy tym pluliśmy sobie w brodę, że w ogóle zdecydowaliśmy się na takie przedsięwzięcie. Podobne myśli snuły się nam po głowach jeszcze kilkakrotnie podczas pobytu na wyspie.

Rozbicie namiotu okazało się zadaniem nader trudnym, ponieważ na tym terenie podłoże było albo zbyt twarde, by wbić w nie nawet stalowy kołek, albo tuf kruszył się i rozsypywał w proch. W końcu udało nam się jakoś ustawić namiot: przymocowaliśmy linki na słowo honoru do postrzępionych, sterczących występów tufu, z nadzieją, że nie zerwie ich silny wiatr. Namiot zapewniał nam to, co na Kragłej Wyspie stanowi artykuł pierwszej potrzeby – cień. Ktoś, kto nie spędził całego dnia w palących promieniach słońca na odsłoniętym terenie, nie zrozumie, że nawet dziecięca parasolka może być czymś równie pożądanym jak głęboka, chłodna jaskinia. I nie pojmie, że lepiej mieć ciepłą wodę do picia niż być jej całkowicie pozbawionym.

Wahab, sprawdzwszy, że urządziliśmy się w bezpiecznym miejscu i że wiemy, jak używać przenośnej radiostacji – jedyne go środka łączności ze światem zewnętrznym – wrócił na dzielny statek o nazwie „Sphyrna”, co oznacza „ryba młot”. Wkrótce stateczek zamienił się w plamkę na widnokregu, okrążając Klin Kanoniera i zmierzając ku odległym, zamglonym, błękitnym wzniesieniom Mauritiusa. Po przeniesieniu kanistrów poczuliśmy się – ku naszemu zaskoczeniu – bardzo zmęczeni i, zjadłszy skromną kolację, jako że upał odebrał nam apetyt, o zmierzchu położyliśmy się spać.

Nazajutrz wstaliśmy przed świtem i wspięliśmy się pod stary pandanowiec, czyli *vacoa*,

znany jako drzewo piknikowe, ponieważ jest to pierwsze drzewo po drodze z przystani, które daje jaki taki cień, w związku z czym każdy urządza sobie tam piknik. Postanowiliśmy wyruszyć stamtąd na północ, przecinając rząd palm i trzymając się linii prostej – o tyle, o ile było to możliwe na Krągłej Wyspie. Mieliśmy zamiar iść zakosami od palmy do palmy, oddaleni od siebie mniej więcej o pięćdziesiąt stóp, przeszukując starannie każde drzewo, na nich bowiem podobno żyły boa; a kiedy robi się za gorąco, chcieliśmy zejść o pięćdziesiąt stóp niżej i wrócić do obozu. Żywiliśmy nadzieję, że w ten sposób zbadamy wszystkie palmy na półmilowym odcinku o szerokości stu stóp. Tym, którzy nie wierzą w uciążliwy charakter naszego przedsięwzięcia, proponuję, by wybrali się na Krągłą Wyspę i sami spróbowali.

Przez pierwszą godzinę prowadziliśmy wytrwałe poszukiwania. Nieustanne fałszywe alarmy wywoływały wśród nas łagodne i przyjazne telfarie oraz wielkookie gekony Gunthera, przesiadujące u nasady palmowych liści – gdy widać tylko ogon jaszczurki, bardzo łatwo na pierwszy rzut oka pomylić go w węzem. Z przyjemnością zauważyliśmy jednak, że populacja telfarii znacznie wzrosła od ubiegłego roku i że – co jeszcze istotniejsze – zwiększyła się również liczba gekonów Gunthera. Wszędzie kręciły się pulchne maluchy.

Każdy, kto widział bądź schwycił okaz boa, mówił nam, że pospolitszy z dwóch gatunków – jeżeli można określić słowem „pospolity” grupę osobników liczącą w przybliżeniu siedemdziesiąt pięć sztuk – przebywa zazwyczaj wśród liści palmy latanii. Dla osoby, która nigdy nie widziała latanii, były to wskazówki zwięzłe i bezpośrednie; nic prostszego. Latanie potrafią jednak bardzo uprzykrzyć człowiekowi życie. Ich liście wyrastają z grubej, prostej kłodziny i przypominają olbrzymi zielony wachlarz. Pień oznacza się giętkością lanego żelaza, wachlarz zaś sprawia wrażenie wykonanego z grubego, niezniszczalnego tworzywa. Jego czubek najeżony jest drobnymi kolcami, dostatecznie ostrymi, by wykluć komuś oko. A zatem, szukając boa, należało podejść do latanii, rozgarnąć liście i wsunąć między nie głowę na tyle głęboko, by widzieć nasadę, a przy tym mocno trzymać zielony wachlarz, żywiąc nadzieję, że łodygi nie wyslizną się człowiekowi ze spoconych dłoni, co mogłoby spowodować obrażenia lub ślepotę.

Drugi gatunek węża, ryjący boa, żyje pod ziemią i aby go znaleźć, trzeba przekopywać, niczym dzik w dąbrowie, płytką warstwę gleby wokół palm. Na pozór to również powinno być łatwe – ale nie było, ponieważ uschnięte liście latanii, choć zbrązowiały i opadły, nadal trzymały się łodygami macierzystego drzewa, tworząc w ten sposób coś w rodzaju sprężystego brunatnego namiotu wokół podstawy każdego pnia, i należało je usunąć, zanim się zaczęło grzebać w ziemi. Eufemizmem byłoby stwierdzenie, że przy takiej pracy człowiek musi się napocić i chce mu się pić. Pot spływał ze mnie strumieniami, a jednocześnie ciało płonęło mi z gorąca, język zaś zdawał się ocierać o ściany jaskini obitej bardzo starą i kompletnie wysuszoną irchą. Tuf był tak rozgrzany, że można by na nim usmażyć jajko. Żar spadał z góry niczym fizyczny cios, odbijał się rykoszetem od podłoża i buchał w twarz jak ognisty podmuch z odlewniczego pieca. Po

przejściu stu jardów wypociliśmy więcej wilgoci, niż powinno jej zawierać przeciętne ludzkie ciało.

Najbardziej wyczerpujące było to, że nigdy nie szło się po równym terenie. Człowiek natęzał mięśnie, aby wspiąć się na zbocze albo by się z niego nie zsunąć. Nawet idąc po linii prostej, miało się wrażenie, że jedna noga jest krótsza niż druga. Po dwóch godzinach poszukiwań usiedliśmy na chwilę, żeby zwilżyć spragnione gardła i zjeść pomarańcze. Poznawszy nieco lepiej warunki polowania na Kragłej Wyspie, przekonaliśmy się, że lepiej brać z sobą pomarańcze niż ciężkie butelki z wodą, ponieważ owoce dostarczały oprócz płynu także pożywienie i pozostawiały uczucie świeżości w zalepionych ustach.

Słońce weszło tymczasem wyżej i łypało na nas złowrogo znad wypukłej skorupy, niczym monstualne czerwone oko gigantycznego smoka. Wiedzieliśmy, że lada chwila zrobi się zbyt gorąco, by kontynuować poszukiwania. Zeszliśmy o pięćdziesiąt stóp niżej i ruszyliśmy z powrotem do obozu, rozglądając się po drodze. Rozsunąłem liście latanii po raz chyba tysięczny – i dostrzegłem coś, co wydało mi się ogonem telfarii. Już chciałem przejść do następnej palmy, gdy nagle pomyślałem sobie, że warto się upewnić, czy to rzeczywiście telfaria. Po krótkich zmaganiach z zielonym wachlarzem znalazłem odpowiedni punkt obserwacyjny.

Zamiast telfarii ujrzałem dorosły, piękny okaz węża boa, który zwinął się w ciasny kłębek u nasady liści, w miejscu w którym łodygi tworzą zwarty krąg. Ociężały wąż nie przejawiał najmniejszych oznak lęku. Jediną częścią ciała, za którą mogłem go złapać, był sam koniuszek ogona. Uznałem to za posunięcie pod każdym względem nieodpowiednie. Po pierwsze, ogon był cienki i nawet gdybym go nie urwał, mogłem skaleczyć stworzenie. Po drugie, schwytany za ogon boa mógł mnie ugryźć. Nie byłoby to dla mnie groźne, zwłaszcza że miał bardzo mały pysk, ale nie chciałem, aby połamał kruche zęby na mojej ręce i nabawił się ropiejących wrzodów. Był zbyt cenny, by podejmować takie ryzyko. Wołałem nie zmieniać pozycji i nie płoszyć zdobyczy, zawołałem więc do Johna, który tkwił przy jednej z latanii głową w dół, niczym nurkująca kaczka:

– John! Mam tu węża, chodź mi pomóc!

Wynurzył się z wnętrza palmy podrapany, rozczochrany i spocony, w zaparowanych okularach. Otarł czoło.

– Przykro mi – odrzyknął – ale mam tu sto pięćdziesiąt innych i muszę się nimi zająć!

– Nie wygłupiaj się! Mówię poważnie!

– Naprawdę? – upewnił się John i ruszył biegiem w moją stronę, potykając się i ślizgając.

Dotarł do mnie zadyszany.

– Przejdź na drugą stronę palmy i złap go – poleciłem. – Tam ma głowę. I nie pozwól, żeby cię ugryzł, bo dostanie wrzodów w pysku.

Pełniłem funkcje straży tylnej, podczas gdy John rozgarnął liście, odszukał łeb węża, po czym wsunął długie ramię w czubek palmy, delikatnie wyłuskał gada z wachlarza i wydobyl na zewnątrz.

Boa mierzył około trzech stóp i był bladooliwkowy, z matowożółtymi plamkami w okolicach ogona. Głowę miał wydłużoną i wąską, z kształtu podobną do liścia. W sumie nie bardzo przypominał węża boa.

Zwrot „nie posiadaliśmy się z radości” byłby tu niedomówieniem. Fakt, że schwytaliśmy jednego z najrzadszych węży na świecie, na tak trudnym terenie i po zaledwie dwugodzinnych poszukiwaniach, wydawał się wprost niewiarygodny; to zaś, że schwytaliśmy go przy jego pełnej współpracy, zadziwiało jeszcze bardziej. Powróciliśmy do łowów ze zdwojonym zapalem. Słońce wznosiło się jednak coraz wyżej i prażyło coraz mocniej, a zmagania z liśćmi latanii stawały się coraz cięższe, więc w końcu wróciliśmy do obozu, by rozkoszować się świeżym mlekiem kokosowym i arbuzami i wylegiwać na pryzkach, które na nierównym gruncie brykały niczym narowiste konie. Później, gdy nadeszła pora tego, co nazywaliśmy z pewnym sarkazmem „wieczornym chłodem”, i temperatura spadła do marnych dwudziestu dziewięciu stopni, dzięki czemu dawało się usiąść na blokach tufu, nie ryzykując poważnych oparzeń, jeszcze raz przeczesaliśmy palmy – lecz bez rezultatu. W nocy spadł deszcz i woda spływała po skale prosto do naszego namiotu. Leżąc na pryzkach, mieliśmy wrażenie, że unosimy się na powierzchni któregoś z niezbyt czystych weneckich kanałów.

Wstaliśmy przed wschodem słońca i dokonaliśmy pierwszego przeglądu palm, gdy niebo zaczynało nabierać zielonkawożółtej barwy. Tego ranka było mi znacznie chłodniej, ponieważ wiał dość silny wiatr, rozrzucając po morzu białe płatki piany i pędząc po niebie zwarte flotylle ospałych chmur, które często przesłaniały słońce i dawały nam kilka minut wytchnienia. Przez trzy godziny nie natrafiliśmy na żadnego węża, choć widzieliśmy mnóstwo jaszczurek. Kiedy zrobiliśmy sobie chwilę przerwy, żeby odpocząć i zjeść pomarańczę, John wysunął pewną teorię.

– Wiesz – zaczął – one mają tu pod dostatkiem pokarmu. Widziałem niezliczone zielone gekony i małe śligi, które doskonale się nadają do tego celu.

– Niewątpliwie jedzenia tu nie brakuje – przyznałem.

– No to dlaczego te węże są takie rzadkie? – drażył John.

– Pewnie dlatego, że nie mogą się nawzajem odszukać na tych cholernych lataniach – odparłem z goryczą.

– A ja myślę, że coś na nie poluje, kiedy są małe.

– Poluje? Co?

Telfarie. Obserwowałem dorosłe osobniki i sam wiesz, że potrafią pożreć wszystko, od gumy do żucia po skórkę pomarańczy. Przed chwilą widziałem, jak telfaria zjada sporą śligę Bojera. Nowo narodzone węże są z pewnością nieduże. A dorosła telfaria to potężna bestia

i wszędzie aż się od nich roi.

– Chyba masz rację. To mi nie przyszło do głowy.

– Prawdę mówiąc – podjął John – żeby pomóc temu wężowi, należałoby odłowić z pięćset telfarii i przewieźć je na Klin Kanoniera albo na Płaską Wyspę.

– Teraz posunąłeś się za daleko – zauważyłem, optymistycznie zagrzebując pestki pomarańczy pod odłamkami tufu. – Dobrze wiesz, że są dwa zjawiska, na które wszyscy obrońcy przyrody reagują równie histerycznie, jak niezamężna ciotka na nieprzyzwoitą propozycję. Jedno to rozmnażanie w niewoli, a drugie to „translokacja gatunków”.

– Ale sądzę, że w ten sposób można by pomóc boa – upierał się John.

– Zapewne. Kiedy wgryziemy się rzetelnie w problem Krągłej Wyspy, podsunie my ten pomysł. A na razie zabierzemy się do tych latanii.

Pół godziny później natrafiliśmy na coś, co częściowo potwierdziło teorię Johna. Przywołał mnie, żebym mu pomógł przy kępie latanii rosnących bardzo blisko siebie, których nie mógł sam zbadać. Rozchyliłem świeży wachlarz, podczas gdy John rozgrzebywał zeschnięte liście u podstawy pnia. Wyszarpnął kawałek pokryty warstwą tufu spłukanego przez deszcz – i nieoczekiwanie wyleciało zeń coś, co wzięłem na pierwszy rzut oka za wielką stonogę i co legło, wijąc się, na ziemi. W następnej chwili uświadomiłem sobie, że jest to jaskrawy, ceglasto-żółty młody wąż, długości mniej więcej dwunastu cali i grubości ołówka. Uznałem go za stonogę z racji jego zdumiewającego ubarwienia, gdyż nie przypuszczałem, że młode boa tak bardzo różnią się pod tym względem od stonowanych dorosłych osobników. Tryumfalnie podnieśliśmy malucha, umieściliśmy go czule w płóciennym worku i pokuśtykaliśmy z nim do obozu.

– No widzisz – dyszał John, ślizgając się i potykając tuż obok mnie na garbie Krągłej Wyspy. – Ten brzdąc byłby bezbronny wobec dorosłej telfarii i któraś z nich na pewno by go uznała za smaczny kąsek.

W nocy nie tylko lało jak z cebra, ale przy tym dął tak silny wiatr, że groziło nam to utratą namiotu. Była to bardzo nieprzyjemna noc i ucieszyliśmy się, gdy wreszcie nadszedł świt. Tradycyjną metodą przeszukaliśmy latanie i wróciliśmy do obozu o jedenastej. Morze wzburzyło się wyraźnie, a niebo zasnuło chmurami. Wichura atakowała nas nagłymi, gwałtownymi podmuchami i znowu zanosilo się na deszcz. Podczas lunchu przypadkiem wysunąłem głowę z namiotu i dostrzegłem ze zdumieniem dzielny okręt „Sphyrna”, który zbliżał się ku nam, dziarsko prując fale, choć przychodziło mu to z trudem, gdyż morze było już bardzo niespokojne. Zaczęliśmy snuć domysły, jaką to osobliwą misję statek może mieć do spełnienia przy tak niesprzyjającej pogodzie; lecz po pewnym czasie stało się jasne, że zmierza ku Krągłej Wyspie. Zastanowiliśmy się, co to za niezbędne artykuły przysyła nam Wabah. Nie przyszło nam na myśl, że właśnie pogoda jest przyczyną nieoczekiwanych odwiedzin. Kuter przybił do przystani i zarzucił kotwicę, a kapitan wezwał nas okrzykiem.

– Cyklon! – zawołał. – Na Mauritiusie alarm drugiego stopnia! Przyplłynąłem po was, musicie się pośpieszyć.

Myśl o spędzeniu bliżej nieokreślonego czasu na Kragłej Wyspie ogarniętej cyklonem, wszystko jedno o jakiej sile, wydawała się tak mało pociągająca, że kapitan nie musiał nakłaniać nas do pośpiechu. Nikt chyba nie zwijał i nie pakował obozu z taką szybkością. Przeniesienie rzeczy na łódkę, a z łódki na „Sphyrnę”, było niezwykle ryzykownym przedsięwzięciem, w końcu jednak, wraz z ekwipunkiem i dwoma cennymi węzami, znaleźliśmy się wśród rozkołysanych fal, miotających statkiem w drodze na Mauritius.

Alarm trwał tydzień – i był to tydzień paskudnej pogody, deszczu i wzburzonego morza. Na domiar złego już na Kragłej Wyspie poczułem się kiepsko, co okazało się spowodowane amebią – jedną z tych szczególnie irytujących i wycieńczających infekcji. Wydawało się, że przepadła szansa powrotu na wyspę w celu odłowienia koniecznej liczby węży do programu hodowlanego; i nie schwytaliśmy nawet drugiego gatunku jaszczurki, na którym nam zależało. Oznaczało to, że będziemy zmuszeni zostawić węże Wahabowi, aby odwiózł je na Kragłą Wyspę i wypuścił. Boa były zbyt rzadkimi stworzeniami, by ryzykować omyłkę, a na Mauritiusie nie mieliśmy warunków, które pozwoliłyby nam bez wątpliwości określić płęć złapanego malucha. Byłoby zbrodnią zabieranie tych dwóch węży na Jersey, gdyby miało się okazać, że są tej samej płci. Omówiłem całą sprawę obszernie z Wahabem, który powiedział mi, że zgodnie z długoterminową prognozą cyklon nas jednak ominie i że zapowiada się okres bezchmurnej pogody.

– Czy nie mógłbyś zostać nieco dłużej?

Musiałem właśnie, ku mej głębokiej irytacji, odwołać planowaną podróż do Assam, którą przygotowywałem od ponad siedmiu lat i w którą miałem się udać natychmiast po powrocie na Jersey, ponieważ lekarze z Mauritiusa opowiedzieli się przeciwko niej. To mi dawało pewną swobodę działania, ale gdybyśmy nawet zostali, czułem się zbyt parszywie, żeby wypływać na morze, a potem taszczyć po skałach ciężki sprzęt, – A nie dałoby się załatwić rządowego helikoptera? – zapytałem z nadzieją. – Po pierwsze, to by nieskończenie ułatwiło całą wyprawę; po drugie, zawsze chciałem przelecieć się helikopterem.

Wahab zasznurował usta i odparł, że z tym będzie trudno, ale spróbuje.

Kilka dni później zadzwonił do mnie, bardzo z siebie zadowolony, i oznajmił, że premier zgodził się użyczyć nam helikoptera. Możemy lecieć, gdy tylko się wypogodzi. Obijaliśmy się przez kilka dni, podczas których po Oceanie Indyjskim szalały dwa cyklony – jeden nazwano pieszczotliwie „Fifi” – niemogące się zdecydować, czy odwiedzić Mauritius. Ku naszej wielkiej uldze, postanowiły go nie odwiedzać, a ponieważ prognoza pogody brzmiała korzystnie, odwołano alarm i mogliśmy startować w najbliższy poniedziałek. Dzień ten sąsiadował akurat z jakimś świętem państwowym, więc Wahab doszedł do wniosku, że przyłączy się do nas

i przyprowadzi krzepkiego ochotnika z Departamentu Leśnictwa, aby udzielił nam pomocy.

Mieliśmy wsiąść do helikoptera w Port Louis i stamtąd polecieć na boisko znajdujące się w północnej części wyspy, gdzie będzie czekała ciężarówka z naszymi zapasami. Lot stamtąd na Kragłą Wyspę trwał zaledwie kwadrans. Stawiliśmy się posłusznie w koszarach policyjnych w Port Louis, helikopter zaś wytoczył się uroczyście i otworzył niczym kopulasty kabriolet. Wdrapaliśmy się do środka. Wahab i John usiedli z tyłu, ja zaś z przodu, obok jowialnego pilota Hindusa i jego kolegi. Poczulem się niby w okrągłym akwarium, a ponieważ niezbyt dobrze znosiłem dużą wysokość, zacząłem się zastanawiać, jak to będzie, gdy wystartujemy.

– Mój Boże, co za gorąc dzisiaj – przemówił pilot, zapinając pas i nieźle naśladując Petera Sellersa. – Co za cholerny gorąc.

– Na Kragłej Wyspie będzie jeszcze goręcej – zauważyłem.

– Tak, mój Boże – rzekł pilot – tam można się usmażyć. Co za gorąc. Śmigło obracało się coraz szybciej – i nagle wznieśliśmy się w linii pionowej niczym winda, zawiśliśmy na chwilę w powietrzu, a potem wzlecieliśmy na wysokość siedemdziesięciu stóp ponad dachy Port Louis. Było to niesamowite doznanie; człowiek uświadamiał sobie znacznie silniej niż w samolocie, nawet małym, co to znaczy być jastrzębiem albo ważką, unosić się i opadać w pionie, wisieć w powietrzu i pikować. Kiedy mknęliśmy sto stóp nad poletkami trzciny cukrowej z pryzmami wielkich, brunatnych kamieni, wyoranych z gleby, człowiek miał wrażenie, że leci nad rozległą zieloną szachownicą, pokrytą gigantycznymi odchodami słonia. Drzewa królewskiej poincjanu przy drodze żarzyły się niczym hałdy płonącego węgla, a same drogi upstrzone były – jak na obrazie impresjonisty – barwnymi kropkami, czyli gromadkami podążających na targ kobiet w kolorowych sari.

W pewnej chwili helikopter wszedł w ostry przechył – niezbyt miłe przeżycie w okrągłym akwarium, ponieważ człowiekowi wydawało się, że zaraz przebije szkło i wypadnie na zewnątrz – po czym wylądował na boisku piłkarskim lekko jak dmuchawiec. Czekala tam na nas ciężarówka, wyladowana naszym namiotem, zapasami żywności oraz szesnastoma okazałymi kanistrami z wodą, a wraz z ciężarówką czekał podkomendny Wahaba z Departamentu Leśnictwa, młodzieniec zwany Zozo. Był to szczupły chłopak azjatyckiego pochodzenia, o szerokim, miłym uśmiechu i tak mocno zadartym nosie, że patrząc na niego, człowiek miał wrażenie, iż spogląda w lufę dubeltówki. Jego ubiór był z drelichu koloru khaki, a prócz tego Zozo nosił wielkie ciemne okulary oraz okazałych rozmiarów kask tropikalny, również koloru khaki, charakterystyczny dla Departamentu Leśnictwa fason, który niegdyś upodobali sobie Stanley i Livingstone. Wyglądał na czarującego młodego człowieka, niezmiernie podnieconego na myśl o przygodzie. Zwierzył mi się, że nigdy jeszcze nie opuścił Mauritiusa, a ponadto nigdy w życiu nie latał, zwłaszcza zaś nie latał helikopterem. Te trzy nadzwyczajne wydarzenia, następujące jednego dnia, niemal odebrały mu mowę.

Załadowaliśmy nasze rzeczy do helikoptera – który z uwagi na ciężar kanistrów z wodą musiał wykonać dwa kursy – i wystartowaliśmy. Helikopter przemknął nisko nad bramkami, a tłum dzieci, który się nam przyglądał, rozpierzchnął się ze śmiechem i krzykiem. Wzlcieliśmy nad postrzępione wierzchołki palm, a potem w dole pojawiła się szmaragdowa toń laguny, rozkwitający pianą ogród rafy i wreszcie głębokie, błękitne morze z przycupniętą na horyzoncie o czternaście mil od nas Kragłą Wyspą, podobną do zaszuszonego, zielono-brunatnego żółwia.

Na mapach Kragłej Wyspy zaznaczono w jej południowej części dwa obszary o nazwach: Duże Lądowisko i Małe Lądowisko. Owe dostojne tytuły budzą skojarzenia z gładką tłuczniową nawierzchnią, być może z rękawami do wskazywania wiatru, a nawet z urzędem celnym i imigracyjnym oraz biurem turystycznym. Na szczęście nie ma tam takich udogodnień. Lądowiska są po prostu dwoma spłaszczonymi poletkami niejednakowych rozmiarów – jedynymi w miarę płaskimi miejscami na wyspie. Wiatr i deszcz ubiły i wyrównały tuf, który nie był tu może gładki jak posadzka w sali balowej, ale zmienił się w stosunkowo mało chropowaty fragment księżycowego krajobrazu. Wylądowaliśmy na mniejszym z lądowisk, płosząc wirowym ruchem śmigieł tropikalne ptaki o białych i czerwonych ogonach oraz ciemne trynidadzkie petrele o dość złowieszczym wyglądzie, które z krzykiem wzbily się w powietrze. Nawoływania petreli brzmiały przedziwnie i niesamowicie: zaczynały się od krakania, a kończyły dźwięczną pieśnią, przepojoną dzikim pięknem, zupełnie niepodobną do wrzasków, jakich można by się spodziewać po pospolitym morskim ptaku. Baśniowa uroda tropikalnych ptaków sprawiała natomiast, że człowiek oczekiwał od nich czegoś innego niż odgłosy przypominające mozolne wyciąganie korka z butelki szampana.

Zasapani i spoceni, przenieśliśmy namiot i zapasy z lądowiska w głąb biegnącej równoległe doliny, podczas gdy tropikalne ptaki pikowały ku nam niczym białe sople, wydając dziwaczne, zgrzytliwe okrzyki, petrele zaś szybowały swobodnie tuż nad ziemią, towarzysząc nam jak dobrze wytresowane psy pasterskie, pilnujące stada niesfornych i lekkomyślnych owiec.

Zamierzaliśmy rozbić obóz nad wyżłobionym przez wiatr i wodę żlebem, opadającym ku morzu niczym miniatura Wielkiego Kanionu. Rozległe, szare płyty tufu poprzedzielane były czymś w rodzaju gleby, pochodzącej ze zdrapanych przez króliki i ptaki, rozkruszonych kawałków skały. Całość pokrywała zielona warstwa drobnych roślin o mięsistych łodygach, które na pierwszy rzut oka przypominały rukiew wodną. Rośliny te, szczęśliwie nietknięte przez króliki, ochraniały cenne spłachetki gleby. Wszystko razem podobne było do dziwnego pasma łąk, poprzetykanych rzadko rosnącymi palmami, na tle surowego, zniszczonego erozją pejzażu. Skrawki ziemi wyglądały niewinnie i bynajmniej nie tętniły życiem, jeśli pominąć owady i nieliczne żerujące ślimki. Po zmierzchu jednak cała sceneria uległa niezwyklej przemianie.

Dopiero o zmroku zakończyliśmy porządkowanie obozowiska. Gdy niebo przeszło z zieleni

w aksamitną czerń, przyprószoną gwiazdami, jakby na czyjś znak z głębi ziemi dobiegł niesamowity odgłos. W pierwszej chwili brzmiał łagodnie i niemal melodyjnie, trochę jak żalosne wycie stada wilków na dalekiej, ośnieżonej równinie. Później do chóru zaczęły dołączać kolejne głosy i całość nabrała cech obłąkańczej mszy, odprawianej dla rzeszy szaleńców w jakiejś podziemnej katedrze. Dały się słyszeć maniackie wrzaski kapłanów i burzliwe odpowiedzi wiernych. Dźwięki wznosiły się i opadały przez pół godziny, wprawiając w drżenie grunt pod naszymi stopami, a potem – nieoczekiwanie, jak gdyby rozstała się ziemia, uwalniając z piekieł potępione dusze, które rysował Gustave Dore – wychynęły z ukrytych pod zielonymi łązkami otworów piskłeta burzyków, piszcząc, skrzecząc i lamentując.

Pojawiły się ich setki, jak gdyby nagle powstały z grobów, i z trzepotem skrzydeł otoczyły nasz namiot, wybuchając taką kakofonią dźwięków, że nie słyszeliśmy nawzajem własnych głosów. To im jednak nie wystarczyło i w swej ograniczonej zdolności pojmowania uznały namiot za pierwszorzędną norę lęgową, zaprojektowaną specjalnie dla nich. Popiskując i zawodząc, zaczęły się wciskać do środka przez otwory i trzepotać nad i pod pryczami, przy czym wypróżniały się, gdzie popadło, a potraktowane zbyt obcesowo, oblewały nas zregurgitowanym, cuchnącym rybą olejem.

– Tego już naprawdę za wiele – oznajmiłem, wyrzucając z posłania dwudziestego pisklaka.
– Wiem, że uważa się mnie za miłośnika zwierząt, ale są pewne granice.

– Możemy zasznurować namiot – powiedział Wahab – ale wtedy zrobi się tu bardzo gorąco.

– Chyba wolę się udusić niż dzielić łożę z tą ptasią kohortą. Moja prycza wygląda już jak przodująca w eksporcie guana wyspa u wybrzeży Peru – zauważyłem z goryczą, wyławiając pisklę, które wpadło mi do zupy.

Zasznurowaliśmy więc namiot, co podniosło temperaturę do czterdziestu stopni, lecz niewiele nam dało, gdyż niezrażone piskłeta podkopywały się z boku. Ilekroć im się to udało, musieliśmy rozsznurowywać wejście, żeby wyrzucić ptaki. W końcu ustawiliśmy kanistry z wodą pod ścianami namiotu, aby zniechęcić upartych napastników. Pokonane maluchy obsiadły namiot od zewnątrz i przez całą noc uszczęśliwiały nas swym śpiewem.

„Waaah, waaah, woo” – nawoływała jedna grupa, na co inna odpowiadała: „Waaah, waaah, woeee”, konkurencja zaś wykrzykiwała: „Ooo, ooch, ooch, OOCHHH, ooch”, w czym wspierało ją chóralne: „Waah, waah, waah, ooeee, waah, waah”.

I tak aż do świtu. Monotonie dźwięków zakłócało jedynie przybycie rodziców z pokarmem, kiedy to dziwaczne okrzyki piskląt milkły, przerywane osobliwymi i niezbyt miłymi dla ucha odgłosami, które kojarzyły się z gnojówką spływającą do otworu odpływowego wanny. Dorosłe burzyki regurgitowały na wpół strawione ryby. Nasz namiot zaczął śmierdzieć jak statek wielorybniczy po obfitym połowie.

Tuż przed świtem, kiedy z czystego wyczerpania zapadliśmy pomimo hałasu w nerwową

drzemkę, piskłeta odkryły nową zaletę naszego namiotu. Jego boki układały się w przepiękne płócienne fałdy. Ptaki podfruwały kolejno na grzbiet namiotu i zjeżdżały po płachcie z trzaskiem rozdieranego płótna, podczas gdy ich koledzy, siedząc w kręgu, wydawali pełne podziwu okrzyki typu: „Caaw, cooRR, COORR” i „Oooch, coorr, coorr”. Po dojrzałym namyśle doszedłem do wniosku, że była to najgorsza noc w moim życiu.

Następnego ranka obudziliśmy się z niespokojnej drzemki tuż przed świtem i wypęziliśmy z namiotu, potykając się o własne nogi i o gromady burzyków, które wciąż siedziały przy swoich gniazdach i skrzeczały głośno. Niebo było różowo-pomarańczowo-zielone, tylko nad widnokregiem unosiło się niedbale kilka ciemnych chmur. Spokojne morze miało ciemny, kobaltowy odcień. Liście palm, rysujące się ciemno na tle nieba, szeleściły mi nad głową, jak gdyby padał na nie widmowy deszcz. Opierał się o nie niedbale kruchy sierp księżycy, biały jak tropikalny ptak. Na tle nieba zaznaczały się ruchome sylwetki burzyków, krzyczących chórem, jak zwykle o świcie, podczas gdy ich ciemnopióre młode brnęły przez roślinność, by schronić się w norach.

Po śniadaniu ruszyliśmy w stronę palmowego gaju i na miejscu wtajemniczyliśmy Zozę w arkana sztuki łapania węży. Z wystudiowaną nonszalancją zapytał, czy ma pojmać węża, czy tylko go wytropić. Odparliśmy, że wystarczy, jeśli go wytropi. Zsunął swój tropikalny kask na tył głowy, osadził ciemne okulary mocniej na zadartym nosie i wyruszył na poszukiwania. Po upływie pół godziny zawołał – ku naszemu zdumieniu – że znalazł węża. Runęliśmy ku latanii, przy której stał. W duchu byłem przekonany, że to, co odkrył Zozo, okaże się ogonem telfarii; ale wśród liści leżał spokojnie, bez lęku, na wpół wyrośnięty boa. Miał smukłą, delikatną głowę, a jego ubarwienie – w odróżnieniu od zielonkawych dorosłych osobników i jaskrawych, rudobiałych maluchów – było ciemnooliwkowe z koronkowym deseniem matowożółtych plamek na szyi, części grzbietu i u nasady ogona. Zachwycony Zozo, kiedy mu gratulowaliśmy bystrości umysłu, uśmiechał się od ucha do ucha. Ruszyliśmy dalej, nie posiadając się z radości, że tak szybko osiągnęliśmy prawdziwie wielki sukces.

Szukając węży, polowaliśmy oczywiście nadal na gekony Gunthera, telfarie i śligi Bojera, ponieważ mieliśmy za mało młodych samiczek. Zozo, podekscytowany własną biegłością jako łowcy węży, tak się rozzuchwiał, że schwycił kilka zwinnych, połyskliwych ślig Bojera – po czym wyznał mi, rozejrzawszy się najpierw, czy nikt nie podsłuchuje, że przed tą wyprawą bał się jaszczurek. Prowadziliśmy poszukiwania, dopóki słońce nie zaczęło zbyt mocno prażyć, a następnie wróciliśmy do obozu. Byliśmy zadowoleni, bo mieliśmy osiem ślig Bojera, sześć młodych telfarii i trzy na wpół wyrośnięte gekony Gunthera, nie mówiąc już o wężu. Późnym popołudniem, gdy słoneczny żar nieco zelżał, urządziliśmy kolejny wypad do palmowego gaju, lecz bez rezultatu. W nocy zgiełkliwe towarzystwo burzyków znowu uniemożliwiło nam spokojny sen.

Następnego ranka postanowiliśmy wyruszyć bardzo wcześnie, aby dotrzeć do jednego z najwyższych punktów wyspy, a potem zejść nad morze. Wspinaczka, nawet o tej porze, była dość wyczerpująca i osiągnęliśmy nasz punkt obserwacyjny złani potem. Z tego miejsca widzieliśmy, w jakim stopniu wyspa jest zniszczona erozją. Tufowe urwiska opadały ku morzu stromo jak nartostrada, poprzecinane wyżłobionymi przez deszcz kanałami. Tu i ówdzie leżały głazy, wypłukane z tufu i spiętrzone w żlebach w chwiejne pryzmy, oczekując kolejnej ulewy, która zrzuci je do morza, gdzie spoczną na zawsze. Pod szczytem wielkie bloki tufu były jeszcze dość twarde, ale w nocy trochę padało i gdzieś tam tuf przypominał konsystencją kawałek czekolady wyjęty z chłopięcej kieszeni: lepki, nadtopiony i pełen ciał obcych. Po tych zboczach trzeba było się poruszać z największą ostrożnością, każde potknięcie groziło stoczeniem się z wysokości trzystu czy czterystu stóp i lądowaniem w palmowym gaju, albo – gdyby się spadło w żleb – zsunieniem się bez żadnych przeszkód po drodze aż do morza, leżącego około siedmiuset stóp poniżej.

Spoglądając na te tufowe urwiska, w których deszcz wyżłobił głębokie bruzdy, na nieliczne palmy, zastygłe w niepewnej pozycji i trzymające się kurczowo podłoża, na osad tufu pokrywający warstwę morskie dno, człowiek uświadamiał sobie dobitnie, że patrzy na miniaturowy, unikalny świat, który powstał dzięki cudowi ewolucji i któremu teraz pozwalano wykrwawić się na śmierć. Woda wypłukiwała zdeformowane bloki i półki skalne, pokryte płózącymi się, zbyt słabymi opaskami pnączy o fioletowych, żałobnych kwiatach. Kiedy wszyscy spierali się o to, co zrobić z królikami, i nie osiągali żadnych postępów, ten wyjątkowy skrawek lądu kurczył się z dnia na dzień. Przedstawiał w miniaturze to, co robimy z całą planetą, na której miliony gatunków wykrwawiają się na śmierć z braku środków zaradczych, których potrzeba tak niewiele.

Mniej więcej przez godzinę schodziliśmy powoli ku morzu, pokonując zakosami strome zbocza i badając grupki latanii, które przycupnęły ponuro wszędzie, gdzie mogły zapuścić korzenie. Odkryłem, że nawet na tej wysokości owe skąpe gąki palmowe zamieszkuje niezliczona ilość stworzeń. Były tam karaluchy i świerszcze, chrząszcze, muchy i dziwne larwy o okrywach przypominających rożek do lodów, patyczaki i pająki; a po odsłoniętych kawałkach tufu biegały, pozornie bez celu, tysiące jaskrawoczerwonych maleństw. W jamach pod zeschniętymi liśćmi siedziały osobliwe, fioletowe kraby lądowe o bladokremowych szczypcach. Przebierały nimi energicznie, wyglądając przy tym jak urzędnicy z banku, którzy spędzili całe życie na nieustannym liczeniu cudzych pieniędzy i teraz nie potrafią powstrzymać odruchu. Wokół latanii żyły telfarie i wystarczyło przysiąść na chwilę, żeby przybiegały gromadnie niczym ciekawskie dzieci, usiłując zjeść człowiekowi sznurowadło albo dół spodni i pożerając wszystko, co się im rzuciło, od skórki pomarańczy po papier. W trawach pod lataniami uwijały się śliży Bojera, szybkie i połyskliwe jak żywe srebro, w ciągłej pogoni za pokarmem; a na

samych palmach występowały gekony Vinsona, trawiastozielone, o niebieskich i szkarłatnych łebkach.

Przystanąłem w cieniu średnich rozmiarów latanii, aby posilić się pomarańczą, i ujrzałem przedziwną scenę, która uświadomiła mi, jak wiele gekonów może się gnieździć na jednej palmie i jak drapieżna z natury jest telfaria.

Siedziałem sobie pod drzewem, z zadowoleniem wysysając pomarańczę, gdy nagle usłyszałem, że nad moją głową coś bębni o liście. Pomyślałem, że pada przelotny deszcz i że to jego krople uderzają o sztywne, jakby wycięte z tektury wachlarze. Odgłosy nie milkły, a ja zdałem sobie sprawę, że nie widzę ani nie czuję żadnego deszczu. Uniosłem z zaciekawieniem głowę. Każdy z wielkich, zielonych, palczastych pęków listowia prześwieślało słońce i zobaczyłem grę cieni: biegające i skaczące gekony Vinsona. Od czasu do czasu któryś przystawał na chwilę i zerkał zza liści, a potem szybko wspinał się wyżej.

Było ich co najmniej czterdzieści, od w pełni dorosłych osobników po maluchy nieprzekraczające całej długości. Skakały z wachlarza na wachlarz zwinnie jak żaby; wszystkie pięły się ku górze i było jasne, że coś je przstraszyło. Ich drobne, ciemne, ruchliwe sylwetki na tle zielonego ekranu wyglądały przeuroczo.

Zajrzałem w głąb latanii, żeby sprawdzić, co niepokoi te podobne do klejnotów stworzenia. Miałem nadzieję, że może to wąż. Zobaczyłem pełznącą mozolnie, lecz uparcie w górę kłodziny dużą telfarię. Zatrzymywała się co pewien czas i unosiła łebek, błyskawicznymi ruchami wysuwając i wciągając język. Powyżej ogarnięte paniką gekony śmigały i skakały wśród liści, zerkając zza nich okrągłymi, przerażonymi czarnymi ślepkami, które błyszcząły nad kolorowymi pyszczkami. Powolne, ociążałe zbliżanie się telfarii miało w sobie coś prehistorycznego. Przyglądałem się jej przez chwilę i w końcu uznałem, że wystarczy już tego straszenia bajkowych gekonów. Schwyciłem ją i przeniosłem o jakieś pięćdziesiąt stóp od latanii. Gdy wróciłem pod drzewo, by dojeść pomarańczę, wszystkie gekony zdążyły zejść niżej i pławiły się w słońcu, podjąwszy zwykłe czynności.

Pół godziny później Wahab zawiadomił nas tryumfalnym okrzykiem, że mamy czwartego węża. Był to młody boa, nieco większy od tego, którego znalazł Zozo. Wróciliśmy do obozu bardzo zadowoleni i nawet dźwięczne wrzaski burzyków nie zdołały stłumić naszego entuzjazmu.

Nazajutrz podjęliśmy tylko jedną, ostatnią próbę, ponieważ w południe miał przylecieć helikopter. Przeszukaliśmy palmy, lecz nic nie znaleźliśmy i powróciliśmy do żmudnego przenoszenia rzeczy przez dolinę na rozprażone lądowisko. Nie składaliśmy namiotu, który dawał nam trochę cienia, i zachowaliśmy trzy kanistry wody, zużywając resztę na bardzo nam potrzebną kąpiel.

Piętnaście po dwunastej Wahab okazał pewne zaniepokojenie. O wpół do pierwszej wyszedł

z namiotu i zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Kiedy już coś organizował, chciał, żeby wszystko szło gładko. O wpół do drugiej zaparzyliśmy herbatę i pogratulowaliśmy sobie, że zostało nam trochę wody. O wpół do trzeciej Wahab wywołał Zozę na zewnątrz. Wspięli się na rozgrzane lądowisko i stamtąd popatrywali z nadzieją ku zamglonym, owianym mgiełką upału wzgórzom Mauritiusa.

– Wahab się denerwuje – zauważył John. – Lubi, żeby wszystko było jak należy.

– Wiem – odparłem – ale co tu zrobić? Może trzeba skorzystać z radia?

Podsunałem tę myśl Wahabowi, gdy wrócił do namiotu. Zastanowił się przez chwilę, a potem zanieśliśmy nasz mały nadajnik na lądowisko i stanęliśmy w spoconym kręgu, usiłując uruchomić radio.

– To na nic – orzekł wreszcie John. – Jest martwe jak dodo. Wahab spojrział na niego z wyrzutem. Udaliśmy się wszyscy do namiotu, zostawiając zepsute urządzenie na lądowisku.

– Zozo ma bardzo zmartwioną minę – szepnął do mnie John.

– Niedawno się ożenił – zauważyłem. – Trochę dla niego za wcześnie na przemianę w Zozę Robinsona.

– Chyba myśli, że z nami już koniec – podsumował John.

Zozo siedział markotnie pod pobliską palmą. Postanowiłem podnieść go na duchu.

– Zozo! – zawołałem.

– Słucham, panie Gerry? – odpowiedział, spoglądając na mnie spod tropikalnego kasku, nadającego mu wygląd groteskowego zielonego grzyba.

– Zdaje się, że ten helikopter jednak po nas nie przyleci.

– Tak, panie Gerry – przyznał z przejęciem.

– No więc – podjąłem uprzejmym tonem – chciałbym cię poinformować, że przytłaczającą większością głosów podjęliśmy decyzję o zjedzeniu ciebie w pierwszej kolejności, kiedy skończy się nam żywność.

W pierwszej chwili wytrzeszczył na mnie oczy, a potem zrozumiał, że żartuję, i uśmiechnął się szeroko. Nie rozwiało to jednak do końca jego melancholii. Wahab zaś po raz dwudziesty wybrał się na lądowisko.

– Nie mam pojęcia, gdzie oni się podziewają – rzucił z irytacją.

– Zaczekaj – powiedziałem uspokajającym tonem. – Może byśmy się napili herbaty? Zozo, nastaw wodę.

Zozo, zadowolony, że ma coś do roboty, napełnił czajnik.

– Zobaczysz – zwróciłem się do Wahaba – że helikopter przyleci, kiedy ta woda zacznie wrzeć.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Magia białego człowieka – odparłem uroczyście, on zaś wyszczerzył zęby w uśmiechu.

O dziwo, kiedy woda w czajniku zaczęła się gotować, dobiegł nas szum nadlatującego helikoptera. W pół godziny załadowaliśmy cały sprzęt i wystartowaliśmy, otoczeni wirującą nawałą oburzonych ptaków, trzymając na kolanach płócienne worki z cennymi wężami i jaszczurkami.

Pilot na moją prośbę okrążył wyspę, lecąc na niewielkiej wysokości. Ujrzeliśmy nagą, wysuszoną skorupę i jej obrzeża, wyglądające, jakby olbrzymi morski potwór powygryzał w nich dziury. Zobaczyliśmy żałosny, wąski pas latanii i innych palm, biegnący przy jednym z brzegów niczym bladozielony półksiężyc, znad którego wyzierały rozległe płyty wyżartego erozją tufu. Wydawało się czymś niepojętym, że nawet teraz umierająca wyspa jest domem tak licznych zwierząt i roślin; a jeszcze dziwniejsze było to, że sześć gatunków nie występuje nigdzie indziej.

Wzlatywaliśmy coraz wyżej, a wyspa wtapiała się w tło turkusowego morza. Pomyślałem, że musimy zrobić wszystko, żeby ją ocalić.

VII

Postscriptum do różowych gołębi

Przed rokiem 1975 program badawczy Black River obejmował parę różowych gołębi – z której samice David McKelvey uznał za zbyt starą do rozplodu – oraz dwa samce. Ponieważ do 1976 roku ptaki się nie rozmnożyły, uznano, że należy schwycić większą liczbę osobników, aby zwiększyć szansę ich rozmnożenia w niewoli. Problem polegał na tym, że całe stado gołębi zniknęło z cyprysowego gaju. Poszukiwanie trzydziestu pięciu ptaków na rozległym obszarze leśnym było zadaniem na miarę Herkulesa. John i Dave przeczesywali różne części lasu, pełni nadziei, choć przemoczeni przy tym do nitki; lecz na próżno. Ptaki, które powinny siedzieć wśród cyprysów, budując swe groteskowe gniazda, znikły z pola widzenia. Bardzo nas to zaniepokoiło. Patrząc wstecz, jesteśmy teraz przekonani, że dwa cyklony, które zmusiły nas do opuszczenia Krągłej Wypsy i uwięziły na tak długi czas, opóźniły także porę godową. Niemniej pod koniec naszej ostatniej wyprawy różowe gołębie wróciły nieoczekiwanie do cyprysowego gaju i zaczęły zakładać w nim gniazda.

Ponieważ między 1975 a 1976 rokiem nie zrobiono nic, a powołanie grupy programowej na Mauritiusie i Jersey było pilnym zadaniem, uznałem, że po powrocie na Jersey John powinien udać się ponownie na wyspę i schwycić jeszcze kilka różowych gołębi dla ośrodka w Black River, tworząc jednocześnie bazę dla nas. A zatem po powrocie na Jersey z cennym ładunkiem gekonów i węży John musiał przygotować się do kolejnej wyprawy na wyspę Mauritius.

Podążył prosto do cyprysowego gaju i wyszukał odpowiednie drzewo. Ze swego punktu obserwacyjnego widział prawie całą dolinę. Przyczaił się w oczekiwaniu na różowe gołębie. Po trzech godzinach zaczął się zastanawiać, czy gołębie nie przeniosły się gdzie indziej. Rozejrzawszy się, ujrzał nagle na sąsiednim drzewie różowego gołębia siedzącego w gnieździe. Powiedział mi później: „Zaledwie dostrzegłem tego cholernego ptaka, uświadomiłem sobie, że patrzę na niego od trzech godzin i go nie widzę”. Zszedł z drzewa podniecony, odszukał gniazdo i siedział przy nim aż do zmroku, chroniąc je przed małpami które wrzeszczały i rozbijały się po lesie.

Po zmierzchu wrócił i zaalarmował Wahaba, Tony’ego Gardnera oraz Dave’a. W czwórkę postanowili zajrzeć do gniazd o świcie. Znalezione młode proponowali zastąpić innymi pisklętami tych samych rozmiarów. Następnie zamierzali rozpiąć sieci wokół drzew, by schwycić rodziców. Wszystko podziałało znakomicie. W gnieździe – ku radości łowców – znajdowało się niemal zupełnie opierzone pisklę, które niezwłocznie zastąpiono innym. Następnie z wielkim trudem rozpięli sieci.

Matka po powrocie – ze sprytu albo z głupoty, raczej to drugie – uniknęła pułapki i z zadowoleniem nakarmiła pisklę, zupełnie niepodobne do jej potomka. Przez cały dzień nic się

nie złapało, więc o świcie wrócili do domu, pozostawiając rozpięte sieci. Zanim jednak znaleźli się ponownie na miejscu, do gniazda dobrały się mały. Zniszczyły je i pożarły pisklę. Nie schwytali wprawdzie rodziców, lecz przynajmniej z satysfakcją stwierdzili, że pisklę różowego gołębia zostało ocalone od śmierci. Znalazło się w ptaszarni w ośrodku Black River i już po trzech dniach latało samo i zdobywało pokarm.

Tymczasem John wciąż szukał gniazd i wkrótce znalazł jedno, zawierające jajo. Przedyskutował to obszernie z Dave'em i obydwaj ustalili tryb postępowania. Z obserwacji Dave'a wynikało, że obydwie płci wysiadują jaja i zmieniają się około godziny dziesiątej przed południem i o czwartej po południu. Plan polegał na podebraniu jajka, aby je później umieścić w inkubatorze ośrodka w Black River, i podłożeniu jajka gołębia domowego. Następnie należało przykryć gniazdo specjalnie przygotowanym *bdl-chatri* i czekać na rodziców. Dzięki tym środkom mogliśmy mieć pewność, że schwytaliśmy parę – gdyż obydwie płci mało się od siebie różniły i trudno było określić, czy schwytany ptak jest samcem, czy samicą. *Bdl-chatri* to bardzo stary sposób chwytania sokołów. Należy przygotować zaokrągloną klatkę, przypominającą nieco staroświecką chłodziarkę, w której umieszcza się przynętę – ptaszka w przypadku sokoła, jajko w naszym przypadku. Górną część urządzenia pokrywają cienkie nylonowe pętle. Chodzi o to, aby nogi ptaka lądującego na *bdl-chatri* zaplątały się w którąś z setek pętli.

W stosownej chwili Dave wdrapał się na drzewo i podłożył jajko domowego gołębia. Następnie okrył starannie całe gniazdo *bdl-chatri*. W tym czasie samiec siedział na gałęzi w odległości około trzydziestu stóp i – według relacji Johna – nie okazywał niepokoju, a jedynie lekkie zainteresowanie. Zaledwie Dave zszedł z drzewa, ptak przefrunął na nie i obszedł gałęzie, dwukrotnie omijając *bdl-chatri*. Za trzecim razem jednak został schwytany i gorączkowo trzepotał skrzydłami, co usłyszeli Dave i John. David błyskawicznie wspiął się na drzewo i w ostatniej chwili złapał ptaka za pazur u nogi. Po dwóch godzinach samica wróciła do gniazda i została szybko schwytana. Pierwsza prawdziwa, znana para różowych gołębi została tryumfalnie odwieziona do Black River.

Zachęceni sukcesem, postanowili wykorzystać tę samą metodę w dalszych poszukiwaniach. Przy udziale Zoza i dwóch innych pracowników przeczesali las i w ciągu tygodnia wytropili cztery gniazda. Dzięki temu zdołali wyodrębnić dwie pary oraz jedną samotną gołębicę, która mogła dołączyć do dwóch samców w Black River.

Jedno ze znalezionych w gnieździe jaj okazało się zepsute, ale z dwóch innych, wysiadywanych przez samice zwykłych gołębi, wykluły się pisklęta, a trzecie było w drodze. Oznaczało to, że przy siedmiu dorosłych okazach projekt hodowlany Black River przetrwa i zapewni rozmnożenie różowych gołębi w niewoli.

John wrócił na Jersey z dwiema ptasimi parami i jednym samotnym młodym osobnikiem.

Zaaklimatyzowały się znakomicie. Dzięki temu mamy nadzieję, że w trakcie dyskusji nad rozwiązaniem problemu małąp i kwestią ochrony cyprysowych gajów doczekamy się w Black River i na Jersey liczego gołębiego potomstwa, któremu nie zagrają ani małąpy, ani cyklony. I że wreszcie będziemy mogli nim wzbogacić garstkę dzikich ptaków, pozostawionych własnemu losowi w zagrożonym środowisku wyspy Mauritius.

Słowo na koniec

Ponieważ zawsze staraliśmy się ratować ginące gatunki, miło nam poinformować, że odnieśliśmy już sukcesy hodowlane. Nietoperze z wyspy Rodrigues wydały na świat dwójkę ślicznych, zdrowych dzieci, które są, w chwili gdy to piszę, w pełni opierzone – jeśli można się tak wyrazić o nietoperzu. Telfariom wyklulo się siedmioro, a gekonom Gunthera jednaścioro małych, podobnie jak phelsumom. Mamy nadzieję, że niebawem odniesiemy podobny sukces z węzami boa z Kragłej Wyspy i różowymi gołębiami. Szczególną przyjemność sprawia nam to, iż możemy pomóc tak wielu zagrożonym gatunkom z wyspy Mauritius, siedziby wymarłego ptaka dodo, który jest symbolem naszej organizacji.

Jeśli spodobała się wam ta książka i wierzycie, że nasze działania, mające na celu ochronę zagrożonych gatunków zwierząt, są ważne, żywię nadzieję, że przyłączycie się do naszej organizacji. Składka nie jest wysoka, a wspiera akcję niezmiernie istotną dla wielu ginących gatunków. Dzięki waszej pomocy możemy zwiększyć wysiłki, aby nieść ratunek niezwykłym i pięknym stworzeniom, które opisałem w tej książce, a także wielu innym z różnych stron świata.